

WYPISY POLSKIE

C. BOGUCKA. C. NIEWIADOMSKA

Zosia i Michał i ich kuzynki

WYPISY POLSKIE

NA KLASĘ I

Profkorskiy

WYDANIE PIĄTE



2. wydanie

NAKŁAD GEBETHNERA I WOLFFA
WARSZAWA == LUBLIN == ŁÓDŹ
KRAKÓW == G. GEBETHNER I SPÓŁKA
NEW-YORK □ THE POLISH BOOK IMPORT. CO. INC.

30,-

30860

Geprüft und freigegeben durch die Kais. Deutsche Presseabteilung
Warschau den 14. VIII. 1916. T. № 2276. Dr. № 129.

M6251



BIBLIOTEKA UNIWERSYTECKA
im. Jerzego Giedroycia w Białymstoku



FUW0211995

Druk Rubieszewskiego i Wrotnowskiego w Warszawie, Włodzimierska 3.

X-108/801 M6251

1. WEZWANIE.

A czy znasz ty, bracie młody,
Twoje ziemie, twoje wody?

Z czego słyną, kędy giną,

W jakim kraju i dunaju? ¹⁾

A czy znasz ty, bracie młody,

Twojej ziemi bujne płody?

Pola bitew, ojców groby

I pomniki starej doby?

A czy wiesz ty, co w nich leży?

O, niezawsze i niewszędzie,

Młody orle, tak ci będzie,

Jako dzisiaj przy macierzy!

Poznaj, pókiś jeszcze młody,

Co kochane było wprzód,

Nim twe serce krwią dziedziczną

Kochać mogło ziemię śliczną.

Wyleć ptakiem z twego gniazda,

Miłać będzie taka jazda:

Spojrzyć z góry na twe ziemie

I rodzinne twoje plemię.

W. Pol.

Jak się twój kraj nazywa? Jakie znasz w swoim kraju mias ta
rzeki, morza, góry? Co ci się w twoim kraju najlepiej podoba?
Czy dobrze jest poznać kraj własny? Czy można kochać kraj swój,
jeśli go nie znamy? Jak każdy kraj swój nazywa?

Co to znaczy: bujne płody? krew dziedziczna? rodzinne plemię?

¹⁾ Rzeka, wpadająca do morza Czarnego; tutaj znaczy wogóle
rzeka daleka i nieznana.

2. BARDZO DAWNO.

(Niby bajeczka).

✓ Dawno, bardzo dawno temu, w ogromnym lesie, który nazywano puszcza, mieszkali dzicy ludzie.

Nie mieli oni chat wcale, spali w gąszczu na gałęziach, w wypróchniałych starych drzewach lub kryjówkach między skałami. Na pokarm zabijali leśne zwierzęta: wilki, niedźwiedzie, zające, — odbierali miód pszczołom; dzieci zbierały jagody i owoce leśne. Za broń służyła im potężna pałka z twardego drzewa lub kamień, którym bardzo celnie rzucali. Polowanie też było jedynym ich zajęciem i dostarczało, oprócz mięsa i krwi ciepłej, jeszcze i skóry na odzież. Bo innego ubrania nie mieli ci ludzie dzicy.

Ludzie ci nigdy nie wychodzili ze swej puszczy, myśleli, że świat cały pokryty jest lasem, który nie kończy się wcale.

Tymczasem jednego razu pewien dziki człowiek, powróciwszy z polowania na płochliwą sarnę, której dogonić nie mógł, opowiadał dziwne dziwy.

Mówił, że las się kończy, a za lasem rozciąga się ogromna, nieskończona równina, pokryta tylko trawą. Drzew na niej niema wcale.

Inni wierzyć mu nie chcieli. — To nie może być — mówili — tobie się chyba zdawało.

Dziki człowiek rozgniewał się i postanowił raz jeszcze iść do końca puszczy, przypatrzeć się zielonej, nieskończonej równinie i opowiedzieć braciom wszystko, co tam zobaczy.

Jak postanowił, tak zrobił. Zabrał swoją pałkę, kilka kamieni i wyruszył w drogę. — Będę mądrzejszy od was

wszystkich — myślał — zobaczę tyle rzeczy, o których wy nawet nie wiecie.

Szedł cały dzień do wieczora. Przespał się pod drzewem i szedł znowu w tę samą stronę, uważając na słońce, bo inaczej byłby zabłądził i nigdy nie wyszedł z puszczy.

II.

Całe pięć dni szedł w ten sposób dziki człowiek, ale dopiero szóstego dnia przed wieczorem wyszedł nakoniecz lasu i ujrzał przed sobą ogromną łąkę, pokrytą bujną, soczystą trawą i kwiatami. Kwiatów była moc wielka: żółte, różowe, białe, aż się w oczach mieniło, — a trawa zielona, puszysta, miękka, jak najpiękniejszy kobierzec.

Łąka ciągnęła się tak daleko, że końca jej dojrzeć nie mógł, ale pomyślał sobie, że to zapewne z powodu zapadającego już zmroku. Jutro obejrzy ją lepiej, tymczasem spać się położył.

Zasnął, lecz zbudził go wkrótce chłód nocny. W lesie cieplej było w szałasie z gałęzi, na posłaniu z mchu miękkiego, pod dużą wilczą skórą. Biedny dziki drżał z zimna, bo wiatr powiał mroźny, i kropelki rosy na trawie w białą szron się zmieniły. Ciężko doczekać ranka i słonka ciepłego.

— Mieli słuszość moi bracia, że nie chcieli iść ze mną — pomyślał sobie dziki — tu pewno nikt nie mieszka: ani drzewa na schronienie, ani zwierzęcia na pokarm; wolę moje lasy, puszcze nieprzebyte.

Błysnął wreszcie promyk słońca, i w tej samej chwili ruch wielki powstał na łące: rozległy się krzyki ptaków, głosy zwierząt, wśród których zdawało mu się, że rozróżnia nawoływania ludzi.

— Czyżby tu ludzie żyli? — pytał sam siebie z wielkiem zadziwieniem. — Jeżeli są naprawdę, to muszę zobaczyć, czy podobni do nas, i zapytać ich, co tu robią.

Nagle spostrzegł całą gromadę ogromnych zwierząt z rogami na głowie, postępujących zwolna i skubiących trawę. Stapały dosyć ciężko grubemi nogami, a niektóre wydawały ryk przeciągły. ¶

Dziki człowiek stał i patrzył. Myślał sobie, ile to mięsa na jednym takim zwierzęciu! Już sięgnął nawet po największy kamień, aby ugodzić w głowę piękną zdobycz, gdy inne głosy zwróciły jego uwagę. Był to jakby płacz dzieci. Spojrzał w tamtą stronę, a tu mnóstwo białych i czarnych zwierzątek, także z rogami na głowie i krótkimi ogonkami, biegnie, pobekując, cisnąc się jedne na drugie, jakby przed kim uciekały.

Dziki człowiek teraz dopiero spostrzegł, że za pierwszym i drugim stadem biegły niewielkie, do wilków podobne zwierzęta, poszczekując, naganając i nie pozwalając rozpraszać się rogaczom.

— A to dziwy, dziwy! — powtarzał dziki człowiek. — Tyle zwierzyni! To się najeść można dopiero!

Z wielkiego zdziwienia zapomniał, że ma kamień i pałkę i mógłby sobie zaraz upolować śniadanie bez trudu. Jeszcze mu to na myśl nie przyszło, gdy rozległ się głośny tętent, i nadbiegło kilkanaście zwierząt tak pięknych, jakich nigdy w życiu nie widział. Wysokie, zgrabne, bez rogów, ale z bujną grzywą i długim rozwianym ogonem, biegły lekko, rżąc, podskakując, jakby cieszyły się słońcem, wilgotną trawą i dzionkiem Bożym.

— Ooo! — zawołał dziki i więcej nic powiedzieć nie mógł z powodu nadmiernego zachwyty.

III.

Największe jednak zdziwienie teraz dopiero czekało dzikiego, gdy ujrzał na jednym z tych zwierząt człowieka.

Koń pędził, człowiek krzyczał, trzymając się grzywy, wywijał długą witką i kierował całą gromadą.

Za pierwszym jeźdźcem ukazał się drugi, potem trzeci i czwarty... Dziki człowiek sam już nie wiedział, co myśleć, więc przyłożył do ust obie ręce niby trąbę i huknął z całej siły.

Przestraszone zwierzęta pomknęły galopem, lecz jeden z jeźdźców zatrzymał swojego rumaka i podjechał do nieznanego.

— Coś ty za jeden? — spytał zdziwiony. — Skąd się tu wzięłeś?

— Ja jestem mieszkańcem puszczy, ale ktoś ty taki?

— Ja jestem mieszkańcem stepu.

— A cóż ty tutaj robisz? Jak żyjesz? Czem się żywisz?

— O — rzekł jeździec — dawniej trudno nam żyć było, ale odkąd zaprzyjaźniliśmy się ze zwierzętami, niczego nam nie brakuje. Mamy odzież i pożywienie.

— Jakto! zaprzyjaźniliście się ze zwierzętami? Alboż zwierzę może być przyjacielem człowieka?

Właśnie gdy dziki wymawiał te słowa, w puszczy za nimi rozległ się ryk groźny, i straszne niedźwiedzisko ukazało się o kilka kroków. Pasterz się przeląkł, bo nie miał z sobą żadnej broni, ani psa do pomocy, ale myśliwy w mgnieniu oka zmierzył i trafił napastnika między oczy potężnym kamieniem, a na ogluszonego wpadł ze swą maczugą. Teraz i pasterz przybiegł mu na pomoc, i psy, ryk usłyszawszy, mknęły po zielonej łące. Wkrótce też trup niedźwiedzia leżał rozciągnięty na trawie.

— Dzielny jesteś — rzekł pasterz do dzikiego człowieka — ty pokonałeś niedźwiedzia, ale zabrać go z sobą nie możesz: za ciężki. Pozostaw nam tę zdobycz, a za to wybierz sobie dwoje zwierząt naszych, które ci się podobają.

Myśliwy się zamyślił. Konia wybrać nie mógł: piękne zwierzę nie przedarłoby się przez gąszcze leśne; krowa także,—wziął więc dwa psy młode, ażeby je nauczyć polowania, a pasterz dodał mu jeszcze owieczkę, ażeby bracia jego skosztowali świeżego mleka.

Potem zasiedli wszyscy razem do śniadania. Pili mleko z worków skórzanych, jedli suszone owoce, ziarna jakiegoś i korzonki, a w końcu po kawale niedźwiedziny.

Zaspokoivszy głód, myśliwy z psami i owieczką ruszył do swoich braci, aby ich przekonać, że las całego świata nie pokrywa, że na stepach czyli łąkach niezmiernych żyją ludzie-pasterze i hoduja oswojone zwierzęta.

Jaka jest prawda w tej niby-bajce? Czy zawsze ludzie żyli tak, jak dzisiaj? Jak sobie wyobrażasz mieszkania pierwotnych ludzi? Czem się osłaniali od chłodu? Co jedli? Czy ważną dla nich rzeczą było oswojenie zwierząt? Co człowiek daje oswojonym przez siebie zwierzętom i co ma od nich?

3. W kraju króla Gwoździka.

Nasz Dobrotko ¹⁾ raz w południe
Ku nieznanej szedł krainie.
Wszędzie ludnie, wszędzie cudnie,
Przed nim droga, jak dla pana,
Cienkiem suknem wyściełana.
Z każdej strony płynie rzeka:
Jedna z miodu, druga z mleka.
Na wybrzeżu, zwodząc tany,
Razem piją wilk z barankiem.

¹⁾ Dobrotko wędrował po żywą wodę, żeby powrócić życie zmarłej matce.

Dalej pałac zwierciadlany
Koralowym świeci gankiem.
Jest i ogród z wieczną wiosną,
Gdzie na wierzbach gruszki rosną,
I brzmią liry samograje.
Radość! Jasność! Woń! Muzyka!
Chłopiec patrzy i... poznaje:

— A!... to kraj króla Gwoździka!

Ledwie nadszedł, czujna warta,
O lustrzane blanki ¹⁾ wsparta,
Chwyta trąbę, hasło daje —
I te wszystkie budzi kraje.

Bramy gmachu się rozwarły.
Z niej wyjeżdża w pysznej grozie
Wóz żałobny, a na wozie
Ach, król Gwoździk leży zmarły!

W gronostajach i szkarłatach
Śpi na kirach ²⁾ i na kwiatach,
Wielkogłowy, ciemno-licy
Pan żelaznej tajemnicy.

Przed nim wojska bohaterzy
Dzwonią Noże i Siekiery.
Za nim idą dostojnicy:
Klin z Haczykiem, Świder z Młotkiem.
A za nimi, jak od wieków,
Lecą kupy prostych Ćwieków.

Wszyscy stają przed Dobrotkiem
I poduszkę niosą przodkiem,
Na poduszce lśni korona,
Klejnotami zatrzęsiona.
Wszyscy pokłon mu oddali,
A choć chłopiec pędzi środkiem,
Klin mu taką mowę pali:

¹⁾ Blanki—mury.

²⁾ Żałobne szaty, zasłony.

— My witamy cię tak mile,
 Do gadania mamy tyle,
 Ty uciekasz. Czyż nie prościej,
 Byś przystanął choć na chwilę?
 Jesteś w kraju pomyślności.
 Wybadaliśmy wyrocznie,
 Ta kazała, byśmy co dnia
 Szli za bramy wschodnią stroną
 I pierwszego tam przechodnia
 Uwieńczyli tą koroną.
 Tyś jest pierwszy! Bierz-że władzę!
 Nie chcesz stanąć? Tak ci pilno?
 Ha, i na to po rozwadze
 Dam ci radę nieomylną:
 Nie zbaczając z twojej dróżki,
 Ściągnij ręką do poduszki,
 A my, wierne twoje służki,
 Wszędzie pójdziem twoim śladem,
 Byleś tylko włożył djadem.¹⁾
 Tu się Ćwieki posypały
 Do nóg panu, i tłum cały,
 Głosem chrzescząc jak grzechotką,
 Krzyczy: — Wiwat król Dobrotko!
 A ten ręką ani ruszy,
 Tylko idzie, myśląc w duszy:
 — Niech on sobie tron zachwala.
 Choć Klin mocną ma wymowę,
 Mnie nie zabił klina w głowę.

Deotyma.

(Dobrotko nie mógł się odwrócić ani przyjąć korony, bo, gdyby zmienił cel drogi, straciłby wartość—i nie wróciłby

¹⁾ Djadem — korona.

życia matce. Ten cel osiąga, kto nie ulega pokusom i dąży do niego wytrwale).

Czy może być taki kraj, jak w tej baśni? Czy wszystkie kraje na ziemi są jednakowe? Czem się mogą różnić? Co znaczy przysłowie: „Było to za króla Ćwieka i brata jego, Gwoździka“?

4. Historia ziemi.

Uczeni wytworzyli sobie następujące wyobrażenie o sposobie powstania ziemi. Ziemia była niegdyś kulą rozżarzoną, płynną, złożoną z roztopionej masy. W takim stanie oderwała się zapewne przed wiekami, podobnie jak inne planety, od słońca, które do dzisiaj jeszcze znajduje się w stanie żarzącego roztopu. Z upływem czasu masa ta ostygła, poczem powierzchnia jej skrzepła, tworząc skorupę, otaczającą płynne wnętrze. Z początku skorupa ta wielokrotnie pękała, płynna masa dobywała się na wierzch, a ogromne odłamy stężonych skał tonęły we wnętrzu. Trwało to wiele wieków, dopóki wreszcie nie wytworzyła się trwała skorupa, obejmująca wnętrze po części płynne, oparta—jak mniemają niektórzy—na trwałem rusztowaniu, z owych zatopionych odłamów złożonem.

Łatwo zrozumieć, że na powierzchni tej gorącej masy woda utrzymać się nie mogła: była ona wszystka w atmosferze¹⁾, w postaci gorącej pary. Dopiero gdy powierzchnia ziemi ostygła niemal do tego stopnia jak obecnie, para wodna skropliła się i opadła na ziemię w postaci ulewnych deszczów. Woda zebrała się w najgłębszych kotlinach i utworzyła morze.

Wszystko to, co wystawało ponad powierzchnię morza, tworzyło ląd stały. Nie ulega wątpliwości, że rozkład lądu i morza był wówczas inny, niż obecnie; nowe lądy dobywały się na wierzch, inne zagłębiały się w morzu. Ślady tego działania dotrwały aż do naszych czasów: objawiają się one

¹⁾ W powietrzu.

jako trzęsienie ziemi, a niektóre lądy dotąd zmieniają poziom¹⁾.

Co to znaczy: atmosfera? kotlina? wnętrze? trzęsienie ziemi?
Zrób rozkład. Wypisz wyrazy z trudniejszą pisownią.

5. L E C H.

Po gwiazdnej nocy fale Warty²⁾

Witały cichym szeptem słońce,

Co wstało wielkie, gorejące,

I na polisty kraj otwarty

W koronie lasów, rzek błękitach,

Słało królewską łaską — życie.

Po gwiazdnej nocy fale Warty

Zdumione widzą brzeg kwiaty,

Lud na nim zbrojny, a nieznany,

I jakiś wódz — na mieczu wsparty:

Wyniosła postać, wzrok sokoła,

Włos złoty rzeźbi marmur czoła.

Na skrzydłach wiatru ponad fale

Głos jego dźwięczny z siłą płynie:

— „Drużyno moja, w tej krainie

Bogom dziękczynne dary spale

I tu założę wam siedlisko,

Co będzie wielkich dni kołyską...

Piękna to ziemia! anim we śnie

Marzył o takiej pól urodzie,

Zaciszu borów, modrej wodzie;

Tu życie nam rodzinne wskrześnie,

Równiny zepną chat łańcuchy,

I będą z nami szczęścia duchy.

Gród, który na tej ziemi stanie,

Smukłemi baszty w niebo strzeli,

Lechickie plemię uweseli,

A będzie Gniezna mieć nazwanie
Od gniazda, które-m znalazł rano,
Za wolą bogów niezbadaną“.

Skończył i wzrokiem powiódł wkoło.

„Niech żywie Lech!“ radosne bieży

W błękity nieba — z nad wybrzeży

Aż pod słoneczne sięga czoło.

„Niech żywie Lech!“ i tysiąc skroni

Przed wodzem kornie się pokłoni.

I odtąd ponad fale Warty

Wciąż częściej ludzki głos dobiegał,

I stuk topora się rozlegał,

Co ciosał pierwsze wielkie karty

Dziejowej księgi...

Zofja Zacharkiewiczówna.

Opowiedz podanie o Lechu. Czy można w nie wierzyć? Dlaczego nas zajmują stare podania o naszej ziemi i jej dawnych mieszkańcach?

6. G N I E Z N O.

Mała to dziś miejscina, licząca zaledwie kilka tysięcy mieszkańców, miłe jednak sprawia wrażenie zarówno czystością ulic i budynków, jak malowniczym położeniem wśród jezior, na kilku wzgórzach.

Kiedy powstało Gniezno — niewiadomo; pochodzenie nazwy miasteczka od gniazda jest jedynie podaniem; dziś uczeni dowodzą, że prawdopodobnie wyraz ten pochodzi od nazwy księcia: *kneź*, *Knežno*, miejsce, gdzie książę zamieszkał. Ale któż wie naprawdę, jak tam było?

Najważniejszą pamiątką w Gnieźnie jest bardzo stary kościół katedralny, wzniesiony po raz pierwszy na miejscu pogańskiej świątyni jeszcze przez Mieczysława I. Tu spoczywają zwłoki świętego Wojciecha, umieszczone w srebrnej trumnie na ołtarzu, otoczonym kratami. A dokoła grobowce rycerzy, biskupów — szczątki dawnej wielkiej prze-

¹⁾ Wysokość położenia nad powierzchnią mór. ²⁾ Rzeka, wpadająca do Odry.

szłości. Gdy staniemy przed nimi, zdają się mówić do nas o tem, co było, i pytać o dzisiaj.

W tym kościele koronowali się królowie polscy, zacząwszy od Bolesława Chrobrego. Ten król podobno przywiózł aż z Kijowa kosztowne spiżowe wrota z wypukłymi obrazami, które stanowią ozdobę świątyni.

W Gnieźnie miał niegdyś Chrobry obszerny swój zamek, w którym przyjmował Ottona III, ale dziś nie zostało po nim ani śladu, nie wiemy nawet, w którym miejscu się znajdował.

Za to posiada Gniezno jeszcze kilka bardzo starożytnych gmachów i kościołów, których wysokie wieże widać już zdaleka.

A dalej domy, place, fabryki, jak wszędzie. Najwięcej fabryk sukiennych i płótna. Duże, porządne sklepy, szerokie ulice, ruch i życie, jak w każdym mieście.

A jednak na to wszystko inaczej patrzymy: zielone wzgórza, rozległe równiny, błękitna woda jezior, stare drzewa, wiatr nawet tutaj zda się mówić o przeszłości, o tych dawnych, nieznanych czasach, które te wody i ziemie widziały tak, jak nas dzisiaj widzą.

Stary, najstarszy może grodzie polski, opowiedz, ileś widział szczęścia i niedoli, ludzi i wieków, po których coś przecie zostać musiało dla nas!

Czy byłeś kiedy w Gnieźnie albo Poznaniu? Co wiesz o świętym Wojciechu? Do kogo dziś Gniezno należy? Opowiedz o przyjęciu cesarza Ottona przez Bolesława Chrobrego w Gnieźnie.

7. Przeszło tysiąc lat temu.

I.

Przed lat tysiącem inaczej wyglądała ziemia nasza. W głębi prastarych borów i puszczy nieprzebytych, nad brzegami rzek i jezior — stały grupy niewielkich chat drew-

nianych, i ciągnęły się niewielkie pasy uprawnej ziemi. Były to wioski i osady praojców naszych.

Z uprawnych pól zbierali zboże, w rzekach i jeziorach łowili ryby, puszcza dostarczała im zwierzyny, owce, które na bujnych łąkach hodowali — wełny i kozuchów. Biedy nikt nie zaznał, ziemia karmiła chętnie swoje dzieci, które też ukochały ją całą serdecznością serc prostych.

Nie znając wiary Chrystusowej, czcili swoje bogi pogańskie, im w prostocie ducha składali ofiary, do nich się uciekali o pomoc i radę, pod ich opiekę oddawali życie.

A liczne groziły im niebezpieczeństwa: piorun mógł spalić chatę lub zabić człowieka, w puszczy gnieździły się srogie zwierzęta, zbytek słońca palił zasiewy, a deszcze przeskadzały żniwom.

II.

Idzie garstka kmieci do świętego miejsca przez rozległe, do przebycia trudne trzęsawiska,¹⁾ zakończone wałem, porośłym bujną trawą i kwiatami. Za tym wałem, na dużej polanie siedziało kilkunastu mężów w słomianych kapeluszach, w kozuchach wywróconych włosem do góry, uzbrojonych w łuki i maczugi, skupionych wokół drewnianego budynku, będącego świątynią, czyli — jak to wówczas nazywano — gontyną. Starcy, wszyscy siwobrodzi, siedzieli w poważnem milczeniu, a w dali, pod wałem stała w postawie pełnej uszanowania grupa młodzieży, także zbrojna i szepcząca między sobą.

Sama gontyna był to niewielki drewniany budynek, wzniesiony ze starannie ociosanych belek, pomalowanych na czerwono i niebiesko. Dach kryty był gontami, i stąd zapewne nazwa gontyny. Wejście do środka stanowiły drzwi rzeźbione. Drzwi były zamknięte, a nad dachem unosiła się gromada gołębi białych, które zrywały się i znów

¹⁾ Bagna, błota.

siadały na dachu, gruchając głośno. Słońce już dosyć wysoko się wzniosło i gorąco tu było bardzo.

Przed samym budynkiem stał wielki, rozłożysty dąb, u dołu suchy, u góry tylko ozdobiony koroną zielonych liści. Kora jego popękana była w wielu miejscach i sam środek spróchniały zupełnie. Gromady wróbli kryły się między liśćmi, napełniając grodzisko¹⁾ wrzaskliwym świergotem. Chmury wron i kruków przebiegały ponad polaną, siadały na okopisku, i zrywały się znowu, by z głośnem, złowróżbnem krakaniem przelecieć ciężko i powoli.

Pod dębem, osłonięty jego konarami i napół w nich ukryty, stał wielki, kamienny, niezgrabnie wyciosany posąg bożka Striboga. Przedstawiał on człowieka, mającego trzy szkaradne, z wielkimi czarnymi oczami głowy. Trzy te głowy opasane były pewnym rodzajem przepaski, w kształcie trójkąta. Bożek ten, zwany także Strzygą, wyciosany był z piaskowca, niegdyś białego, dziś przez czas i deszcze mocno szerniałego. Tu i owdzie po kamieniu znać było szare pasy od deszczu, który ściekał z gąłęzi dębu.

III.

Miedzy obecnymi zrobił się ruch. Jak tylko arcykapłan podniósł się z wielkim trudem ze swego siedzenia pod dębem, powstali zaraz wszyscy, bo i młodzież, dotąd osobno stojąca, złączyła się z wiecowymi mężami — i ruszono tłumnie ku gontynie. Wszyscy odkryli głowy, gdy kapłan zdjął swój kołpak bobrowy przed posągiem Strzygi. Oddawszy temu kamiennemu bożkowi kilkakrotny pokłon, wszedł do gontyny, której drzwi zostawił otwarte.

Teraz z pomiędzy zebranych poczęli występować niektórzy i składać pod drzwiami różne ofiary: ten kure, ów gołębia, tamten cielę lub jagnię, inny podplomyk²⁾, a jeszcze

¹⁾ Miejsce warowne.

²⁾ Podplomyk — rodzaj placka z mąki jęczmiennej.

inny garść krup¹⁾ lub mąki. Koźlątko jakieś, rzucone ze związanymi nogami pod gontynę, głośno i żałośnie beczało.

Wkrótce we drzwiach gontyny ukazał się siwobrody arcykapłan w białych szatach, ale przepasany nad biodrami czerwonym pasem, suto nabijanym złotymi gwoździemi. Na głowie, w miejsce kołpaka, miał szczerozłotą koronę, a w ręce wielki nóż, wyrobiony z krzemienia. Posuwał on się wolno ku świętemu dębowi, a za nim szli inni kapłani, śpiewając starą jakąś pieśń. Kiedy zbliżyli się do bożka, stanęli i oddali mu trzykrotny pokłon, powtarzając ciągle:

— Strzyga! Strzyga! Strzyga!

Zaraz też jeden z kapłanów przyniósł owo beczące koźle i położył je na wystającej podstawie u nóg bożka, a arcykapłan, zbliżywszy się, kilkakrotnie pchnął ostrym krzemienным nożem biedne koźlątko w samo serce. Krew trysnęła strumieniem i spływała na trawę po kamiennej podstawie. W ten sposób przebijano wszystkie przyniesione zwierzęta — a gdy ofiara ta się skończyła, młodzież wzięła zabite stworzenia i oprawiać je poczęła. Nad oprawcami tymi unosiły się gromadnie kruki i wrony, czekając na odpadki, chwytając one skwapliwie i walcząc o nie z sobą.

Tymczasem kapłani na ścieżce, od gontyny do okopu wiodącej, ułożyli włócznie²⁾ ostrzami do siebie w ten sposób, że tylko wąskie przejście pozostało między nimi. Gdy już to zrobiono, jeden z kapłanów wywiódł z gontyny na złocistej uzdeczce białego jak mleko żrebca, który szedł, rżąc głośno, co między obecnymi wywołało radosne uniesienie, bo, jak mówili, dobrą było wróżbą. Koń był prześliczny i tylko na czole miał gwiazdę czarną, a był on poświęcony najświętszemu z bożków, Jessemu³⁾, którego

¹⁾ Kasza. ²⁾ Włócznia — rodzaj długiej dzidy, lancy. ³⁾ Jesse —

bóg bogów i istnienia.

posąg ukryty był w głębi gontyny. Na koniu tym żaden człowiek siedzieć nigdy nie mógł.

Prześlicznego żrebca, niespokojnie grzebiącego kopytami ziemię, przyprowadzono przed arcykapłana. Ten, mruczając smutnym i drżącym głosem jakieś słowa, wziął konia za uzdę i wprowadził go na ową wąską drożynę między ostrza włóczy. Wszyscy skwapliwie otoczyli konia i pilnie patrzyli, czy nie zawadzi kopytami o które z ostrzy, co miało znaczyć nieuniknioną wojnę i wielki krwi rozlew.

Jakoż niespokojny żrebiec nie uszedł i kilku kroków, gdy uderzył kopytem o jedno z ostrzy i odrzucił je daleko. Zaraz też podniósł się większy krzyk i lament. Potrząsano groźnie włóczyniami, maczugami i wołano:

— Na wrogi! Na wrogi!

Młodzież w uniesieniu radości poczęła naciągać łuki i strzelać z nich do wron i kruków, które unosiły się nad grodziskiem, czyhając na resztki z oprawianych zwierząt. Kilka z tych ptaków padło przeszytych strzałami, a reszta rozbiegła się dokoła.

Z W. Przyborowskiego.

Co znaczą wyrazy: gontyna, kościół, synagoga, bóżnica, meczet, świątynia? Czy te świątynie były podobne do naszych? Objaśnij wyrazy: grodzisko, podpłomyk, włócznia, Jesse.

(Wygląd kraju naszego w owych czasach: puszcze, mało ziemi uprawnej, obyczaje i zajęcia ludu).

8. MODLITWA.

Niech się pieśń do Boga wznosi,

On Ojcem, my dzieci;

On nam deszczem ziemię rosi,

On nam słońcem świeci.

On nam liściem zdobi drzewa,

A kwiatami łąki,

Z jego woli słowik śpiewa,

Kosy i skowronki.

On pełnymi zbóż kłosami

Okrywa zagony,

On sad stroi owocami,

On nam daje plony.

On gwiazdami niebo złoci

I zapala zorze.

Ach, za tyle Twej dobroci

Dzięki Tobie, Boże!

9. Kościółek wiejski.

Kościółek wiejski stał na wzgórzu. Niewielki, murowany, z wysoką wieżyczką i dzwonnica. Kryty czerwoną ceglana dachówką, zdaleka jest widoczny. Otacza go dosyć obszerne podwórze, czyli tak zwany cmentarz, chociaż nie ma tu grobów, ani pomników. Podwórze ogradzają murowane słupy, połączone parkanem z desek, na których są wymalowane sceny z męki Chrystusa.

Do kościołka prowadzi niewielka kruchta. Wprost głównego wejścia jest tu krzyż z Panem Jezusem, a pod nim woda święcona w kamiennem naczyniu. Kościółek oświetlają duże okna, umieszczone bardzo wysoko. W wielkim ołtarzu znajduje się obraz Chrystusa zmartwychwstającego, na prawo obraz Matki Boskiej, a na lewo św. Jana. Ołtarze zdobią sztuczne albo świeże kwiaty, stosownie do pory roku, i wielkie świece woskowe w wysokich świecznikach. Z obu stron obok wielkiego ołtarza znajdują się duże ławki, a na lewo drzwi do zakrystji.

W nawie¹⁾ kościołka jest drewniana kazalnica, na którą

¹⁾ Wnętrze kościoła.

wchodzi się po schodkach, i dwa szeregi ławek, między którymi pozostaje wolne przejście. Naprzeciwko głównego ołtarza znajdują się organy.

Zwykle w kościółku jest chłodno i mroczno, lecz gdy w niedzielę z rana podczas nabożeństwa przez kolorowe szyby błysną promienie słońca, napędzają go dziwnie uroczyste blaski. Od ołtarza wznoszą się dymy kadzideł, z organów płynie poważna muzyka, a z piersi ludu bije w niebo głos modlitwy, pieśń skruchy i dziękczynienia.

Na cmentarzu rosną lipy i topole, na dzwonnicy i nad oknami gnieźdzą się jaskółki i gołębie, — a za parkanem widać złotem szumiące albo czarne pola, w dali las, — trochę na prawo plebanję¹⁾, a na lewo wstęgę chat wiejskich, otoczonych zagrodami i drzewami.

Co to jest kruchta, ambona, nawa, zakrystja?
Czy to jest opis, czy opowiadanie?

10. Jezus naucza na górze.

Razu jednego, gdy się wielkie mnóstwo ludu około Jezusa zgromadziło, wstąpił na górę i nauczał:

„Kochajcie waszych nieprzyjaciół, czyńcie dobrze tym, którzy was nienawidzą, i módlcie się za tych, którzy was obrażają i prześladują, abyście byli dziećmi Ojca Niebieskiego, który słońcu nad dobrymi i złymi wschodzić każe, dla sprawiedliwych i niesprawiedliwych deszcz spuszcza. Bądźcie więc doskonałymi, jak wasz Ojciec Niebieski doskonałym jest.

Czyńcie dobrze nie dlatego, aby was ludzie widzieli. Gdy jałmużnę dajesz, niech nie wie twoja lewica, co prawica daje.

Jeżeli odpuscicie bliźnim winy ich, Ojciec Niebieski odpuści wam także grzechy wasze. Lecz jeżeli nie odpuscicie

¹⁾ Domek proboszcza (plebana).

ludziom grzechów ich, Ojciec Niebieski nie odpuści wam grzechów waszych.

Nie sądźcie, abyście nie byli sądzeni. Albowiem jaką miarką mierzycie, taką wam będzie odmierzono. Porzućcie wprzód błędy wasze, nim błędy bliźnich waszych spostrzeżecie. Wszystko, co chcecie, aby wam ludzie czynili, to wy im czyńcie.

Nie każdy, kto mówi: „Panie! Panie!“, wejdzie do Królestwa Niebieskiego, lecz tylko ten, który pełni wolę Ojca mego, który jest w niebiesiech“.

Ks. Serwatowski.

Zastanów się nad każdym ustępem tej nauki.

11. Dzionek na wsi.

Raniusieńko jak zorze
Słychać ptaków śpiewania:
Skowroneczek już orze,
A przepiórka pogania.
Wiatr po liściach szeleści,
Coraz widniej, niebieściej,
Każde przy swej robocie;
Bocian chodzi po błocie,
Słowik śpiewa, a śpiewa,
Żołna¹⁾ lasy rozsiewa,
Przyśpiewują na głosy
To wywilgi, to kosy,
I człek myśli, że w raj, u,
A on w kraju, oj, w kraju!
Na zachodzie pogoda,
W jasnem niebie wesele,

Dał Bóg ludziom oj—wiele,
Może jeszcze co doda...
Już z południa daleko,
Ludzie z miasta się wleką,
Idzie baba wśród drogi,
Wiedzie krówkę za rogi.
Chłopek pędzi, a krzyka,
Że aż kładą się szkapki,
Grajek wziął się do smyka,
Spuścił nogi przez drabki:
Dylu-dylu, od ucha!
Kto ma uszy, niech słucha.
Środkiem włódark²⁾ się toczy
Nawdział czapkę na oczy,
Zajrzał w dzbanek niedużo,
A nogi mu nie służą.

¹⁾ Żołna—dziesięć czarny lub zielony.

²⁾ Włódark—dozorca robót na wsi.

Szumia łąsy, hej, łąsy, To i to się wytrzyma.
A w karczemce brzmia basy: Ot, i dzwoni już dzwonek
Kiedy skakać, to skaczą, Na wieśniaczym kościele;
A kiedy pić, to piją, Dzięki Bogu za dzionek,
A jak płakać, to płaczą, Za serdeczne wesele.
A jak bić się, to biją... I za wszystko, co miłe,
To już u nas tak idzie: I za wszystko, co boli,
Na połówkę nic niema; W ciężkiej pracy za siłę
A pocierpieć jak przyjdzie, I za uśmiech w niedoli.

T. Lenartowicz.

Czy podoba ci się życie na wsi? W jaki sposób ludzie na wsi pracują? Czy ich praca jest lekka i łatwa? Zamiłowanie ludu wiejskiego w pracy na roli, miłość ziemi i natury.

12. Bartoszek.

I. Wyruszyliśmy w pole w pełnym rynsztunku¹⁾: Tadek ze strzelbą i ładownicą, ja z puszką i siatką na motyle.

Gdy tak idziemy miedzą²⁾, nagle Piwek zaczyna szczekać i rzuca się na jakieś małe zwierzątko.

— Chomika ma! — krzyczy Tadek, biegnąc na pole. Rzeczywiście Piwek starał się uchwycić zębami chomika, który stał na tylnych łapkach i, mruczając, z wściekłością skakał psu do pyska. Nierówna walka prędko się jednak skończyła: Piwek chwycił chomika za kark i zagryzł.

— No, tego chyba nie będziesz żałował! — mówił Tadek — to jeden z największych niszczycieli. W zeszłym roku odkopaliśmy jamę chomika, tośmy w niej trzy garnce najpiękniejszej pszenicy znaleźli.

Postanowiliśmy zrobić szkielet z chomika, to też przytroczywszy go, poszliśmy dalej w tę stronę, gdzie pod lasem pasło się stado krów.

¹⁾ Uzbrojenie.

²⁾ Miedza — wązki pas ziemi między dwiema rolami.

II. Zdaleka już dostrzegł nas pies duży, czarny z białymi łatami, i biegł z gniewnem szczekaniem. Zaledwie jednak ujrzał Tadzia, gniew jego zamienił się w radość; skakał Tadziovi na piersi, łasił się, nie zważając na Piwka, który warczał i kopał ziemię.

— Łysek! Łysek! — wołał Tadzio. — A gdzie twój pan?

W tej chwili z za gruszy polnej wystąpił pan Łyska. Był to chłopiec wiejski w naszym wieku, z ładną, mocno ogorzałą twarzą i niebieskimi oczyma, które patrzyły ciekawie z pod dużego kapelusza. Pod pachą trzymał bat, a w rękę plecionkę ze słomy, przeznaczoną widać na nowy kapelusz. Zbliżał się ku nam z uśmiechem.

— Jak się masz, Bartoszu! — zawołał Tadek, wyciągając rękę.

Bartoszek podał swoją.

— Dziękuję Tadziovi, zdrów jestem. A Tadzio także? na długo przyjechał? na całe lato?

— Na lato, na wakacje! Niebardzo one tam długie, ale przecie jeszcze mamy blisko dwa miesiące. Cóż u ciebie słychać?

— A nic. Bydło w tym roku pasę.

— Matka zdrowa?

— Zdrowa, dziękuję Tadziovi, i Jaś zdrów, wszyscy zdrowi.

— Chwała Bogu! — odrzekł Tadzio. — A książki dostałeś na Boże Narodzenie?

— Dostałem, dziękuję bardzo, — i wszystkie już przeczytałem. Śliczności książeczki! A tego Robinsona z Piętaszkiem to już trzeci raz czytam...

— A pisać nauczyłeś się już? — pytał Tadek dalej.

— Gdzie zaś! Nie było czasu w zimie, a teraz już późno. Tadzio zamyślił się.

— Dlaczego późno? Będziemy cię przez lato uczyli.

Wyproszę u ojca, żebyś trzy razy na tydzień przychodził wieczorem na godzinę, i będziemy się uczyć. Zgoda?

Bartoszek nic nie odrzekł, ale uchwycił Tadzia za rękę i chciał ją pocałować.

— Zwarjowałeś! — krzyknął Tadek i, wyrwawszy rękę, sam Bartoszka uściśkał.

III. Rozmowa zeszła na inny przedmiot. Bartoszek oglądał ciekawie strzelbę Tadzia, jego ładownicę i rożek z prochem. Zachwycony był niemniej od samego właściciela tych nieocenionych skarbów.

— *Tera* to Tadzio będzie dopiero *strzylał!* — mówił rozpromieniony. — A zwierzyny nawet nie brak w tym roku!

— E? — pytał Tadek.

— Są dwa stadka kuropatw w tej oto konieczynie. Trzy inne stada wychowały się w jałowcach nad łąką. Przepiórek w polach moc, jeno jeszcze na jajach siedzą. Zające małe i duże precz widuję, jak rano krowy pędzę. A w kępie¹⁾ niemieckiej tyle gołębi, że oj, oj!

— Nie może być! w kępie?

— W kępie! i w jednej i w drugiej. Jak spłoszyć je w kępie niemieckiej, to wnet lecą do polskiej; a jak je tam spłoszyć, to uciekają do niemieckiej.

— Co ty gadasz?

— Sprawiedliwie mówię; toć mało nie codzień je widzę. Tadziowi oczy błysnęły.

— Wiesz, mam kapitalną²⁾ myśl — rzekł, zwracając się do mnie. — Jutro o świcie zrobimy wyprawę na gołębie. Ja pójdę do jednej kępy, ty do drugiej; twoje gołębie będą przelatywały do mnie, moje—do ciebie, i będziemy kropić, co wlezie! Ba, tylko skąd wziąć strzelbę dla ciebie?

— Otóż to! — odrzekłem ze smutkiem, gdyż myśl Tadzia wydała mi się rzeczywiście kapitalną.

¹⁾ Rodzaj wyspy na rzece, jeziorze, stawie. ²⁾ Doskonała.

— A to, proszę Tadzia, można u nas wziąć pojedynkę od mego brata. Oni nieraz dawali do dworu, jak było trzeba.

— Prawda! świetna rada. Niechże cię uściśkam, Bartoszku mój złoty, kochany! — krzyczał Tadek, obracając Bartoszka na wszystkie strony. — Poproś brata, żeby dziś wieczorem przyniósł strzelbę; powiedz, że ja bardzo, a bardzo proszę.

— Dobrze, ja sam przyniosę.

Kto z nas był bardziej uradowany: czy ja na myśl o szczęściu, jakie mnie czeka jutro, czy Tadzio z mego szczęścia—doprawdy, nie umiem powiedzieć.

Bartoszek stanowczo był nieoceniony. Dowiedziawszy się, że chcemy mieć szkielec z chomika, poradził nam jeszcze, żeby obedrzeć go ze skóry i wrzucić do mrowiska.

— To — powiada — mrówki tak objedzą całe mięso, że same jeno kosteczki zostaną.

Tego samego dnia jeszcze chomik nasz został obdarty i wpakowany na pożarcie mrówkom do dużego mrowiska, które spotkaliśmy w krzakach.

Rozstaliśmy się z Bartoszkim w największej przyjaźni, z uroczystem przyrzeczeniem, że strzelba będzie.

M. Brzeziński.

Wyszukaj wyrazy podobnego znaczenia co: łan, stado, jama, przechadzka, przyrzeczenie.

(Stosunek z wiejskimi dziećmi).

13. PRZEPÍÓRKA.

Uciekła mi przepióreczka w proso,

A ja za nią nieboraczek boso;

Uciekła mi przepióreczka w las, w las,

A ja za nią nieboraczek laź, laź.

Trzebaby się pani matki spytać,

Czy pozwoli przepióreczkę schwytać.

— Schwytajże ją, mój syneczku, schwytaj,

Tylko jej się pióreczek nie tykaj.
— A jakże ją, pani matko, schwytać,
Żeby jej się pióreczek nie tykać?
— A zastawże, mój syneczku, sieci,
To ci sama przepióreczka wleci.

14. J E S I E Ń.

Jabłonka i grusza podpórek aż proszą,
Tak na nich i jabłek i gruszek;
Podpórki dziewczątka z podwórka przynoszą,
Gdzie struże dziadulo staruszek.

Na polu omglonem, jak oko zasięga,
Skończone ostatnie roboty,
I cisza wokoło, a gąsior gdzieś gęga,
I ziemia już tylko a płoty.

Po drodze to wózek podróży zadudni,
To bydlę się przemknie u rowu,
To żóraw¹⁾ wysoki zaskrzypi u studni,
I spokój rozsiada się znowu.

Brat w małym ogródku motyką wciąż kopie,
Dziadulo jak struże, tak struże,
Dwie siostry przed chatą trą białe konopie,
A klekot odbija podwórze.

T. Lenartowicz.

Skąd pochodzi nazwa października i listopada? A innych miesięcy?

15. Sąd krasnoludków.

Uroczyście, wspaniale otwarł się królewski sąd w Słowi-
czej Dolinie. Król jegomość wystąpił w całym majestacie²⁾.
Purpurowy płaszcz jego niósł za nim opasły paź Kręzo-

¹⁾ Długi kij na podpórce do wyciągania wiadra.

²⁾ Przepych, okazałość.

łek, złota korona błyszczała na królewskiej głowie, a bry-
lantowe berło¹⁾ stało takie blaski, jak wschodzące słońce.
Przed stopniami sali sądowej stał oskarżyciel, bystry Kocie-
oczko, tuż za nim Mikuła i Pakuła w paradnych mundurach,
dokoła, ale w pewnem oddaleniu, tłoczyły się krasnoludki,
a wszystkie oczy zwrócone były na oskarżonego.

Szczurek stał pochylony, skurczony, w ubogiej sukman-
ce na grzbiecie, mając przednie łapki mocno związane za
plecami, pozieleniały ze wzruszenia i ze strachu, a tak drżą-
cy, że nogi widocznie trzęsły się pod nim, jak w febrze.

Właśnie wymowny Kocieoczko, skończywszy przedsta-
wiać jego winę, żądał surowej kary: już to co najmniej po-
wieszenia na najwyższej gałęzi dębu, oraz zwrotu strat
i kosztów procesu²⁾.

Szanowny oskarżyciel aż zachrypnął w ciągu tego wywodu
i, ocierając spocone czoło, sapał głośno.

Król skinął berłem i zapytał sam:

— Jak się zowiesz, nieszczęśniku?

Zsiniał szczur i na nogach się zachwiał, aż popchnięty
ku królowi przez Mikułę: — Wiechetek, do usług! — rzecze
cichym głosem.

A król:

— Dlaczego brałeś to ziarno?

— Głodny byłem... nędzarz byłem... dzieci moje konały
z głodu...

— Ale głód nie daje prawa do cudzego mienia. Czy
nie tak?

— Tak, miłościwy królu! — odrzeczł Wiechetek, drżąc
cały.

— Więc cóż masz na swoją obronę? — spytał król.

— Nic... prócz głodu... Głód... straszny głód...

— Ale nie mogłeś i przy największym głodzie zjeść tej

¹⁾ Laska, znak władzy królewskiej.

²⁾ Sprawa w sądzie.

miary zboża. Dziesiąta część wystarczyłaby tobie i dzieciom twoim.

— Zimy się bałem, miłościwy królu! Zima strasznie długa... ciężka... Połowa moich dzieci wyginęła tamtej zimy, królu! Ach, jak cierpiały strasznie!... Najmłodsze... najmłodsze dziecko moje, królu, umierało w oczach moich z głodu... Sześć dni, sześć nocy patrzyłem na to... i żyłem, żyłem... i nie mogłem sam za nie skonać... nie mogłem!

Odwrócił król oblicze sędziwe, na którym malowała się litość, a w drużynie¹⁾ krasnoludków słychać było ciche łkanie. To Pietrzyk płakał.

Wiechetek mówił dalej:

— Po najmłodszym umierał starszy... starszy syn mój, królu, umierał w moich oczach... Dziesięć dni, dziesięć nocy konał... i ja patrzałem na to... i nie mogłem umrzeć za niego sam, choć umierałem z nim razem...

Zmarszczył król brew, żeby powstrzymać łzę, nabiegającą do oczu; w drużynie krasnoludków słychać było głębokie westchnienia, Pietrzyk łkał głośno.

Wiechetek mówił dalej:

— A potem umierał trzeci... Trzeci syn mój, królu umierał... Z głodu syn mój umierał, o królu, a ja patrzałem na to... W moich oczach, królu, syn mój umierał z głodu... A ja nie mogłem umrzeć!

Wtem począł się trząść bardzo i, zmrużywszy oczy:

— Głód... głód... głód... — szeptał nieprzytomnym głosem.

Ale król Blystek podniósł berło i rzekł:

— Srogim być muszę, boś zawinił srodze. Ziarno to było siewne, na siew dla podobnego tobie nędzarza przeznaczone, który też głodne dzieci ma. Niech się nad tobą spełni sprawiedliwość.

— Śmierć, śmierć złoczyńcy! — zawołał Kocieczko.

¹⁾ Druhowie, towarzysze.

— Śmierć! — powtórzyli za nim Mikuła i Pakuła jednym srogim głosem.

Wiechetek stał, jakby porażony, trzęsąc się i patrząc obłąkanym wzrokiem.

Król odwrócił się i już miał sądny tron opuścić, kiedy wtem Pietrzyk rzucił się ku niemu z tłumy i, do nóg mu padłszy, zawołał:

— Głosu chcę za nim! Głosu za skazanym, miłościwy królu! Głosu, któryś mi sam dać chciał. Głosu! głosu chcę!

— Więc go masz! — rzecze król i schylił się ku niemu i dotknął go bardzo łaskawie.

A Pietrzyk z łkaniem:

— Więc przebacz! przebacz, królu dobry! Przebacz! Powiedz, powiedz, królu, że przebaczasz! To pieśń moja będzie. Moja jedyna. A inszej nie chcę! Nie chcę!...

Zapłakał stary król, widząc taki gwałt żałości w ulubionym słudze, i rzecze:

— Zwyciężyłeś, Pietrzyku! Zwyciężyłeś miłosierdziem sprawiedliwość moją. Niechże się stanie po twojej woli!

Tu skinął berłem i rzekł:

— Puście mi wolno nędzarza tego i nakarmcie dzieci jego! Ze stołu mego mają odtąd pożywać chleb dzieci jego. A ziarno dziś jeszcze oddać oraczowi i ziemi, która siewu czeka.

M. Konopnicka.

Dlaczego przebaczone szczerowi kradzież? Obowiązki względem biednych, — dążenie do polepszenia bytu ubogich. Tylko praca daje dostatek. Praca nie jest karą. Praca daje szczęście.

Czy to powiastka prawdopodobna, czy opowiadanie wymyślone?

16. Pierwszy snop.

— W imię Ojca, w imię Syna —

Wita krzyżem stary chłop

Przywieziony do stodoły

Pierwszy z pola żytni snop.

Ukląkł zbożnie¹⁾ na klepisku
 I całuje chlebny kłos,
 Na słomianą okiść²⁾ kładzie
 Siwą głowę, siwy włos!
 — Chleba, Panie, powszedniego —
 W modlitewny szepcze ton.
 — Chleba, Panie, daj na życie,
 Wiązkę słomy daj na zgon!
 Niech zarodzi Twoja wola
 Czystem ziarnem bujny stóg!
 Witaj, chlebie, w chłopskim progu,
 Z Bogiem, z Bogiem za nasz próg!

El.

17. Czem są rośliny dla człowieka.

Świat roślinny, który zielonym kobiercem pokrywa powierzchnię całej ziemi, przedstawia pod każdym względem nieskończoną ważność dla człowieka. Nie chodzi nam w tej chwili o piękność i różnorodność jego kształtów, wspaniałość barw. Nie mówimy o tem zadowoleniu, jakie każdemu sprawiać musi cudowna zieleń łąk i pól, uroczysty szmer leśnej gęstwiny lub nieprzejrzanego obszaru zielonych fal stepu. Nie będziemy zastanawiali się nad czarownym światem kwiatów, zachwycających nas grą barw jaskrawych lub przepysznym zapachem. Przyjemność, jakiej dostarcza nam świat roślin, pozostawić musimy na drugim planie, — na pierwszym stawiamy korzyść.

A jest ona prawdziwie nieocenioną!

Przedewszystkiem większość pokarmów, a nawet wszystkie pokarmy nasze otrzymujemy ze świata roślin. Wszakże wół, wieprz, baran — żywią się roślinami, a z tego pokarmu roślinnego wytwarza się ich mięso, wyrabiają się te be-

¹⁾ Pobożnie. ²⁾ Okiść, kiść — znaczy tu pęk kłosów zboża. Właściwie okiścią nazywamy śnieg na gałęzi.

szytki, szynki, kotlety, które nam tak smakują. Jedną sól tylko czerpiemy z państwa minerałów. Z napojów tylko woda czysta i wody mineralne nie pochodzą od roślin. Inne zaś: wino, piwo, wódka, kawa, herbata, czekolada, są pochodzenia roślinnego, zarówno jak cukier, stanowiący ich przyprawę.

Nietylko potrawy i napoje zawdzięczamy roślinom, dostarczają nam też one i odzieży. Prócz wełny i jedwabiu wszystkie inne tkaniny są pochodzenia roślinnego, wyrabiają się z lnu, bawełny i konopi. A jedwabnik i baran żywią się przecież także roślinami.

Z roślin mamy największą ilość lekarstw. Wspomnimy tylko korzeń rabarbaru, olej rycynusu, korę drzewa chinowego, kwiat rumianku, liście mięty i t. p.

Wreszcie zauważmy, że niema budowli, niema żadnej maszyny lub narzędzia, w skład którego nie wchodziłoby drzewo, a dojdziemy do przekonania, że niema prawie takiej rzeczy użytecznej dla człowieka, któraby wprost lub pośrednio nie pochodziła od roślin.

To też nic dziwnego, że rośliny od najdawniejszych czasów nęciły ku sobie rozum ludzki. Tysiące uczonych pracuje nad piękną nauką o roślinach — botaniką, a miliony ludzi stara się z nią zaznajomić dokładnie, żeby poznać tę skarbnicę bogactw i przyjemności, jaką stanowi czarowny świat roślin.

M. Brzeziński.

Czy ludzie mogliby żyć na ziemi, gdyby na niej nie było roślin?

18. DWA PŁUGI.

Raz na podwórzu stanęły dwa pługi:

Jeden długo spoczywał, z pracy wrócił drugi.

— Przyjacielu — rzekł pierwszy — nie rozumiem wcale, czemu ja tak przyćmiony, ty błyszczysz wspaniale;

Wszak z jednegośmy kruszcu, przecież nie jednacy;
Skądżeś ty nabrał blasku?— Czy chcesz wiedzieć? Z pracy?

St. Jachowicz.

Co to znaczy: „Bez pracy nie będzie kołaczy“, „Kto rano wstaje,
temu Pan Bóg daje“?

19. DWOREK.

Jak to ja sobie	A zechce bawić,
Domek ozdobię,	To jak zwyczajnie:
Ten modrzewiowy	Konia postawić
Dworzec ojcowy!	Każe się w stajnie,
Najprzód przed drzwiami	Gdzie koniczyną
Lipę zasadzę,	Poza drabiną,
Wkoło płotami	Przy czystym żłobie
Sad oprowadzę.	Przegryzie sobie.
Stawię przy wodzie	A że wypędzić
Świętego Jana,	Pragnę lenistwo,—
A na ogrodzie	A lubię ryby
Gniazdo bociana.	Oraz myśliwstwo;
Będą przy stawie	Więc już psów chmara:
Chodziły pawie	Bo od ogara
Pod stodołami	Aż do jamnika,
Na ziarno pszenne	Co lisy dusi,
Białe gołębie,	U mnie być musi.
Goście codzienne.	A mam u siebie
Jeśli kto do mnie	Starego dziadka,
Łaskaw przyjedzie,	Co sieci robi:
To słup przed sienią	To będzie siatka.
Stoi na przedzie.	Słowem, co chcecie,
Przy nim mosiężne	U mnie znajdziecie:
Wiszą kółeczka,	Ryby i grzyby,
Gdzie się przewleka	Mąka i łąka.
Długa uzdeczka.	

Teofil Lenartowicz.

20. Płynie Wisła, płynie!

Oho, płynie tak dawno, że nikt nie pamięta, kiedy tu
przyplnęła w nasze strony. Może i wcale ludzi tu nie było.
I pewno, że nie było. Sama tylko mogłaby opowiedzieć
chyba te dawne dzieje, — ale i tego nie wiem, bo przecież
te wody, co wówczas w niej płynęły, dawno wpadły w mo-
rze, a coraz inne, inne Wisła niesie.

A ona wciąż ta sama. Tę samą ma barwę, ten smak
wody, kierunek, szerokość, siłę, obyczaje. Choć wody inne,
a rzeka ta sama, bo tem samem płynie korytem; — choć lu-
dzie umierają i rodzą się nowi, ten sam zostaje naród.

Ale jak to było, kiedy po raz pierwszy ta złotowłosa pani
zaszła w nasze strony? Czy nigdzie tej historii nie spisano?

Trochę, troszeczkę może i spisano na księdze bardzo sta-
rej, o! starszej od Wisły, na ziemi samej. Coś ona wie
o tem, może i powie — popatrzmy uważnie.

Het, het, gdzie to początek naszej pani rzeki, gdzie ko-
leбка, w której się wykołysała? Het, het, w górach aż na
południu. Spłynęła sobie potokiem w dolinę i, jak dziecko,
nie wie sama, gdzie się zwrócić. I tu pięknie, i tu ładnie,
i tu słonko świeci, — więc naprzeciwnie niemu, ku wscho-
dowi!

Płynie i myśli:—Do słonka płynę! Wprost ku niemu. Gdy
wstanie z rana, pierwsza je zobaczę i pierwsza je powi-
tam;—to najlepsza droga.

A wtem z za jarów¹⁾ i wzgórz wyszedł szybko San młody
i wesół. Spotkali się nagle i uderzyli mocno, jak to w bie-
gu bywa. Zaszumiało im w głowach, pociemniało w oczach,
zakręciło się wszystko, a nazajutrz z rana Wisła spostrzegła,

¹⁾ Jar—parów, głęboka dolina między wzgórzami o stromych
brzegach.

że już nie ku słońcu płynie, ale od niego precz, aż het, na północ.

Oburzyła się srodze na psotnika, co jej tak zmylił drogę.

— Ho, mości panku — zawołała dumnie — nie wyobrażaj sobie, że nie wiem, co robię, że tam pójdę, gdzie zechcesz. Mam ja swoją wolę i...

— Pani siostró — rzekł San pokornie — jeżeli obraziłem cię, to przebacź, bo nie przez figle zmyliłem ci drogę. Ani wiesz, coby cię musiało spotkać, gdybyś dalej na wschód płynęła. Zapytaj wiatru, jakie tam rzeki ogromne, jakie potężne zagrządzają drogę; musiałybyś utonąć w nich bez śladu i nie tam iść, gdzie zechcesz, lecz gdzie cię poniosą. Zapytaj wiatru.

Wiatr, przyjaciel Sanu, zaszumił długo, tęskno i przeciągle, a Wisła zrozumiała jego pieśni.

Więc cicho płynie na północ i myśli: — Czy to tam moja droga? Tam, gdzie niema słońca, i tylko gwiazda jedna świeci co noc w tem samym miejscu? Czy tam?

A wtem od wschodu biegnie znowu rzeka, poważna i spokojna, czołem przed nią bije i świeże nurty¹⁾ łączy z Wisłą biegiem.

— Witaj, o pani! — woła — i pozwól się ostrzedz: na zachód zwróć swe wody, bo przed tobą inne płyną rzeki, bo tam nie twoje państwo, tyś im niepotrzebna i zginiesz między niemi bez imienia.

— Aha! — odparła Wisła — ja przeczuwałam, że to nie moja droga. Dziękuję ci bardzo. Teraz widzę, jak dobrze mieć przyjaciół, co wieści niosą zdala. „Na zachód! Na zachód!“ — A czy tam moja droga? — I widzisz, polubiłam tę gwiazdeczkę, co na północy świeci, bo nie zmienia miejsca. Musi je kochać, musi być szczęśliwa, skoro go nie

¹⁾ Fale, bałwany.

opuszcza. Więc pójdę na zachód, ale troszeczkę zwrócę się i ku niej.

— O, nie! — zahuczał zdala, nadpływając, Bug z Narwią. — Nie na północ; na zachód, na zachód! Patrz, jak tam wspaniale! Słońce spoczywa w purpurze i złocie, pół nieba w ogniu każdego wieczora, — gdzie takie blaski znajdziesz? tyle światła? barw tyle, tyle cudów?

I porwana zapalem Buga, Wisła biegnie wraz z nim na zachód; olśniona blaskiem zachodniego nieba, tam widzi drogę swoją, przeznaczenie, i spieszy, spieszy.

Aż nagle ziemia sama podniosła się przed nią i rosnać się zdawała z każdą chwilą, jak gdyby jej tamować chciała drogę. Wisła się wspina, podnosi i wzbiera, lecz ciężko płynąć, coraz ciężej, ciężej.

— O matko ziemio! — szepnęła nakoniec — czemu mi stajesz przeszkodą na drodze, kiedy za słońcem biegnę do jej jasności? Puść mię!

— Nie, Wisło-córo, nie tam twoja droga. Inne tam rzeki płyną, nie walczyć ci z niemi na zgubę. Każdy swoje mieć musi i swojemu służyć; tu ziemia twoja, a tam droga twoja, ku tej gwiazdce, co świeci co noc w jednym miejscu. Więc z Bogiem, córko, tu ci wyznaczono państwo, w którym królować będziesz i odbierać jasną daninę wszystkich wód jego, by ją złożyć w morzu. To ukochaj i bądź kochana.

Spowaźniała Wisła na takie wezwanie i już bez oporu złociste fale zwróciła na północ, ku morzu. Płynie cicho, spokojnie, szeroko, bo wie, że tu jej wyznaczono pole, bo wie, że tu jej wieczne panowanie, że tu jej świat.

Ale to dawno było, bardzo dawno.

Skąd Wisła wypływa? Gdzie wpada do morza? Czy widziałeś którą z rzek, wpadających do Wisły? Dlaczego nazywamy ją królową rzek naszych? Jakie największe miasta leżą nad Wisłą? Czy znasz jakie podania o Wiśle?

21. Jak to na Mazowszu.

Po szerokiem polu modra Wisła płynie,
 Pochylone chaty drzemią na dolinie,
 Nad wodą zgarbiony stary dąb żyłasty,
 Kędy bielą płótna wesołe niewiasty.
 Po łące bociany stąpają powolne,
 W owsach jednostajnie brzęczą świerszcze polne,
 A z borów cienistych leśnej okolicy
 Rozwiewa się wonność sosnowej żywicy.
 Po niebie obłoki, jak bieluchne runo¹⁾,
 Słoneczkiem przeciekłe pod błękitem suną.
 Na wodzie, na Wiśle, wśród ciszy poranka
 Płynie łódź flisowska²⁾, jak szara cyranka³⁾;
 A za nią ładowne pszenicą galary⁴⁾,
 Szum wiosła na falach, i śmiechy, i gwary;
 Po boru jagody dziewczę rwie na wrzosie
 I śpiewa miłemu: — Pędź, głosie, po rosie!
 Po długiej dolinie tęskne tony cieką,
 I słysząc piosenkę daleko, daleko.
 I gdzie się obrócisz, nad Wisłą, nad Bugiem
 Brzmi nuta serdeczna za byłym, za pługiem,
 Po wodzie srebrzystej, po zielonym gaju —
 Jakby jedna dusza była w całym kraju.
 Oj, śliczna to ziemia to nasze Mazowsze!
 I czystsza tu woda, i powietrze zdrowsze,
 I sosny rosłejsze, i dziewczki kraśniejsze,
 I ludzie mocniejsi, i niebo jaśniejsze.
 Gdzie mi tak na świecie kto zagra od ucha?
 Gdzie mi się rozśmieję tak rażno dziewczucha?

¹⁾ Welna na owce lub baranie. ²⁾ Flisy zajmują się przewożeniem po Wiśle towarów. ³⁾ Cyranka — gatunek dzikiej kaczki.
⁴⁾ Szerokie a płytkie statki.

Gdzie mi pokażecie taką chatę lichą?
 Taki bór szumiący, taką łąkę cichą?
 Kędy ja usłyszę tyle ptactwa wrzasku?
 Skąd wam modrej Wisły i białego piasku?
 Serce moje, serce do tych lasów goni,
 Do Wisły, do Wisły! — oj, tęskno mi do niej!
 Niech ci Pan Bóg szczęści, ziemio mazowiecka,
 Płakałem nad tobą od małego dziecka,
 I myślałem nieraz, siedzący na progach,
 Czemu tyle krzyży stoi na twych drogach?...

T. Lenartowicz.

Gdzie leży Mazowsze? Czy wiesz, że Warszawa i Płock to największe miasta na Mazowszu? Jak nazywają mieszkańców Mazowsza?

22. KRAKOWIACY.

Piękna jest ziemia krakowska, i wesoły lud na niej mieszka, zawsze gotów do śpiewu, tańca i zabawy.

Niech się, co chce, dzieje,
 Krakowiak się śmieje —

mówią sami o sobie. Nie lubią długiego smutku, nie lubią martwić się nawet nieszczęściem i umieją wyperswadować sobie zawsze, że taka była wola Boża, a skargi i smutek nie już nie pomogą.

Żywy, porywczy Krakowiak serce ma złote, a dla tych, których kocha, gotów każdej chwili oddać życie i mienie. Ale też łatwo unosi się gniewem, o lada słówko skory do kłótni i bójki, choćby zginąć, nie ustąpi nikomu. Gniew jednak mija prędko, a wtedy najchętniej zapomina urazy i rad godzi się szczerze z niedawnym przeciwnikiem.

Ziemię swą bardzo kocha, dumny jest z pięknej i sławnej przeszłości, szanuje jej pamiątki i z miłością o nich

mówi. Tylko wspomnijmy przy nim choćby Krakusa i Wandę, jak mu się oczy palą, jak rad opowiadać. A dopieroż kochany, stary Wawel, groby królów, kościół Marjacki, a mogiła Kościuszki, a wspomnienia o Naczelniku. Hej! hej! nie skończyłyby nigdy.

Jako rolnik uprawia ziemię z wielkiem zamięłowaniem i staraniem; zajmują go ulepszenia gospodarskie, stara się o dobre narzędzia, dorodne¹⁾ bydło, porządną chatę i obejście²⁾, słowem jest pracowitszy, rozumniejszy i zamożniejszy, niż wieśniacy innych okolic.

Piękny strój Krakowiaka znany jest powszechnie. Stanowią go szerokie spodnie białe, w różowe lub niebieskie paski, wysokie buty, długa kamizela, skórzanym pasem przepasana, i granatowa kierezja³⁾ z czerwonym kołnierzem, naszywanym srebrem i złotem; lub biała sukmana z czerwonymi wyłogami, czapeczka z pawiem piórkim i czarnym barankiem, u butów podkóweczki, a kozik u pasa, przy którym brzęczy siedemdziesiąt kółek.

Czerwona czapeczka,
Na cal podkóweczka,
I biała sukmana,
Drobno haftowana
Pętlczkami, guziczkami,
Kółeczkami, hafteczkami
Dokolusienieczka,
Moja kochaneczka!

Strój kobiet także bardzo malowniczy: biała chustka na głowie, pięknie haftowana, wyszywany gorset ze złotymi kółeczkami, krótka kwiecista spódniczka i biały fartuch, często haftowany lub wstążkami naszyty. Na szyi korale, od których na plecach spada pęk cały różnobarwnych wstążek.

¹⁾ Piękne. ²⁾ Obejście—zabudowania gospodarskie. ³⁾ Rodzaj sukmany.

Gorset z litej¹⁾ materyje
I korali pełną szyję,
Przy nich medal z Matką Boską
Cudotwórczą, Częstochowską!

Wogóle jasne barwy przeważają w stroju, a wesołość w usposobieniu. Lud to żywy, serdeczny, odważny, junacki, a zarazem pracowity i roztropny.

Czy byłeś w Krakowie? Co tam widziałeś, jeśli byłeś? Co ci się najbardziej podobało? Czy znasz podanie o Krakusie? Co znaczy przysłowie: „Nie odrazu Kraków zbudowano“?

23. Marjacka wieża.

Patrz, Marjacka wieża stoi,
Dla miasta strażnica,
Na jej widok myśl się korzy,
A dusza zachwyca.
Na wysmukłej jej kibici
Sześć wieków drzemało²⁾,
Przecież piękna jak dziewica,
Przecież stoi cało.
A poważny w swym ogromie,
Niby rodzic miasta,
Kościół pod nią z rynku łona
Jak olbrzym wyrasta.
Śród sklepienia oko ginie,
Za myślą poleci
Aż tam, gdzie na skroniach Marji
Gwiazd dwanaście świeci.

E. Wasilewski.

Czy słyszałeś prześliczny hejnał, czyli pieśń pobożną, którą grają z wieży Marjackiej? Czy widziałeś w tym kościele wielki ołtarz? Zrobił go rzeźbiarz Wit Stwosz. Czy widziałeś w Krakowie jaką rzeźbę Wita Stwosza?

¹⁾ Przetykanej złotymi lub srebrnymi nićmi.

²⁾ Kościół Marjacki zaczęto budować w wieku XIII-ym.

24. Podziemny zamek.

(Podanie).

Do najpiękniejszych i najstarszych budynków w Krakowie należy zamek dawnych królów polskich na Wawelu. U podnóża Wawelu płynie modra Wisła, a pod górą jest pieczara, w której mieszkać miał smok bajeczny, zabity przez Krakusa. W podziemiach katedry zamkowej spoczywają zwłoki królów polskich, Tadeusza Kościuszki, księcia Józefa Poniatowskiego i Mickiewicza.

Pod zamczyskiem mieszczą się groby królewskie. Cisza panuje tutaj uroczysta.

Tutaj śpią króle-mocarze,
Poigrał czas z ich potęgą,
W proch chobrze rozsypał twarze
I pleśni opasał wstęgą.
A w ich zbutwiałej prawicy
Rdzewieje klinga¹⁾ szablicy.

Ale tylko na Wawelu i w grobach królewskich tak cicho.

Głębiej jeszcze pod ziemią, pod pieczarą smoka i milczącymi grobowcami, znajduje się inny zamek królewski, wsparty, bogaty, lśniący czerwienią i złotem, ozdobiony chorągwami, tarczami, złotogłowiem²⁾. Na ścianach porozwieszane zbroje, szable, karabele³⁾, a w olbrzymiej sali przy stole zasiedli w szatach godowych⁴⁾ królowie.

Siedzi Lech, Krakus, Wanda, Piast kołodziej, Mieczysław z krzyżem, Bolesław Chrobry ze Szczerbcem, Krzywousty z Żórawiem, co w 47 bitwach gromił wroga, Łokietek, co trzy razy na tron wracał, Kazimierz Wielki, królem chłopów zwany, Jadwiga i Jagiełło, dwu Zygmunatów, Stefan Batory, Sobieski, pogromca Turków i obrońca wiary, i wielu innych, mniej poważnych królów. Siedzą i gwarzą o tem,

co słyhać na ziemi, jakie wieści z kraju echo im przynosi: a twarze ich poważne czasem rozjaśni uśmiech, czasem iza błysnie w żrenicy, duma podniesie czoła, lub ból je pochyli ku piersiom.

A dalej jeszcze, w Tatrach, pod górą Giewontem, w podziemnych grotach, gdzie stopa ludzka nie powstała, śpią snem twardych rycerzy Bolesława Chrobrego.

Raz do roku, w wigilię Bożego Narodzenia, budzi ich pierwsza gwiazda, która zabłyśnie na niebie, i w podziemiach słyhać wtedy chrzęst i łoskot. Powstają w zbroje zakuci rycerze, zapinają hełmy, miecze z pochew dobywają i spieszą do Krakowa, do podziemnego zamku na Wawelu.

Stają w zbrojnym szyku i kołaczą do bram zamkowych.

Na ten odgłos otwierają się ciężkie wrzeciadze¹⁾, i wychodzi ku nim wódz ukochany, Bolesław Chrobry.

— Królu, czy czas już powrócić do życia?—pytają.

— Nie wybiła jeszcze godzina — odpowiada Bolesław Chrobry.

Wracają więc rycerze do pieczar tatrzańskich i zapadają znowu w sen twardy i nieprzespany.

Ale lud wierzy, iż przyjdzie godzina, gdy wybuchnie na świecie wojna święta; wstanie wtedy Bolesław Chrobry i sam swoich rycerzy obudzi. Wyjdą z tatrzańskich pieczar niezwykłe zastępy, a wielki król nie schowa już Szczerbca do pochwy, aż na ziemi zapanuje miłość, pokój i szczęście.

Podług „Upominku“.

Takie bajeczne opowiadanie o wypadkach lub osobach historycznych nosi nazwę *podania*.

¹⁾ Ostrze. ²⁾ Przetykana złotem materja. ³⁾ Krzywa szabla.

⁴⁾ Odświętnych.

¹⁾ Wrzeciadze—swory cz. zawory do zamykania u wrót albo drzwi

25. Bolesław Chrobry ¹⁾.

W nurtach Elby i Sali, wśród dniewnych wód fali,
 Kto to słupy żelazne tam bije?
 I z za Karpat wyżyny po Bałtyku głębiny
 Czyje godła, i znaki lśnią czyje?
 To Bolesław, mąż chrobry, ludów swoich pan dobry,
 Ale straszny na zdrajce i wrogi,
 Złączył braci Lechitów i, jak orzeł z błękitów,
 Precz daleko rozpuścił swe drogi.
 Za trud ciężki, znój krwawy, kupił bratnie Morawy,
 Zdobył Polsce Łuzatów dziedziny;
 Potem na Ruś daleką, gdzie gród stary nad rzeką,
 Poszedł zbierać rycerskie wawrzyny²⁾.
 Lecz choć w murach Kijowa tyle skarbów się chowa,
 Drogie szaty i droższe klejnoty,
 On nic nie wziął tym razem, tylko miecza żelazem
 Jak pan wyciął po bramie ich Złotej.
 A gdy z wrogów pogromu wrócił wreszcie do domu
 I do pochwy miecz schował szczerbiony,
 W nowej Gniezna świątyni biskup królem go czyni,
 Czoło wieńcząc mu złotem korony.
 Lata jeszcze żył potem, już nie miecza łoskotem,
 Lecz mądrością swą głośny po świecie,
 A gdy wreszcie legł w grobie, naród chodził w żałobie,
 Niby smutne po ojcu swym dziecię.

Marja Ilnicka.

Dlaczego uważamy Chrobrego za wielkiego króla?

¹⁾ Chrobry — mężny, waleczny. ²⁾ Wawrzynowymi (laurowymi) wieńcami ozdabiano głowy zwycięzców. Zbierać wawrzyny — zdobywać sławę.

26. Poranek na statku.

Przeszłego roku w czerwcu skończyłem lat 16, i rodzice pozwolili mi wraz z kolegami udać się na wycieczkę po kraju. Ileż przyjemnych wspomnień pozostało mi z tej wyprawy! I jak często myślałem sobie: ludzie jeżdżą daleko, za granicę, poznają obce miasta, obce kraje, a nie wiedzą, że blisko, tuż koło nich, tyle miejsc cudownie pięknych, które tak łatwo poznać, a zobaczyć trzeba, ażeby je ukochać całym sercem.

Wędrowaliśmy piechotą spory kawał drogi, trzymając się prawego brzegu Wisły. Nocowaliśmy różnie: w brudnych zajazdach żydowskich, gdzie na poduszce każdy kładł chustkę od nosa, żeby się zabezpieczyć od podejrzanej czystości pościeli; w dworach wiejskich, gdzie przyjmowano nas różnie, ale przecie ani razu nie odmówiono gościnności; w stodołach chłopskich, albo na skoszonej łące, na świeżem, pachnącem sianie.

A ile przygód! Tu w szczerem polu zaskoczyła nas ulewa, że przemokliśmy do suchej nitki, a następnie brodząc po kolana w błocie, wyglądaliśmy w końcu jak nieboskie stworzenia. Tam jadąc najętym wózkiem „wysypaliśmy“ się wszyscy szczęśliwie. To znów cudowny odpoczynek w lesie po nużącym upale; bohaterские zamiary przenocowania w „puszczy“ niebardzo rozległej — i honorowy odwrot z zapadnięciem zmroku do najbliższej osady ludzkiej.

Pod Wyszogrodem wsiedliśmy na statek, aby tą drogą dopłynąć do Płocka. Kajuty były zajęte, zdrzemnęliśmy się tylko na pokładzie w cichą, ciepłą, gwiaździstą noc lipcową.

II. Gdy otworzyłem oczy, był poranek. Słońce jeszcze nie

wzeszło. Nad nami rozciągało się niebo błękitne, przezroczyste, bez chmurki, tylko na wschodzie kilka różowych obłoczków zapowiadało bliskość gwiazdy dziennej. Patrzyliśmy w tę stronę zachwyceni. Naraz wystrzelił snop złotych promieni, blask przeniknął powietrze, zagrały brylanty na wodzie i wybrzeżach, a z pod horyzontu wypływała powoli wielka złota kula, niosąc ziemi światło i ciepło.

Stałem jeszcze zapatrzone na to codzienne zjawisko, gdy kolega trącił mnie lekko. Odwróciłem się w stronę przeciwną i mimowolnie krzyknąłem z podziwu. Płock od strony Wisły jest najpiękniejszym z miast polskich, i nie mogliśmy się nasycić jego widokiem. Z pośród białych, skupionych murów i dachów strzela w górę wysoka wieżyca niegdyś książęcego zamku, — obok niej w prawo, w lewo na błękitie nieba rysowały się krzyże i wieże kościołów, otulone ciemną zielenią ogrodów, w której świeciły białe mury domostw. A wszystko to na wzgórzu, opasane wstęgą Wisły, w której nurtach odbija się obraz odwrotnie.

Nie mogliśmy doczekać się wylądowania, tak nam pilno było dostać się do miasta, stanąć pod temi starymi drzewami, które je opasują cieniastą aleją, zwiedzić te stare, pełne pamiątek kościoły, i groby królów, i zamek książęcy, a raczej jego szczątki.

Nie zapomnę poranku tego i widoku, nie zapomnę naszej wycieczki i każdemu z kolegów mówić będę: jeśli chcesz doznać wielkiej przyjemności, wybierz się na pieszą wycieczkę po kraju.

Którzy królowie polscy pochowani są w Płocku? Który tam lubił mieszkać? Czy lubisz podróżować? Czy lubisz piękne widoki? Czy widziales kiedy wschód słońca? Jaki opis jest w tem opowiadaniu? Plan.

27. POLSKA.

A od gór tych aż do morza	A nad wioską i nad borem,
Legła ziemia sławna z zboża,	Nad sadami i nad dworem,
Zserca, męstwa, gościnności,	Jasną blachą pobijany,
Wielką wiarą i kochaniem	Świeci kościół murowany.
I przy wierze wiernem sta-	Stare drzewa wieży bronią,
[niem,	I na „Anioł Pański“ dzwo-
W której siedli duchem pro-	[nią.

[ści.	A gołębie krążą stadem
Bóg dał szczerą ręką z nie-	Nad plebanją i nad sadem.
[ba	

Narodowi, co potrzeba:	Dwór pod lipą stoi biały,
Dał mu chleba i stal twardą,	Pod Piastowym dębem chata,
Złota, srebra—jeno ¹⁾ w mia-	Nad nią bocian gniazdo splata,
[re!	A w niej żyje lud zuchwały.

Serce czułe,—duszę hardą,	Po nim gęsta bywa blizna ²⁾ .
Miękką wolę,—silną wiarę;	Bo po ojcu broń puścizna ³⁾ :
Kraj otwarty,—miłość kraju,	Kord ⁴⁾ we dworze wisi stary,
Ciężką pracę,—ramię silne,	W chacie stoi kosa stara,
Mądrość złożył w obyczaju	A lud jednej krwi i wiary,
I dał czucie nieomyłne!	A krew polska i ta wiara!

* Kędy wzgórek, to i dworek,	Po kościołach chwała Boska,
Kędy wioska, tam i woda,	Na odpusty naród płynie —
Kowal pijak i gospoda;	I cudowna Częstochowska
	Jak szeroka Polska stynie!
	W. Pol.

28. Paweł Cholewa.

Za czasów Bolesława Śmiałego, już z górą 800 lat temu, żył Paweł Cholewa.

¹⁾ Tylko. ²⁾ Znak po ranie. ³⁾ Pozostałość, co nam zostawił.
⁴⁾ Kord = szabla, pałasz.

Nieprzyjaciół wpadł do kraju i wiele narobił szkody i spustoszenia. Więc król Bolesław rychło zebrał wojsko, z dzielnych złożone rycerzy, i puścił się za nim w pogoń.

Dowiedziawszy się o pogoni, wróg umykał co tchu w lasy, którymi wówczas cała Polska była pokryta, i dopadł ich szczęśliwie.

Król Bolesław dowiedział się, którądy wróg uchodzi, więc puścił się za nim, ale skoro doszedł do owych lasów, widząc straszne gęstwiny, rzekł zasmucony do swoich rycerzy:

— Otóż masz! będziemy musieli przedzierać się przez gąszcze, a tymczasem nieprzyjaciół nam ujdzie.

I zapuścił się król w lasy, a wojsko za nim dążyło. Ale las stawał się coraz gęstszy, i nie można było dopatrzeć żadnej drogi, a wojsko szło bardzo powolnie.

— Trzeba nam będzie wrócić, szukać innej drogi — odzywa się ktoś ze starszyny — nie przejdziemy tędy, i wróg tu uciekać nie mógł; szkoda czasu.

— Czy słyszycie? — mówił król. — Ktoś drzewo rąbie w lesie!

I spał natychmiast konia i sam poskoczył w tę stronę, z której słychać było odgłos siekiery.

— Hej, człowieku! — zawołał król — ktoś ty taki?

Poznał chłop króla po złocistej zbroi, a zdjawszy czapkę, rzecze:

— Jam biedny cieśla, miłościwy królu, a zowie się Paweł Cholewa.

— Czy dawno tu drzewo rąbiasz?

— Od samego świtu, miłościwy królu — odpowie Paweł.

— A nie wiesz, którą drogą poszedł nieprzyjaciół?

— Juści wiem dobrze, miłościwy królu: skrył ci się tu, niecnota, na kępie za lasem.

A król aż podskoczył na koniu z radości, i zbroja na nim zachrzęściła, że o mało z niej skry nie sypnęły.

— A czy umiesz nas zaprowadzić na tę kępę najkrótszą drogą? — pytał dalej.

— Jest tu krótki manowiec¹⁾, to będzie ich można dopaść zaraz i bić — odpowie Paweł.

— Prowadź, człowieku, a jak doprowadzisz, nie będziesz więcej pracował w lesie siekiarą.

Sklonił się Cholewa i puścił się naprzód, a całe wojsko z królem posuwało się za nim cichuteńko i ostrożnie.

W godzinę może potem już było widać przez rzadsze drzewa okrutną czerń wroga, który się na kępie rozłożył obszernem obozowiskiem.

— Boga Rodzico! — zawołał król ognście i ruszył z kopyta, a za nim całe wojsko wpadło na nieprzyjaciela.

Wśród bitwy chłop okrutny zakrada się z tyłu na króla i już miał ciężką szablą ugodzić go w głowę, gdy poskoczył Paweł Cholewa, kładzie trupem wroga i królowi życie ocala.

W miesiąc potem wraca zwycięski król do stolicy, ale któż to obok niego jedzie w złocistej zbroi i kosztownych szatach? Nie hetman to, ani żaden wojewoda²⁾, ale chłop, Paweł Cholewa. Zaraz po bitwie zrobił go Bolesław rycerzem i wielkim panem, bo wszystek las i całą ziemię, którą wojsko na nieprzyjaciela prowadził, darował mu na wieczne czasy.

Z „Kmiotka“.

Czy rycerze byli krajowi potrzebni? A kmiecie? W jaki sposób służyli oczywiście rycerze, a w jaki kmiecie? Czy rycerze obeszliby się bez kmieci, a kmiecie bez rycerzy? Czy kmieć mógł zostać rycerzem? Kto z nich więcej narażał życie? Konieczność podziału pracy. Prace są różne, lecz równej wartości. Czy znasz przysłowie: „Pod nędzną siermięgą znajdziesz duszę tęgą“?

¹⁾ Manowiec — przejście bezdrożne. ²⁾ Wódz najwyższy w Polsce Piastowskiej.

29. CHŁOPEK.

Rycerz to niewielki,
Krajowi ubliża,
Który nad stan wszelki
Wieśniaka poniża.
Pracowity chłopek
I żywi i broni:
Żywi jego snopek,
A strzecha osłoni!
Ostrzem jego kosy
Ozłaca się ziemia,
On na niej wnet kłosa,
Wnet wawrzyn rozpleniał¹⁾.
Te błyszczące grody,
Te pańskie pałace,

Jego to zachody
I jego są prace.
Jego jest ciężarem,
Co lekko pan trwoni,
On na to pod skwarem
Z bydłociem pot roni.
Z dziećmi on głodnemi
Te ziarneczka zgania,
Które pan po ziemi
Za cacko roztrwania.
Rycerz to niewielki,
Krajowi ubliża,
Który nad stan wszelki
Wieśniaka poniża.

K. Brodziński.

Czyja praca zapewnia ludziom żywność? A więc czyja praca jest najpożyteczniejsza? Czy rozumny człowiek może nie szanować pracy i ludzi, którzy uczciwie pracują? Wymień wyrazy podobnego znaczenia co *chłop* i *rycerz*.

30. Chleb i szabla.

Chleb przy szabli gdy leżał, oręż mu powiedział:
— Szanowałbyś mię bardziej, gdybyś o tem wiedział,
Jak ja na to pracuję i wieczór i rano,
Żeby twoich bezpiecznie darów używano.

¹⁾ Rozpleniał wawrzyn—pomnażać chwałę; wawrzynem na znak ehwały wieńczono wielkich ludzi.

— Wiem ja, chleb odpowiedział, jakim służysz kształtem¹⁾:
Jeśli mię często bronisz, częściej bierzesz gwałtem.

I. Krasicki.

Wy tłumacz myśl tej bajki.

31. Szklanka wody.

Mówi pan do chłopca:

— Przynies szklankę wody dla tego gościa.

Chłopiec wchodzi, trzymając szklankę wody w ręku.

Pan do niego:

— Wróć się, niedołego! przynies przecież na talerzu!

Chłopiec się wrócił, wylał wodę na talerz i, niosąc, mówi do siebie:

— Ciekawy jestem, jak gość tę wodę z talerza wypije.

Wypisy Rymarkiewicza.

32. Wieczorynka²⁾ u Ewci.

I.

Zimno, ciemno, wiatr jęczy i migocze światłami latarni,
lub rzuca śniegiem w oczy, przenika za kołnierz.

Aż zadudniało na schodach, kiedy dzieci wbiegły z podwórza, spiesząc do Ewci na tygodniową wieczorynkę. Andzia tylko spokojnie stanęła na dole i upomina:

— Ciszej!

Andzia pamięta zawsze o sąsiadach i nie lubi hałasu, który innym przykry być może; razi ją też krzyk i tupanie, bo przecież schody własność wspólna. Może dlatego, że starsza, ma więcej delikatności pod tym względem.

Kazio zupełnie innego jest zdania: śnieg przecież otrzasać trzeba! Strzepnąć jesienną słotę, wilgoć, trochę błota—tu lepiej, niż w przedpokoju.

¹⁾ Tutaj znaczy: sposobem. ²⁾ Zebranie wieczorne dla wspólnej pracy przy wesołej pogawędce nazywamy wieczorynkami

Inni się nie spierają, ale tupią także, machają czapkami potrzásają parasole, brrr! brrr!

Hałas został na schodach, a do przedpokoju wchodzi przyzwolta zupełnie gromadka. Jak tu jasno i sucho, jakby śnieg nie istniał. Gospośia wita wszystkich uprzejmie, wesoło i wprowadza do swego pokoiku.

Prawdziwy tutaj warsztat: na środku rozstawiono duży stół z klapami, na stole lampa, a koło niej — rozmaitości: zabawki, książki, kajety, perkale, barchan, sznurki, stopy kolorowego papieru, koszyki — ktoby wyliczył wszystko!

Zebrania u Ewci bardzo pracowite, możnaby je nazwać słuszenie pożyteczną zabawą, gdyż pożytek mają na celu, choć są wesołe i przyjemne. Bo co tu zawsze śmiechu, psot, gwaru i żartów, nowych planów, a najwięcej zadowolenia i wybuchów radości.

To Ewci pomysł. Sama obmyśliła „Towarzystwo pożytku“, które liczy wielu członków, zbierających się u niej raz na tydzień i zajętych obecnie z prawdziwym przejęciem przygotowaniem „Gwiazdki“ dla ubogich dzieci, czy to znajomych, czy z ochronki lub szpitalika.

Zadaniem kółka teraz jest zgromadzić tyle podarunków, żeby jak najwięcej dzieci mogło być uszczęśliwionych. Kupować wszystkiego niepodobna, bo Towarzystwo ma tę szlachetną zasadę, że nie idzie do mamy po pieniądze, ale radzi sobie, jak może. A tu nietylko o zabawki chodzi: potrzeba i ubrania, sukienek, bielizny.

Więc otworzono warsztat. Materiały przyjmują się w naturze, naprawiają, przerabiają, i proszę zobaczyć, co to będą za skarby.

II.

Co sobota zbierają się dzieci u Ewci, bywa i po dziesięcioro. Każde dostaje robotę według tego, co umie i co lubi, każde zwykle coś przynosi: bieliznę, z której wyrosło,

podniszczone sukienki, uszkodzone zabawki, przeczytane książki; zdarzy się nieraz i sztuczka perkalu, i materiały na sukienkę, i ciepły paltocik, i niezłe buciki, i czapeczka, i pończochy. Wszystko się ogląda, naprawia, szyje i składa w dwa kosze: w jeden rzeczy do ubrania, w drugi naprawione zabawki.

Kazio rozwija tu cały swój genjusz¹⁾: przyszywa lalkom nogi, reparuje głowy, wstawia oczy, nakleja peruki²⁾, koniom przyprowadza grzywy i ogony, fabrykuje wózki, koleje, okręty, zbroje, szyszaki, fuzje i pałasze, skleja książki, układa kolekcje³⁾ obrazków w kajetach, słowem zupełna fabryka. Wyprosił sobie Franka na te posiedzenia, bo nikt mu nie pomaga tak zręcznie i szybko; każde zniszczone cacko pod ich ręką odzyskuje piękny wygląd i straconą wartość. Obaj z tego są bardzo dumni.

Władzio znowu maluje, ilustruje⁴⁾ znane bajki i opowiadania w cienkich kajetach, z których każdy całość stanowi. Oto historia Robinzона schnie przy piecu w ośmiu obrazkach. To Powrót Taty, a to Pan Twardowski, a to Historia lasu, który wyrósł, był piękny, stanowił mieszkanie zwierząt, ptaków, grzybów, a potem został ścięty, i co z niego zrobiono. To znów łódki, tratwy, różne statki i okręty, wszystko, co po wodzie pływa. Tu obrazki z Historji Światej; tu królowie, wojsko, bitwy, rycerze; tam zajęcia rolnika, tu różne zwierzęta, a tam dalekie kraje: Chińczycy i Murzyni, słonie i wielbłądy, węże i krokodyle. Prawdziwe skarby te kajety Władzia.

Dziewczynki tymczasem ubierają lalki, krajają fartuszki, sukienki, koszulki i własnymi rękami szyją wszystko. Andzia najczęściej siedzi przy maszynie, co chwila inna podaje jej coś do zeszywania, trr! i już gotowe, — takie to wszystko małe!

¹⁾ Najwyższy stopień zdolności twórczych. ²⁾ Przyprawne włosy. ³⁾ Zbiory. ⁴⁾ Ozdabia obrazkami.

Ale dużo wszystkiego, będzie bogata gwiazdka.

Miło dzieciom pomyśleć, że to zrobiły same, że bez nich mniej na świecie byłoby szczęścia w tym roku, że nie tylko odbierać umieją, lecz dawać.

Już się nawet przekonały, że przyjemniej dawać, niż odbierać. Zosia pierwsza zrobiła to wielkie odkrycie i powiedziała zaraz, że wołałaby sama nic nie dostać, niż wyrzec się przyjemności obdarzania. Widok rozpromienionych, radosnych twarzących do łez ją zawsze wzrusza, i gotowa wtedy wszystko zdjąć z siebie, rozdać, co tylko posiada, tyle jej daje szczęścia co rok ta godzina, prawdziwie błogosławiona.

Tego roku będzie u Ewei choinka. Dzieci zaproszone zaśpiewają razem kolędę, potem dostaną podarunki, łakocie, rozbiorą drzewko; podzielią się wszystkim, co na niem było, wspólnie odmówią modlitwę i pobiegną do rodziców pochwalić się, co dostały.

Ochronka obdarzona będzie wcześniej, a resztę podarunków odeśle się do szpitalika. Niech biedne chore dzieci mają także jakąś przyjemność. Kajety Władzia dla nich głównie przeznaczone, lecz dostaną i zabawek i ubrania.

Nikt nie wie, ile dobrego zrobić może, póki nie zacznie; a gdy raz zacznie, wszystko mu rośnie pod ręką.

Daj przykłady dużych skutków pracy zbiorowej. Czy pamiętasz przed Gwiazdką o ubogich dzieciach i czy starasz się dla nich zrobić coś przyjemnego? Obowiązkiem dzieci zamożniejszych myśleć o dzieciach biedniejszych.

33. Łzy nieużyteczne.

— Czemu ty płaczesz?—Ach, drogi tato, Bardzo mi smutno! Wybiegłszy w pole, Dostrzegłem zdalą pod wiejską chatą Jakąś sierotę, nędzne pacholę.

Piesek złośliwie nastraszył dziecko,
A ono drżało, niby osina¹⁾.

Biednym sierotkom ciężko na świecie!

Uściskał ojciec dobrego syna:

— Słusznie ci spływa po twarzy łezka,

Lecz czyś ty dziecku pomógł, Stefanie?

Czyś swawolnego odpędził pieska?

Czyś dał sierocie własne śniadanie?

— Ach, nie, tatusiu, jam tutaj wrócił.

— Toś moje serce mocno zasmucił,

Bo łzy współczucia niewiele warte,

Gdy dobrym czynem nie są poparte.

Co znaczy *łitościwy*, a *miłosierny* i *dobroczynny*? Dlaczego same łzy współczucia niewiele są warte? Do czego powinna nas łitość pobudzać? Co rozdasz ludziom, to stanowi twoją wartość i bogactwo.

34. Dziennik Marysi.

Wiercidmuch, 6 sierpnia, wtorek.

No, to mi się udało! Nawet nie marzyłam sobie, żeby, mając lat 12, zostać panią domu; prawdziwą panią; dzieci, służba, gospodarstwo—wszystko należy do mnie! Na krótko wprawdzie, bo na kilka dni załedwie, lecz i tak przekonam wszystkich, że potrafię rządzić doskonale. Zaczęłam pisać dziennik, żeby Mamusia po powrocie poznała dokładnie moje postępowanie. Zapisywać tu będę wszystko szczerze, choćbym jaki błąd popełniła, bo i tak przekonają się ludzie, że coś jestem warta. Jeszcze kiedyś i swoim dzieciom ten dzienniczek pokażę!

A stało się to następującym sposobem. Tatusz jeszcze w niedzielę pojechał do Warszawy po jakieś pieniądze, a wczoraj przychodzi list, żeby Mamusia przyjechała zaraz, bo jest koniecznie potrzebna. Mamusia była bardzo zakłopotana, bo i nauczycielki właśnie niema w domu, ale ja po-

¹⁾ Drzewo o listkach przytwierdzonych na długich szypułkach, co sprawia, że się łatwo poruszają.

wiedziałam: — Moja Mamusiu, niech się Mama o nic nie obawia, ja bardzo dobrze potrafię zaopiekować się dziećmi i wszystkim; przecie mam lat dwanaście.

Mamusia widać niebardzo mi dowierza, bo westchnęła i pokiwała głową, ale cóż było robić? Przekona się, gdy wróci, kto ma słuszość. A teraz spać, bo jutro rozpocynam panowanie, więc trzeba wstać bardzo rano.

Środa.

Niebardzo mi się dziś udało, ale tylko dlatego, że za rano wstałam. Przez to dzieci obudziły się za wcześnie i zaraz zaczęły się sprzeczać. Naturalnie rozgniewałam się na nie i powiedziałam, że jeżeli natychmiast nie zaprzestaną kłótni, to nie pójdą wcale na spacer. Nie zaprzestały kłótni, a nawet było coraz gorzej, dopóki im Janowa nie obiecała, niby w tajemnicy, pokazać coś ciekawego. (Wiem dobrze, o co chodzi: kurczątką zaczęły się lęgnąć pod kwoką¹⁾). Usiadły więc bardzo grzecznie do śniadania, a że dzień był prześliczny, musiałam im przebaczyć, i poszliśmy sobie aż do lasu.

Ach, ślicznie, ślicznie w lesie! — taki gwar ptasząt, tyle kwiatów! Bawiliśmy się doskonale. Wtem spostrzegam, że niechcący zabrałam kluczyki od spiżarni, a na obiad nie wydane! I późno już być musi, bo słońce tak pali. Więc trzeba było wracać, choć nie odpoczęliśmy, a pomimo to obiad był dopiero na 3-cią. Musiałam dać dzieciom coś przekąsić i trochę mleka, a potem przy obiedzie grymasiły. Janek zaś — nie wiem czego płakał cały wieczór.

Czwartek.

Jużbym chciała, żeby rodzice wrócili! Nie dlatego, że bym sobie nie mogła dać rady, ale Janek ma trochę gorączki i głowa go boli. Janowa mówi, że zaziębił się wczoraj, bo wrócił z przechadzki bardzo zgrzany i zmęczony, napił

się zimnego mleka i poszedł po nie za Anusią do piwnicy. To prawda, — ale tak byłam skłopotana tymi kluczami i spóźnionym obiadem...

Zosia nudzi się sama, siedzi ciągle w kuchni i pewno się przeje, bo to jej specjalność, a cóż mogę z nią zrobić, kiedy muszę pilnować Janka?

Ach, żeby już rodzice powrócili!

Piątek.

Mamusia przyjechała. Janek ma zapalenie gardła, ale Mamusia mówi, że to przejdzie. Bardzo się cieszę, że Mamusia wróciła tak prędko. Jużbym nie chciała sama zostać na gospodarstwie, a szczególnie z dziećmi. Ach, trudno to bardzo opiekować się dziećmi i dobrze nimi rządzić!

O czym się przekonała Marysia w ciągu tych kilku dni? Czy łatwiej jest rządzić, czy słuchać? Jaką się wydaje Marysia po przeczytaniu jej dzienniczka z pierwszego dnia? Co to znaczy: dziennik?

35. Myszka, kot i kogut.

Coby to była za szkoda!

O mało nie zginęła jedna myszka młoda,
Szczera, prosta, niewinna; przypadek ją zbawił.

To, co ona swej matce, ja wam będę prawić:

„Rzuciwszy naszych kryjówek głębiny,
Dopadłam jednej zielonej równiny,
Dyrdać jako szczurek, kiedy sadło śledzi,
Patrząc, alisci dwoje zwierząt siedzi:
Jeden z nich trochę dalej, z milczeniem przystoj-
Łagodny i uniżony: [nem¹⁾],

Drugi zaś zdał mi się być burdą niespokojnym.

W żółtym bucie z ostrogą chodził napuszony,

¹⁾ Kura, mająca małe kurcząta.

¹⁾ Poważnem, przyzwoitem.

Ogon zadarty do góry,
 Lśnięciami błyskotał pióry.
 Głos przeraźliwy, na łbie mięsa kawał,
 Jak gdyby kto powykrawał.
 Ręce miał, któremi się sam po bokach śmigał¹⁾
 Albo na powietrze dźwigał.
 Ja, lubo²⁾ z łaski Boskiej dosyć jestem śmiała,
 Ażem mu srodze nakłęta,
 Bo mnie z strachu drżączka wzięła,
 Jak się wziął tłuc z tartasem³⁾ obrzydły krzykała.
 Uciekłam tedy do jamy.
 Bez niego byłabym się z zwierzątkiem poznała,
 Co kożuszek z ogonkiem ma tak, jak my mamy.
 Minka jego nie nadęta,
 I choć ma bystre ślipięta,
 Dziwnie mi się z skromnego wejrzenia podobał.
 Jak nasze taką samą robotą ma uszka,
 Coś go w nie ukąsiło, bo się łapką skrobał;
 Szłam go poiskać, lecz mi zabronił ten drugi
 Tej przyjacielskiej usługi,
 Kiedy naglego narobił łoskotu,
 Krzyknąwszy na mnie z gniewem: „Kto to tu? Kto to tu?”
 „Stój—rzecze matka—córko moja luba,
 Aż mrowie⁴⁾ przechodzi po mnie!
 Wiesz-li, jak się ten zowie, co siedział tak skromnie?
 Kot bestyja, rodzaju naszego zaguba.
 Ten drugi był to kogut; groźba jego pusta,
 I przyjdą może te czasy,
 Że z jego ciała jeść będziem frykasy⁵⁾;
 A zaś kot może nas schrusta.
 Strzeż się tego skromnisia, proszę cię jedynie,
 I tę zdrową maksymę⁶⁾ w swej pamięci zapisz:

¹⁾ Uderzał. ²⁾ Chociaż. ³⁾ Z hasłem. ⁴⁾ Dreszcz trwogi.
⁵⁾ Przysmaki. ⁶⁾ Maksymę—prawdę, naukę.

„Nie sądź nikogo po minie,
 Bo się w sądzeniu poszkapisz”¹⁾.

St. Trembecki.

Jaka jest myśl w tej bajce? Czy można poznać z powierzchowności, t. j. z ubrania, urody — wartość człowieka?

36. MATKA.

Czy wiecie, dzieci, kto na tym świecie
 Prawdziwym dla was bywa aniołem?
 Kto z jasnym okiem, pogodnym czołem
 Stara się życie stroić wam w kwiecie?
 Kto wam gwiazdeczką promienną świeci,
 Wiecież wy, dzieci?
 Czy wiecie, dzieci, kto nad kołyską
 Czuwał dzionkami, czuwał nocami?
 Kto wam piosenki nucił ze łzami?
 Kto wam jest duszą drogą, a blizką?
 Kto w waszych sercach kochanie nieci²⁾,
 Wiecież wy, dzieci?
 Wiecież wy o tem, kto w niebios tonie,
 Ponad gwiazd szlaki³⁾ i drogi mleczne
 Zasyła za was modły serdeczne
 I przed ołtarze pochyla skronie?
 Czyja to prośba ku Stwórcy leci,
 Wiecież wy, dzieci?
 Wiecież wy o tem, kto waszem słońcem?
 Kto pierwszym mistrzem, nauczycielem,
 Pierwszą radością, pierwszym weselem,
 Szczęściem, dziecinne troski kojącym⁴⁾?
 Światłem przewodniem⁵⁾ w życia zamieci?
 To — Matka, dzieci!

Zofja Zacharkiewiczówna.

¹⁾ Pomylisz. ²⁾ Budzi. ³⁾ Drogi. ⁴⁾ Uspokajającym. ⁵⁾ Które prowadzi.

37. Ze wspomnień córki Mickiewicza.

I.

Adam Mickiewicz był bardzo dobrym i troskliwym ojcem: najstarszą córeczkę Marynię sam uczył przez czas jakiś. Opisuje to ona w swoich wspomnieniach z dzieciństwa w następujący sposób:

„Z abecadłem uciekałam najczęściej od mamy do papy, bo daleko był pobłażliwszy, łatwiej wierzył nadzwyczajnemu zmęczeniu przy tak ciężkiem i mozolnem zajęciu i nieraz namówić się dawał, aby lekcję zamienić na spacer. Z rzadką cierpliwością słuchał też najdziwaczniejszych pomysłów, których mu przy tej okazji udzielałam, i długo a obszernie tłumaczył upartej mojej głowie, że *b* muszę koniecznie wymawiać *b*, a nie inaczej, a litery *s*, której niecierpiałam, nawet sam papa nie ma prawa wyrzucić z abecadła.

Kiedyśmy byli sami, o zmroku mama zasiadała do fortepianu, a ojciec uczył mnie śpiewać: „*Wanda leży w naszej ziemi*“, „*Poleciała przepióreczka w proso*“, „*Nasza dziewczyna robocza była, wziąwszy kądziółkę, po wsi chodziła*“ i bardzo ulubioną przez niego piosenkę: „*Pojedziemy na łów, na łów, towarzyszu mój*“. Z powodu tej ostatniej bardzo się uśmiechał, bo nauczyły się ją śpiewać i małe Jundziłłówny, a stąd wszczęły się między nami kłótnie i wyrzuty: — Dlaczego ty śpiewasz moją piosenkę?

Często też ojciec nucił mi smętną piosenkę: „*Idzie żołnierz borem, lasem, przymierając z głodu czasem*“, ale ta ostatnia zawsze mnie wprawiała w wielki smutek. Ponieważ mowa tam była o bracie i siostrze, wyobrażałam sobie zaraz Władzia żołnierzem, konika powracającego do mnie po jego śmierci, i nigdy do końca dosłuchać nie mogłam zbyt żalosnej dla mnie śpiewki!“

II.

„Raz jedna z prelekcji ojca¹⁾, z łaski mojej mądrej osobki, w dziwny sposób została urozmaicona.

Zobaczyłam gdzieś wiewiórkę i koniecznie napierać się zaczęłam, żeby taką dostać, a ojciec naturalnie zaraz obiecał postarać się o to dla Misi, która codziennie przypominała mu o obietnicy. Szedł jednego poranku do Uniwersytetu, kiedy na moście zobaczył siedzącego Sabaudczyka²⁾ z wiewiórką. Ucieszony, że dogodzi moim gorącym życzeniom, zapomniał, że idzie na prelekcję, kupił ładne zwierzątko, a że zimno było, wsunął ją w zanadrze i, zapiąwszy dobrze surdut, żeby nie uciekła, poszedł dalej.

Ledwie uszedł kilkanaście kroków, prelekcja przyszła mu na myśl, ale za to wiewiórka wyszła zupełnie z pamięci. Wchodzi zatem ojciec na katedrę i mówić zaczyna. Przez czas jakiś wszystko szło dobrze, aż wiewiórka, znudzona długim spokojem, albo może zbyt czując gorąco w sali ogrzanej, pod ciepłym surdudem zaczęła kręcić się żywo, szukając wyjścia z ciemnej kryjówki.

Mówiąc o literaturze słowiańskiej, czuł profesor na piersiach wszystkie skoki i poruszenia wiewiórki, która trafiła wreszcie na otwór rękawa i żywo zsuwać się zaczęła na dół. Ojciec drugą ręką co prędzej rękaw u dołu uchwycił, skręcił i trzymał mocno, lękając się co chwila, aby mieszkanka lasów, wylatując znienacka z rękawa profesora, nie znalazła się wśród publiczności jako niesłychane zjawisko. Przy takim pasowaniu się z niewygodnym gościem musiał prowadzić dalej i kończyć prelekcję.

Tak drogo opłaconą wiewiórką niedługo się jednak cieszyłam, okazała bowiem przy całej zwinności nadzwyczaj złośliwą i dziką naturę. Kilka razy, przegryzłszy druty

¹⁾ Mickiewicz wykładał literaturę narodów słowiańskich w kolegium w Paryżu. ²⁾ Sabaudja—prowincja w połudn. Francji.

klatki, w nocy wypadła i szkody narobiła; raz ojcu całą poduszkę pod głową pogryzła, a gdy w końcu zamiast orzecha rękę mocno mi ukąsiła, wydaloną ją z domu“.

M. Górecka.

Jaki znasz utwór Mickiewicza? Czy to jest opis, czy opowiadanie?

38. Stara piosnka.

Idzie żołnierz borem, lasem,
Przymierając z głodu czasem,
Suknia na nim oblatuje,
Wiatr dziurami przelatuje.
Chociaż żołnierz obszarpany,
Przecie stoi między pany.
Trzebaby go obdarować,
Chleba, soli nie żałować.

W kotły¹⁾, bębny uderzyli,
Na wojenkę zatrąbili.
Starsza siostra usłyszała,
Bratu konia osiodłała,
A młodsza mu miecz podała,
Sama rzewnie zapłakała.
— Nie płacz, nie płacz, siostró, brata,
Powróć ja za trzy lata.

Nie wyszło roku, półtora,
Wojownicy jadą z pola.
— Witam, witam, mospanowie,
Daleko tam brat na wojnie?
— Leży w polu na Podolu,
Prawą nóżkę ma w strzemieniu,

¹⁾ Rodzaj bębna w kształcie półkuli.

Konik jego wedle niego
Grzebie nóżką, żałuje go.

— Wstawaj, panie młodzusiński,
Ja twój konik wiernusiński.
Póki pan mój na mnie siadał,
Tom ja czyste ziarno jadał.
Teraz nie mam sieczki, słomy,
Rozniosą mnie kruki, wrony.
Siostra wszystko wysłuchała,
Potem rzewnie zapłakała.

Skarbiec strzechy naszej.

Jaki jest los żołnierza? Wypisz stąd trudniejsze wyrazy.

39. Bolesław Krzywousty rycerzem.

Nadzwyczaj wspaniale i uroczyście odbył się obrząd poświęcenia Bolesława Krzywoustego na rycerza.

W dniu oznaczonym książę Bolko z dwunastu towarzyszami swoimi szedł najprzód na nabożeństwo. Odziani skromnie, jak pokutnicy, suknie mieli z prostego sukna grubego, bez żadnych ozdób, nakształt sutanny, którą duchowni nosili. Podczas mszy św. wszyscy spowiedź odprawili. Nie godziło się dnia tego używać rozrywki ni wspólnie z innymi biesiadować. Stół mieli osobny, jadło skromne i niewytworne. Dzień upłynął na skupieniu ducha i na nabożeństwie. Wysłuchawszy niesporów, wszyscy pozostali w kościele, gdzie przed wystawionym na ołtarzu Przenajświętszym Sakramentem i przy płonącej lampie noc całą przebywali na czuwaniu i modlitwach.

Jak tylko rozedniało, wyszedł sam biskup ze mszą świętą, po której przystąpili wszyscy do stołu Pańskiego. Szli potem do przygotowanej łaźni, a zmieniawszy odzież, wzięli bogatszą, krojem świeckim zrobioną, krótką i bramowaną¹⁾. Zwyczaj, którego ściśle pilnowano, wymagał, aby po łaźni położyć się do łóżka i w niem przyjmować odwiedzin przybywających z powinszowaniami. Oprzeć się chciał temu przymusowemu spoczynkowi Bolko, lecz w końcu choć na

¹⁾ Bramowany—obszuty po brzegach taśmą lub inną materją.

chwile ledz musiał, aby się zwyczajowi zadość stało. Wpuszczono ciekawych i przynoszących życzenia, których było niemało.

Gdy się odwiedziny te skończyły, starsi trzej wojownicy przystąpili do odziewania królewicza wedle obyczaju. Jeden podał mu koszulę, u szyi i piersi złotem wyszywaną, białą jak śnieg, bo szatę niewinności oznaczającą, przyozdobioną cnotami. Drugi przyniósł koszulę z drutu żelaznego, jak siatkę misternie plecioną; ta oznaczała jakby włosienicę rycerską, godło trudu, bólu i wstrzemięźliwości. Na oną drugą koszulę żelazną wdziewano kaftan łosiowy, który tamte okrywał tak, jak człowiek cnotę swą i boleść winien przed oczyma bliźnich osłaniać skromnie. Po kaftanie poczęto opinać zbroję, całe ciało osłaniać mającą, aż do rękawic i nagolenników¹⁾. Narzucono mu potem płaszcz rycerski na ramiona, szczęściem z lekkiej tkaniny, gdyż w skwar sierpniowy ledwie ciężar ten cały można było udźwignąć.

Tak samo przyodziani byli towarzysze Bolkowi wszyscy, dla których on koszulę, zbroję i miecze jednakie zawczasu przysposobił.

Przybrani, wszyscy młodzi, pacholeta jeszcze, uroczyscie szli do kościoła, gdyż król chciał, aby pasowanie nie w izbie ani w podwórzu, ale w katedrze się odbyło. Na wielkim ołtarzu złożone były miecze z pasami, które sędziwy biskup pobłogosławił.

Gdy orszak ruszył z dworca, wszystkie podwórza, wały, okna pełne były ciekawego ludu, wznoszącego okrzyki na cześć młodego pana i jego rodziny. W uroczystym pochodzie szli wszyscy do kościoła: młodzież najprzód, starszyzna za nimi.

Król zasiadł na wezglowiu²⁾ pod baldachimem. Duchowieństwo licznie było zgromadzone. Lud tłoczył się do kościoła. Szedł najprzód królewicz przed wielki ołtarz, a tu odprawiawszy krótką modlitwę, siedł do ojca, przed którym składać miał przysięgę. Jedną dla wszystkich rycerską przysięga brzmiała, że krwią, życiem, mieniem, nie szczędząc ich, rycerz miał bronić wiary świętej i Kościoła, walczyć z poganą, osłaniać sieroty i wdowy, stawać w obronie

¹⁾ Nagolennik—część zbroi, noszona na gołeniach (nagolenica), nakolank. ²⁾ Wezglowie—poduszka, na której opiera się głowę albo łokieć.

wszelkiego uciśnionego. Po złożeniu przysięgi dopiero przystąpili do królewicza starsi rycerze, aby mu złożone przysięgę ostrogi. Z ołtarza klerycy, wzięwszy pobłogosławione miecze, z których każdy zawieszony był na bogato sadzonym pasie złocistym, a pochwę miał zdobną w drobne krzyżki złote, niesli je przed króla.

Ukląkł Bolko u kolan ojcowskich, a król Władysław, trzykroć mieczem uderzywszy po ramieniu, drżącemi rękoma przypasał mu znamię rycerskie. Uderzenia, jak przy bierzmowaniu, oznaczać miały, iż rycerz znosić powinien był cierpliwie ciosy i razy—za wiarę i za prawdę.

Wstał Bolko, cały radością promieniejący, dziękując ojcu; a że król sił dosyć nie miał, aby wszystkim towarzyszom jego pasy nakładać, wyręczyła go starszyzna, dopełniając obrzędu.

Na dany znak odezwały się przed kościołem rogi i trąby. Uderzono we dzwony, ale okrzyki tłumów zagłuszyły wszystko. Lud cały, w podwórcach stojący, nowych rycerzy witał.

J. I. Kraszewski.

40. Chrystus i dzieci.

Siadł w szczerem polu Chrystus Pan,

A przy nim orszak boso:

Dziateczki, co na żęty łan¹⁾

Szły z miasta zbierać kłosy.

Cisną się usta do nóg Mu

Drobnuchnej tej czeladzi,

A Chrystus spuścił jasną dłoń

I główki dzieci gładzi.

— Rośnijcie—rzecze—ojcom swym

I matkom na pociechę,

I jako słońce, chaty swej

Wyzłóćcie niską strzechę!

A co pogładzi jasny włos,

To gwiazdy im dokoła

¹⁾ Pole.

Sypią się, naksztadt złotych ros,
Na pochylone czoła.

Lecz wśród dzieci była tam
Sierotka jedna mała,

I słysząc to, co Chrystus rzekł,
W te słowa się ozwała:

— A ja nie będę, Panie, rość,
Bo na co to? i komu?

Ojca ni matki nie mam już,
A także nie mam domu.

Lecz Chrystus rzekł:—Zaprawdę wam
Powiadam, moje dziatki,
Nie jest sierotą żadne z was,
Choć nie ma ojca, matki.

Bo ojcem mu jest niebios Pan,
A matką ziemia miła,
Co go zbożami swoich pól,
Jak mlekiem, wykarmiła.

A domem mu jest cały świat,
Bez granic i bez końca,
Gdzie tylko sięgnie jego myśl,
Jak złota strzała słońca.

M. Konopnicka.

41. Zima u krasnoludków.

Zima była tak ciężka i długa, że miłościwy Błystek, król krasnoludków, przymarzył do swojego tronu. Siwa jego głowa uczyniła się srebrną od szronu¹⁾; u brody wisiały lodowe sople, brwi, najeżone okiścią, stały się groźne i sro-

¹⁾ Zamarznęta rosa.

gie; w koronie, zamiast pereł, iskrzyły się krople zmarzniętej rosy, a para oddechu osiadała śniegiem na kryształowych ścianach jego skalnej grot¹⁾. Wierni poddani króla, żwawe krasnoludki, otulali się, jak mogli, w swoje czerwone opończe²⁾ i wielkie kaptury. Wielu z nich sporządziło sobie szuby i spencery³⁾ z mchów brunatnych i zielonych, uzbieranych w boru jeszcze na jesieni, z szyszek, z huby⁴⁾ drzewnej, z puchów wiewiórczych, a nawet z piórek, które pogubiły ptaszki, lecące za morze.

Ale król Błystek nie mógł się odziewać tak ubogo i tak poospolicie. On zimą i latem musiał nosić purpurową szatę, która, od wieków służąc królom krasnoludków, dobrze już była wytarta, i wiatr przez nią świstał. Nigdy też, za nowych swoich czasów nawet, bardzo ciepłą szata owa nie była, ile że z przędzy tych czerwonych pajaczków, co to wiosną po grzędach się snują, utkana, miała zaledwie grubość makowego listka.

Drżało więc królistwo srodze, raz wraz chuchając w ręce, które mu tak zgrabiwały, że już i berła utrzymać w nich nie mógł.

W kryształowym pałacu — wiadomo — ognia palić nie można. Jakże!? Jeszczeby wszystko potrzaskało: posadzka i mury.

Grzał się tedy król błystek przy blasku złota i srebra, przy płomieniach brylantów, wielkich jak skowrończe jaja, przy tęczach, które promyk dziennego światła zapalał w kryształowych ścianach tronowej sali, przy iskrach, lecących z długich mieczów, którymi wywijają dzielne krasnoludki, tak z wrodzonego męstwa, jak i dla rozrywki. Ciepła wszakże z tego wszystkiego było bardzo mało, tak mało, że biedny król szczekał zębami, jakie mu jeszcze pozostały, z największą niecierpliwością oczekując wiosny.

¹⁾ Jaskinia, schronienie w skale. ²⁾ Płaszcz. ³⁾ Kurtki. ⁴⁾ Rodzaj suchego grzyba drzewnego.

— Żagiewko — mówił do jednego z dworzan — słuگو
wierny! wyrzyjno na świat, czy nie idzie wiosna?

A Żagiewka kornie odpowiedział:
— Królu, panie! nie czas na mnie, póki się pokrzywy
pod chłopskim płotem nie zaczną zielenić. A do tego
jeszcze daleko.

Pokiwał król głową, a po chwili znów skinie i rzecze:

— Sikorek! A może ty wyrzysz?

Ale Sikorkowi nie chciało się na mróz wystawić nosa.

Rzeknie tedy:

— Królu, panie! nie pora na mnie, aż pliszka ćwierkać
zacznie. A do tego jeszcze daleko!

Pomilczał król nieco, a iż mu zimno dokuczało srodze,
skinie znów i rzecze:

— Biedronek, słuگو mój! A tybyś nie wyrzał?

Wszakże i Biedronkowi nie pilno było na mróz i zawieje.

I on się kłaniał i wymawiał:
— Królu, panie! nie pora na mnie, aż się pod zeschłym
listkiem śpiąca muszka zbudzi. A do tego jeszcze daleko!

Król spuścił głowę na piersi i westchnął, a z westchnie-
nia tego naszła taka mgła śnieżysta, że przez chwilę w gro-
cie nic widać nie było.

M. Konopnicka.

Wymień cechy zimy.

Czy zima jest przyjemną porą roku? Wylicz jej przyjemności i pięk-
ności, — wylicz przykre strony.

42. Z I M A.

Bocianie gniazdo,
Zębata brona
Na wierzchu drzewa
Osamotniona.

I nago, chłodno,
I nic już niema;
Mroźna, pogodna
Nadchodzi zima.

Jak brylantowe
Drzewa się świecą,
Pyłki srebrzyste
W powietrzu lecą.
Zamarzłe wody,
Białe zagony,
Po drodze głodne
Włóczą się wrony.

Śniegi ubite
Pod nogą skrzypią,
A wiatry szczypią
Lice¹⁾ odkryte.
Więc się na komin
Drzewa nakłada
I z starą księgą
Przed ogniem siada.

Dwa psy ogary²⁾,
Przyległszy blisko,
Drzemią spokojnie,
Patrzac w ognisko.
To płomień buchnie,
To iskra pryśnie,
Szabla na ścianie
W półksiężyc błyśnie.

Na okna kwiaty
Zaszyły śnieżyste,
Na które miesiąc
Promienie czyste

Rzuca z wysoka
I brylantuje,
Na szklistej kanwie
Srebrem haftuje.

Izba w półcieniu,
Wszystko w uśpieniu.
Cisza wokoło...
Tylko piosenka
Z chałup, gdzie drobne
Świecą okienka,
Jakby z za świata
Do mnie dolata.

Tam prządki ciągną
Pod strzechą starą
Ze lnu, konopi,
Długą nić szarą.
A z serca ciągną
Nici srebrzyste:
Długie powieści,
Pieśni ojczyste.

To jak Pan Jezus
W ludzkiej postaci
Schodzi do chatek,
Do biednej braci,
I między dzieci,
Trzódkę maleńką,
Rozdziela dary
Najświętszą ręką.

T. Lenartowicz.

Czy we wszystkich krajach na świecie jest zima? Gdzie trwa naj-
dłużej? Czy w tym wierszu mamy opis, czy opowiadanie?

¹⁾ Twarz. ²⁾ Psy myśliwskie.

43. CHOINKA.

I. Zmierzch zstąpił na wielką równinę. Śnieg ją pokrył rozmiękły, mokry, wydeptany. Mróz zwolniał, a biel śniegu, mieszając się z błotem, utworzyła brudną, grząską masę. Z trudem wlokąc nogi, szła równiną matka z dwójgiem dzieci. Szli od miasta ku fabryce, obok której mieszkali w kolonji robotniczej. Matka zakupiła w mieście na wigilję trochę nieodzownych rzeczy; ojciec pracował jeszcze w fabryce. Już nadchodzi wieczór wigilijny, a fabryczne maszyny jeszcze huczą, jeszcze jęczą.

— Czy te maszyny całkiem nie zatrzymają się na święta?—pyta Julek.

— Zatrzymają się, zatrzymają — uspokaja matka — widzisz, już w przedzalni ognie gasną; chodźmy prędzej, ojciec wnet wróci.

— A drzewko, mamusiu, będzie?

— Nie, dziecino; wiesz, że ojciec był długo chory; bieda, dziecino, bieda!

Julek westchnął. Gdy tylko pierwszy śnieg się pojawił, począł Julek zaraz marzyć o drzewku wigilijnem. Ojciec chorował długo. Nieraz siedząc przy łóżku ojca, myślał o wieczorze wigilijnym, o tej pięknej chwili, gdy po skończonej wieczery ojciec weźmie zapalki i powie: — No, dzieciaki, teraz zaświecimy drzewko.—Cudna to chwila. Nie wielka choinka, na ławce ustawiona, świeci cała od dołu do góry jak jeden wielki snop ognia. A pod drzewkiem różne dary: buty dla Julka i ciepłe rękawice dla Małgosi! Jej rączyny tak marzną, gdy rano idzie do szkoły! Dzieci klaszczą w dłonie i podskakują wesoło. A wtedy ojciec siada przy stole, otwiera stary śpiewnik i poczyną śpiewać:

W dzień Bożego Narodzenia
Radość wszelkiego stworzenia...

II. Ach, gdzież ta radość? Oto idzie Julek przy matce przez wielką płaszczyznę¹⁾, pustą i zasłaną grubym śniegiem. Na skraju płaszczyzny miasto. Pełne dziś ono wrzawy, ruchu, radości. Rodzice biegają po sprawunki, dzieci niecierpliwie oczekują chwili wigilji. Wszędzie jasno, wszędzie radość, wszędzie śpiew. A tutaj?... Ach, jakie tam cuda widział w mieście! W oknie stała olbrzymia choinka, pełna świateł, bogactw nieprzebranych i łakoci... Julek patrzył na drzewko. Na szczycie jego był anioł z papieru, co spoglądał tak jakoś żałośliwie a słodko, jakby chciał powiedzieć:

— Żal mi cię, Julku, żal; byłeś grzeczny, pilny, dobry...

Julek na to wspomnienie obrócił się w stronę miasta. Aa, co to? O parę kroków rośnie kępa małych sosenek. Gdy je mijał przed chwilą, były smutne, oblepione śniegiem, ale teraz świecą, świecą coraz mocniej.

Co to jest? Julek patrzy i oczom nie wierzy. Czyżby dobry anioł ulitował się nad żałością jego? Sosenki świecą od stóp do szczytu. Na każdej gałązce kolorowa świeczka, u każdej gałązki wiszą złożone orzechy, rumiane jabłka i figi, festony²⁾ kolorowej bibułki i świecących jak złoto nitki czepiają się gałęzi, otaczają całe drzewka, na których wielkie gwiazdy złote błyszczą wspaniale.

A tam na dole, u stóp jednego drzewka buty nowiuteńkie i rękawice... Chłopak stoi oczarowany. Cud. Czyżby anioł wysłuchał niemej prośby chłopca?

— Julek! a chodźże! woła—matka.

Chłopiec wstrząsa się. Zjawisko znika. Ach, to było tylko marzenie!...

Z „Latarenki“.

Co to znaczy marzenie? Czy widzimy czasem to, czego niema?

¹⁾ Równina. ²⁾ Ozdoby w kształcie połowy wieńca.

44. KOLEDA.

Przybieżeli do Betlejem pasterze,
Przygrywają Dzieciąteczku na lirze,
Witają Dzieciątko, małe Pacholątko,
Pasterze, pasterze!

Podarunki Jezusowi oddają,
Na kolana przed Nim ze czcią klękają,
Witają Dzieciątko, i t. d.

Uznają w Niem Mesyjasza prawego,
Który przyszedł, by ich zbawić od złego,
Witają Dzieciątko, i t. d.

Dzieciątko się do pastuszków uśmiecha,
Czystem sercem jako Jezus oddycha,
Witają Dzieciątko, i t. d.

Postanęli pastuszkowie wokoło,
Zaspiewali Jezusowi wesoło,
Witają Dzieciątko, i t. d.

Dziękował im Józef stary za dary,
Przyniesione dla Jezusa ofiary.
Witają Dzieciątko, i t. d.

Co to znaczy kolęda? Czy ten wyraz ma jedno znaczenie? Wy tłumacz obydwie znaczenia.

45. Śpiewak zimowy.

I nie zawsze wiosna bywa,
I nie zawsze słowik śpiewa.

Jak tu śpiewać, kiedy białe płatki śniegu unoszą się w powietrzu, a wicher zasypuje nimi oczy, a mróz przejmie do szpiku kości? Nasionom, ukrytym w ziemi, może i wygodniej spać pod tym śnieżnym całunem¹⁾, ale że ptakom

¹⁾ Zasłona na umarłego.

niewesoło, temu nikt nie może zaprzeczyć. Zamiast płatków śniegu, milszeby im były roje owadów. W zimie trudno głód zaspokoić, a gdy się jest głodnym, chętna do śpiwu znika bez śladu.

A jednak i w zimie z pomiędzy gąszczu drzew leśnych rozlega się nieraz nadzwyczaj przyjemny, donośny¹⁾ śpiew: słyszeć go można nawet w ostry mróz lub w zawieruchę.

Śpiew ten przypomina najbardziej trele kanarka, więcej w nim jednak ognia i zapachu. Na krzaku leszczyny, z którego ów śpiew dochodzi, siedzi jakiś mały ptaszek, istny karzełek między skrzydlatą bracią, dość przytem zabawnej postaci: małeńki, bo ledwie 4 cale długi, ale nadzwyczaj czupurnie²⁾ wyglądający, z krótkimi skrzydełkami i bardzo krótkim, zadartym ogonkiem; cały rdzawo-brunatny, w ciemniejsze poprzeczne pręgi. Siedzi na jednej z gałęzi i śpiewa, zadarłszy do góry długi dzióbek, ciągle przytem oglądając się na wszystkie strony. Wtem spostrzegł wiewiórkę, skaczącą na sąsiedniej sośnie, i zaczął kiwać główką, podniósłszy jeszcze wyżej ogonek, jakby się dziwił, że jej się chce w takie zimno spacerować.

On — to co innego: choć mały, nie sobie z zimna nie robi i śpiewa bez względu na mróz. Toć to nie byle kto, tylko imci pan *strzyżyk* we własnej osobie, pan na krzakach jałowcu, bzu i tarniny³⁾, król wszystkich gąszczów i krzewów leśnych. Niech sobie orzeł buja pod obłokami, niech lew przeraża rykiem mieszkańców pustyni, — strzyżyk woli swoje królestwo: niewielkie ono, nisko położone, ale zato bezpieczne. Nie lubi go też opuszczać, bo lata nietęgo i nie może ufać swoim krótkim skrzydłom: w otwartym polu lada kto potrafi go schwycić. Co innego między krzakami! Tam mały, zgrabny ptaszek przeciska się przez najbardziej splecione gałązki i znika w gąszczu tak szybko, że ani sposób go dojrzeć. Przed chwilą znajdował się z jednej

¹⁾ Głośny. ²⁾ Zuchowato. ³⁾ Ciernie.

strony krzaka, nagle znika, prześlizguje się gdzieś środkiem i w okamgnieniu ukazuje się z przeciwnej strony, aby natchmianem znów zniknąć. Niedarmo też przewano go *durzyludkiem*. Czasami, gdy się zaszyje w szparkę jaką lub mysia dziurkę, nawet szukać go nie warto. Figlarz ten nie ustępuje nic a nie myszom w zdolności przeciskania się przez drobne otwory, chowania się do najmniejszych jamek — zdolności nieodzownej¹⁾ zresztą dla władcy takiej krainy. Czyżby mógł inaczej utrzymać w niej porządek, oczyścić ją należycie z owadów, ich jajek i poczwarek?

B. Dyakowski.

Jakie znasz ptaki leśne? Które najbardziej lubisz? Dlaczego wszyscy ptaszki lubią? Co to znaczy: „Każdy ptak swoje piórka chwali“, „Poznać ptaka po pierzu“?

Znajdź wyrazy przeciwnego znaczenia, co: biały mróz, zimno, wesoło, trudno, głodny, donośny, karzeł, nisko, szybko.

46. Żółw i zając.

Chyży, wysmukły i zwrotny zając
Napotkał żółwia, jakoś przebiegając.

— Jak się masz, moja ty skorupo — rzecze —
Gdzież to się waszmość²⁾ tak pomału wlecze?
Mój Boże! cóż to za układ natury!...

Mnie w biegu wiatr nie dopędzi,
Żółw na godzinę, w swym chodzie ponury,

Ledwie upelźnie trzy piędzi³⁾!

— Hola! — żółw rzecze — mój ty wiatronogi,

Umiem ja chodzić i odbywać drogi:

Mogę i ciebie ubiedz do celu. —

Rozśmiał się zając: — Ha! mój przyjacielu,

Jeśli jest wola, ot, cel tej ochocie

Niech będzie przy owym płocie. —

¹⁾ Konieczny. ²⁾ Waszmość, waszeć, waść — skrócone: wasza miłość, starodawne: pan. ³⁾ Piędź — miara, równa trzem dłoniom.

To rzekł i racze¹⁾ posunawszy skoki,
Stanął w pół drogi: obejrzy się, a tam

Żółw ledwo ruszył trzy kroki.

— I na cóż — rzecze — ja wiatry zamiętam?

Nim on dopełźnie, tak sobie suwając,

Sto razy wyśpi się zając. —

Tu swoje słuchy²⁾ przymusnął³⁾,

Legnął pod miedzą i usnął.

Żółw, gdy powoli krok za krokiem niesie,

Stawa na koniec w zamierzonym kresie.

Ocknie się zając: wczas właśnie!

Darmo się rzucił do prędkiego lotu,

Bo ten, co idąc, w pół drogi nie zaśnie,

„A kto z nas“ — mówi — „pierwszy u płotu?“

Franciszek Dyjonizy Książnin.

Czy znasz przysłowie: „Spiesz się powoli?“ Czy mógłbyś dać z życia ludzi taki przykład wyścigów zająca i żółwia? Co to znaczy: słuchy, skoki, ocknie się, rączy, waszmość?

47. CHAŁAT.

I.

Miałem lat 15 i tytuł szóstoklasisty. Dopiero od kwartału uczyłem się w Warszawie i te święta były pierwsze, na które z pomiędzy obcych spieszyłem do swoich. Spieszyłem, jak mogłem, i właśnie dla tego pośpiechu wyjechałem o całą dobę wcześniej, niż było umówione z rodzicami.

Gdybym miał cierpliwość poczekać do jutra, przysłano by mi z domu futro, koc⁴⁾ na nogi i berlacze⁵⁾, — dziś miałem tylko „wiatrem podszyty“ szynel, szalik włóczkowy i kałosze. Lecz myśl, że za kilkanaście godzin zobaczę dom rodzinny, przyprowadzała mnie o gorączkę, — nie miałem siły czekać.

¹⁾ Szybkie. ²⁾ Uszy. ³⁾ Stulił. ⁴⁾ Rodzaj ciepłej derki. ⁵⁾ Berlacze — zwierzęcznie obuwie ciepłe na zimę.

A byłem w owym czasie nadzwyczajnym elegantem, wybrednym tak w odzieży i jedzeniu, jak w stosunkach z ludźmi. Używałem mydła i pomady z niezwyklejmi zapachami, nakładałem czapkę przed zwierciadłem i nosiłem rękawiczki. Pod wpływem pragnienia jednak przybycia co prędzej do domu, zdecydowałem się pojechać z Joskiem, w trzęsącej się, odkrytej bryczce, przeładowanej ludźmi.

Pomimo wstrętu, jaki budziło we mnie otoczenie, szczęśliwie dojechaliśmy do Jabłonn. Mróz był tegi, ale od masy ciał i futer płynęły ciepłe prądy, które ostrość zimna łagodziły. Lecz mróz stawał się coraz większy, a jechaliśmy coraz wolniej, konie szły teraz stępa, potykając się i poślizgując.

Dzień szybko szarzał i gasnął, наконец słońce zaszło, a natomiast podniósł się wiatr przejmujący. Kurczyłem się w swoim szynelu, lecz niewiele to pomagało, i zacząłem pojmować, jaką nierozwagą była ta pospieszna podróż.

Wieczorem zatrzymaliśmy się na dłuższy popas. Po wielkiem zimnie ciepło gościnnej izby osłabiło mię i rozmarzyło, zasnąłem. Nie wiem, jak długo spałem, zbudził mię ruch w zajeździe, trzeba było znowu umieścić się na bryce.

Do domu pozostawało trzy mile, ale już nie miałem ani siły, ani odwagi do dalszej walki z mrozem. Czułem, że zmarzną wkrótce, bo i pasażerów niewielu pozostało.

Była trzecia godzina po północy. Jasek skulony, w brudnym wатовanym chałacie, siedział na twardym, słomą wypchanym worku i milczał, jak zakłęty, do koni nawet nie przemawiał. Ja kostniałem tymczasem na tylnem siedzeniu. Mróz kłuł mię tysiącami igieł, zaczynając od palców u nóg i posuwając się w górę, a jednocześnie wiatr uderzał z góry, siekąc i raniąc moje uszy i policzki. Drętwiałem i traciłem czucie, rozumiałem, że marzną, że niema ratunku.

Sen zaczął mię ogarniać. Wiedziałem, że tak zwykle bywa: jeżeli usnę, nie obudzę się więcej. Nie, nie chcę

usnąć! A jednak mroczy mi się przed oczyma, przestaje widzieć, przestaje słyszeć, przestaje czuć...

II.

Obudziłem się.

Obudziłem się nagle. Było mi dobrze, rozkosznie, a przede wszystkim — ciepło. Nie wiedziałem dlaczego. Ciekawem spojrzeniem powiodłem dokoła. Niebo i ziemię zalewał księżyc falami płynnego srebra, gwiazdy co do jednej roztopiły się w tem srebrze.

Bryka toczyła się szybko. Na koźle nie było Joska. Biegł on przy bryce, poganiając konie. Butami uderzał mocno w zmarzłą ziemię, w dłonie chuchał, rękami bił silnie po bokach.

Miał na sobie tylko krótki kaftan wатовany, a na głowie oprócz czapki podartą szmatę. Cóż zrobił ze swym grubym i ciepłym chałatem, podszytym tu i owdzie skórkami zajęczemi?

Blask księżycy, szybkość jazdy, żwawe ruchy woźnicy — rozweseliły mię. Rozglądając się po znanej okolicy, badałem, jak daleko do domu. O szczęście! niedaleko!

Zwróciłem wreszcie uwagę na siebie. Siedziałem na dnie bryki, na dwóch pękach słomy, których tam wpierrw nie było. Osłaniała mię całego z nogami, rękami i głową ciepła opończa¹⁾, którą niewiadomo kto okrył mię i otulił. Nie chciało mi się o tem myśleć, zajęty byłem marzeniem o domu, o gwiazdach, o książkach, o poezji.

Szybko biegły chwile, mijały słupy wiorstowe. Księżyc poblądł i zmał, niebo i ziemia stały się białe, na wschodzie zaróżowiła się jutrzienka, pod kołami zaturkotał bruk.

Jeszcze chwila — bryka stanęła przed domem moich rodziców. Zerwałem się lekki, wesoly i odrzuciłem pokrywającą mię opończę. Odrzuciłem ją ze wstrętem, bo poznałem nareszcie, że to był — chałat Joskowy.

¹⁾ Płaszcz.

W minutę później kołatałem do drzwi swego domu. Zbudzonej służącej kazałem znieść rzeczy z bryki i zaraz rzuciłem się do miski z letnią wodą i do mydeł pachnących.

Joskowi nie powiedziałem nawet:—Bóg zapłać!

W. Gomulicki.

Kto ci się więcej podoba: ten paniczek, czy Jasek? Dlaczego? Co to znaczy jutrzienka? Zrobić plan tego opowiadania.

48. W zimowy wieczór.

W zimowy wieczór na kamiennym schodzie

W progu kościoła siedział chłopiec mały.

Na przejmującym zbladło liczko chłódzie,

I biedne, drobne usta posiniały.

Długo się błakał między zaułkami ¹⁾,

Wreszcie już siły maleństwu nie stało —

Usiadł i patrzy smutnymi oczami...

Lecz biedak tłumy obchodził tak mało...

Czy raz to jeden w wielkim miasta gwarze

Widzi się dzieci obdarte i smutne?

Pobladał z głodu albo z zimna twarz?

Więc serca nie są litością rozrzutne.

Znalazł się wreszcie ktoś, co zwrócił oczy

Na biedne dziecko, siedzące u proga,—

Podchodzi, ciepło spoglądając w oczy,

Pyta: „Na kogo czekasz tu?”—„Na Boga“.

— „Jakto na Boga?” nie rozumiem ciebie...”

— „Czekam na Niego, On tu przyjdzie do mnie,

Głód uspokoi lub wezwie do Siebie,

Bo On dla biednych dobrym jest ogromnie:

Zabrał już ojca mojego i brata,

A wczoraj matka, umierając, rzekła,

Że Bóg sieroty prowadzi wśród świata“.

I iza perlista z ócz dziecka pociekła.

¹⁾ Małe boczne uliczki.

— „A więc Bóg przyjdzie, prawda, dobry panie?

On mnie nakarmi, da ubranie ciepłe...

O, ja napewno wiem, że się to stanie“.

I dziecię dłonie rozciera zakrzepłe.

— „Tak—rzecze cicho wzruszony przechodzień—

Nikt wsparcia Boga daremnie nie czeka:

Chodź, będziem modlić się do Niego codzień,

By dała biednym chleb Jego opieka.

Chodź ze mną, zimno nie będzie ci więcej,

Nie będziesz głodny, dam ci matkę drugą“.

A chłopiec mówi w prostocie dziecięcej:

— „Więc Bóg cię przysłał? Czemuś szedł tak długo?...“

Zofja Zacharkiewiczówna.

Pomyśl, jakim nieszczęściem jest sieroctwo.

49. Połowanie na wilki.

Sandomierskie, sławne pszenicą, ma góry i lasy, które dawniej były większe i gęściejsze, nim zaczęto wycinać stare olbrzymy. W tych puszczach rozległych gnieździły się stada jeleni, sarn, dzików, niedźwiedzi i wilków.

O małą milkę od takiego boru wznosił się dwór z modrzewia¹⁾, z wysokim gankiem; ogród ocieniały odwieczne lipy, a parkan wysoki ogradzał go wokoło.

Nadeszła zima śnieżna i mroźna. Chwymano wiele wilków w doły, ale mimo to ukazywały się stadami pod ogrodem dworskim i wiejskimi opłotkami²⁾. Wpadły raz nawet na dziedziniec i porwały staremu Januszowi, który ten dworek zamieszkiwał, dwa brytany. Rozgniewany tem, polecił synowi swemu Czesławowi prosić sąsiadów na łowy z prosiakiem. Na drugi dzień po Matce Boskiej Gromnicznej³⁾ zjechało się osiemnastu myśliwych z sąsiedztwa. Sanie były urządzone z ławami, na których myśliwi siedzieć

¹⁾ Drzewo iglaste. ²⁾ Ploty wiejskie. ³⁾ Po dniu 2-im lutego.

mogli wygodnie; z tyłu było siedzenie dla strzelca, który gniótł prosię, ażeby kwikiem przywabiło wilki; wiązka grochów¹⁾, przywiązana na długim sznurze i wleczone po ziemi, nęciła też żarłoczne drapieżniki. Do sani zaprzężono cztery tegie konie, każdy z myśliwych opatrzony był w dubeltówkę i parę pistoletów, wzięto też na sanie kilka sztuk broni nabitej na zapas.

Z wesołym okrzykiem i szczęśliwą wróżbą ruszyła ochotcza drużyna myśliwych. Janusz przylepił do sani obrazek św. Sebastjana, patrona myśliwych, przeżegnał ich kordelasem (nóż myśliwski), a sam dla podeszłego wieku zostając w domu, dał synowi swój celny sztuciec²⁾. Kierował wyprawą stary strzelec dworski.

Zwawo ruszyły konie, a chrzęst śniegu i przerywany kwik prosięcia ogłaszały przejazd tej zbrojnej, radosnej czeredy³⁾.

Gdy jednak dojeżdżali myśliwi do lasu, ustała gwar na z początku rozmowa, a jej miejsce zajęła ciekawość ujrzenia dzikiego zwierza; mieszało się do tego nieco i obawy, bo stary a doświadczony strzelec opowiadał smutne powieści, które wszystkie czoła zachmurzyły. Treścią ich właśnie była śmierć odważnych myśliwych, którzy z podobnym jak oni wybrali się wabikiem na wilki.

— Jakże to było? — zapytało wielu razem. Ale strzelec nie odrzekł słowa; w tejże chwili szybko podniósł się z ławy i spojrzał wokoło. Śnieg drobny a gęsty nie dozwalał daleko dojrzeć; nagle odwrócił się i, jakby odpowiadając na pytanie, rzekł ponuro: — „Jak było, tak będzie“ — i wskazał palcem. Wśród śnieżnej zamieci z początku nie myśliwi dojrzeć nie mogli.

— Co ci się przywidziało, stary! Ot, śnieg na polu roztajał, to czerni się ziemia — zawołał Czesław, wpatrując się pilnie.

— Widzicie to pole? — mówił z cicha strzelec — to nie pole, jeno taka ęma wilków, stado jak pole długie i szerokie. Już nas zwietrzyły. W konie! w konie! bo inaczej zginiemy wszyscy!

— Strzelać! — odezwali się niektórzy — przecież tyle ludzi i broni.

— Cicho! — zawołał z gniewem strzelec — usiąść na ławach, broń mieć w pogotowiu, ale nie strzelać! Strzelać! strzelać! wołacie, a cóż będzie z tego? zabijesz pięć albo dwadzieścia, a sto rzuci się i pożre.

Wszyscy na groźne słowa starego strzelca posiadali na ławach, konie, jakby poczuły niebezpieczeństwo, w chyłym¹⁾ biegu zaledwie dotykały ziemi.

— Jeżeli dostaniemy się prędzej na otwarty gościniec, ocaleniśmy! Rachujcie teraz, panowie, wilki, co to się wam ich strzelać zachciało.

Czesław spojrzał. Co zdawało się zdaleka wśród zamieci śnieżnej kawałkiem pola, była to gromada burch wilków: szły w gęstej masie, kilka tylko wybiegło naprzód. Oczy ich w zmroku coraz większym błyskały ogniem.

Czesław usiadł na jednej ławie ze strzelcem, a ten z cicha rzekł do niego:

— Tego wilka, co go najbliżej widzicie, zabić nie trudno, ale ten chyba strzeli, który chce, by kości jego święta ziemia nie przykryła, lecz żeby je zeszczerciły zęby wilcze.

— Czemu? — zapytał Czesław.

— To wilczyca, którą gdybyśmy zastrzelili, wilki wpadłyby w tem większą wściekłość. — Tu przestał i nagle odwrócił głowę ku woźnicy; widać było na twarzy jego przestach. — W konie, na rany Chrystusowe, w konie! — zawołał. Dobył kordelasa, ścisnął mocno ryj prosięcia i przebił je odrazu; nie było słysać najmniejszego kwiku. Uniósł się z ławy, a widząc, że już blisko szeroka droga, do wsi

¹⁾ Szybki.

¹⁾ Wymłócone łodygi grochu. ²⁾ Gatunek strzelby. ³⁾ Gromady.

prowadząca, przeżegnał się, porwał za nogi skrwawione prosię i z zamachem daleko wyrzucił z sanek.

Wilczyca, najbliższej pędząca, zatrzymała się w biegu, porwała zdobycz i poczęła szarpać; przyskoczyło więcej wilków, ale śnieżycą nie dozwalała rozpoznać, jak się dzieliły tak drobnym dla nich łupem.

Wszyscy przeziębli od mrozu i wiatru, nadto strachem zdjęci na widok grożącej im śmierci, wlepili oczy w twarz starego strzelca, chcąc z niej wyczytać ocalenie lub zgubę. Woźnica z cicha rzekł:—Już widać we wsi dzwonnice.

Strzelec wtedy wstał na nogi, obejrzał dubeltówkę:

— No, panowie! jeszcze dla nas nie wybiła ostatnia godzina, lecz trzymajcie się mocno, bo kto wypadnie z sanek, tego zostawim na strawę wilkom, choćby to był mój brat rodzony! A teraz, Macieju, — zawołał na woźnicę — co koń wyskoczy!

I woźnica trzasnął biczem, a dzielne bieguny wyciągnęły się, prawie brzuchem dotykając ziemi; leciały jak na sokolich skrzydłach. Wiatr donosił szczekanie psów we wsi, świeciły ognie przez małe okienka chatek: wystraszeni łowcy wzięli je za iskrzące oczy wściekłych wilków. Strzelec stał, trzymając się krzepko w saniach, odwiódł zamki od dubeltówki i zawołał:

— Panowie, który może, do mnie niechaj się obróci i ognia razem!

Zadrżała ziemia od huku strzałów, po nich usłyszano głucho wycie wilków.

— Ognia znowu! — krzyknął strzelec; i tak raz po raz rozlegały się wystrzały.

Już blisko było opłotków, a goniące stado wilków ani na chwilę się nie zatrzymało. Psy z całej wsi, jedne na dachach chlewów i obór, inne skryte po izbach, żałośnie wyły; zuchwalsze, które się przed domem pokazały, w oczach

myśliwych rozszarpane były bez znaku. Leciały sanie przez wieś, grzmiać wystrzałami.

Janusz wreszcie posłyszał strzały, porwał za strzelbę i z domownikami wybiegł na ganek. Sanie z myśliwymi już były w dziedzińcu, skąd tak radośnie i wesoło wyjeżdżali. Wszyscy wyskakują z nich co żywo, wpadają na ganek, biegną do domu. Cofa się z nimi przerażony Janusz. Zatarasowano podwoje, stado wściekłych wilków nappełniło podwórze. Maciej woźnica tyle był przytomny, że odciął koniom postronki, ażeby w stajni znaleźć mogły ochronę, sam zaś po drabinie wdrapał się na dach dworski. Ogromne brytany i kundle, wyżyły, gończe, charty¹⁾—przeszło dwanaście psów w jednej chwili zostało rozszarpanych. Strzelcy i domownicy rozstawili się w oknach i ciągłym ogniem razili wściekłych napastników.

Blisko dwie godziny grzmiała salwa bezustanna. Wreszcie księżyc zmrok rozjaśnił, zaiskrzyło się niebo gwiazdami, i znowu wrócił spokój do tego domostwa. Naniecono duży ogień na kominach, Janusz kazał zastawić wieszak i pierwszy wypił za zdrowie strzelca, któremu wszyscy winni byli ocalenie.

K. W. Wójcicki.

Czy chciałbyś należeć do takiego polowania? Czy dziś ono potrzebne? Dlaczego wytopiono wilki? Czy już ich wcale niema w naszym kraju? Czyj to jest najbliższy krewny pan wilk? Kiedy mówimy: „O wilku mowa, a wilk tuż“? Co znaczy wilczura?

50. WILCZKI.

Pstry jeden, czarny drugi, a bury najmniejszy,
Trzy wilczki wadziły się²⁾, który z nich piękniejszy.

Mówił pierwszy:—Ja rzadki!

Mówił drugi:—Ja gładki!

¹⁾ Rozmaite gatunki psów myśliwskich. ²⁾ Sprzeczały się.

Mówił trzeci:—Ja taki, jak i pani matka!

Trwała zwadka.

Wtem wilczyca nadbiegła.

Gdy niezgodę spostrzegła,

— Cóżto—rzecze—same w lesie

Wadzicie się?

Więc one w powieść ¹⁾, jak się rzecz działa.

Gdy wysłuchała:

— Idzie tu wam o skórę—rzekła—miłe dzieci,

Która zdobi, która szpeci, —

Nasłuchałam się tego już to razy kilka,

Nie przystoi to na wilka

Wcale,

Ale

Jak będziecie tak w kupie

Dysputować się²⁾, głupie,

Wiedzie, kto nie zbłądzi?

Oto strzelec was pozwie, a kuśnierz osądzi.

I. Krasicki.

Przysłowie: „Zgoda buduje, niezgoda rujnuje“.

51. ZAJĄC.

Wiosną na łące

Młodziuchną trawkę skubały zające.

Jeden z nich, śmielszej postaci,

Nadmie wasy, kręci głową

I swoich braci

Taką zagaja³⁾ przemową:

„Pókiż wieść będziem tułaczę życie

W ciągłych bojaźniach i trwogach?

Mamyż się wiecznie budzić o świcie

I zawsze czuwać na nogach?

¹⁾ Opowiadanie. ²⁾ Dysputować się—spierać się. ³⁾ Rozpoczyna.

Już czas jest od tych strachów się zbawić!

Potrzeba mężnie psom czoło stawić!

Ja was do boju powiodę:

Dam z siebie przykład odwagi, męstwa,

Całemu światu dowiodę,

Że zając zdolny jest do zwycięstwa“.

Wtem krzyk myśliwych i trąb odgłosy

Odbiły łąki, gaje, niebiosy...

Nasz mówca, ów zuch nad zuchy,

Zadrżał cały, stulił słuchy:

Myśleć już nie było czasu —

Sam pierwszy drapnął do lasu.

Najczęściej tchórz w przechwałkach jest wielkim junakiem,
Lecz gdy przyjdzie do rzeczy, schowa się za krzakiem.

Co znaczy junak? Prawdziwą odwagę poznajemy w czynach, nie
w słowach.

52. OCHRONA.

Opowiadanie Franka.

Niedaleko od nas, bo o kilka domów na tejże ulicy była ochrona, do której ja i Waluś po parę lat chodziliśmy, gdzieśmy się nauczyli czytać, pisać i rachunków nieco. Biedne dzieci dostają tam w południe po miseczce zupy. Pamiętam, że mi ta zupa zawsze smakowała, i przybliżałem się kucharce o dolewkę. Pamiętam także do dziś dnia nauczycielki. Były to dwie siostry. Starsza, już stara panna, sucha i wysoka, surowa niezmiernie, chodziła po klasie z linją w ręku. Uczyla starsze dzieci pisanie i rachunków. Nazywaliśmy ją po prostu: panią. Młodsza miała bardzo ładną twarzyczkę, oczy łagodne, ciemno-niebieskie, włosy obfite, jasne. Chodziła bez linji i uczyla abecadła. Lubili-

śmy ją bardzo, gdyż była dobra, i można było podokazywać z nią nawet troszeczkę. Nazywaliśmy ją: paniusią.

Podczas lekcji z małemi dziećmi siadywała paniusia przy dużej tablicy, na której czarnem tle wypisane były białe litery alfabetu. Wskazywała na nie cienkim drutem po kolei, a cała klasa wrzeszczała chórem: „a duże! a małe! b duże! b małe!”

Po tygodniu już każdy nowy wrzeszczał wraz z innymi. Pamiętam, jakim to tonem¹⁾ wykrzykiwało się to abecadło, jak gdyby się śpiewało: „a duże! a małe! b duże! b małe!” A potem w pauzę siadywaliśmy całym rzędem pod ścianą i znowu wrzeszczeliśmy chórem, tym razem już nie dla nauki, lecz dla własnej przyjemności:

— Boli noga! A od czego? Od *piroga*!²⁾

Nie była to zbyt ładna piosenka, lecz doskonale się nią wówczas bawiliśmy. W lecie, tak jakoś w czerwcu, odbywała się w ochronie wielka uroczystość, nazywana popisem. Wiele pań i panów przyjeżdżało karetami, i dostawaliśmy od nich pełne czapki łakoci.

W. Kosiakiewicz.

Jaki pożytek przynoszą ochrony? Czy byłeś kiedy w ochronie? Czy powinniśmy zwiedzać ochrony i dlaczego?

53. Niepiśmienny.

Ja nie zazdroszczę, chowaj mię, Boże,
Nic i nikomu na Bożym świecie,
Jednego tylko zazdroszczę może,
Że wy, panowie, pisać umiecie.

Dajcie mi pióro i kartę białą,
Nauczcie piórem wodzić w potrzebie!

¹⁾ Głosem, akcentem. ²⁾ Zamiast—pieroga.

Tożby latało, tożby latało,
Jak błyskawica po ciemnem niebie!

Wszystko, co boli, co cieszy szczerze,
Co sam obaczę, co mi kto powie,
Wszystkobym wiernie kładł na papierze,
Dumkę¹⁾ po dumce, słowo po słowie.

Spisałbym widok Bożego świata,
Każdy tak piękny, każdy odmienny,
A teraz wszystko marnie ulata:

Bom nieuczony, bom niepiśmienny!

Jakie rozkosze, jakie rozkosze,
Umieć wypisać słowo po słowie,
Co marzę w myślach, co w sercu noszę,
Karta zrozumie, pióro wypowie!

Ludzie gotowi wyśmiać biedaka,
Nie zrozumieją, serce ci zrania,
A czasem dumka przychodzi taka,
Że i słów żadnych nie znaleźć na nią.

Jabym po prostu, jak serce puka,
Takbym i pisał po białej karcie:
Pukanie serca złowić nie sztuka,
Ludziom nie można mówić otwarcie.

Pióro wyskrzypi z pod serca mowę,
A papier milczy, jakby mur ścienny...
Dumki-gołąbki, bywajcie zdrowe,
Ja was nie schwyćę, jam niepiśmienny!

L. Kondratowicz.

Czy czułyś się nieszczęśliwym, gdybyś nie umiał czytać ani pisać? Dlaczego? Czy nauka jest potrzebna? Do czego? Komu lepiej na świecie: czy temu, który coś umie, czy temu, który nic nie umie?

¹⁾ Tu znaczy: myśl.

54. Konik zwierzyniecki.

Jest to wesoła zabawa, którą obchodzą w Krakowie w oktawę¹⁾ Bożego Ciała na pamiątkę następującego zdarzenia.

Razu pewnego w czasie procesji Bożego Ciała, przeciągającej pobożnie po ulicach miasta, nadeszła nagle wieść, że Tatarzy przeprawiają się od strony Zwierzyńca²⁾.

Trwoga padła na wszystkich. Powstał płacz, krzyk, lament! Przestraszony tłum pierzcha na wszystkie strony, a tylko duchowieństwo z Przenajświętszym Sakramentem do kościoła zawraca.

Wtem od strony Wisły słychać wesołe okrzyki, a niebawem nadbiegł *włóczek*, t. j. flisak, trudniący się spławianiem drzewa, w ubraniu tatarskim, oznajmiając radosnym głosem, że nieprzyjaciół już pierzchnął sromotnie, bo mu włóczkowie sprawili walne powitanie, a on sam zabił murzę³⁾ i jego strój przywdział. Trwoga minęła, smutek zamienił się w radość.

Zdarzenie to upamiętnił poeta, Edmund Wasilewski, napisawszy wiersz, który się tak kończy:

Ale prędzej dęby w lesie
Zegnie oddech burzy
I na wióry je rozniesie,
Nim Krakowiak stchórzy.
Przypadł włóczek ze Zwierzyńca,
Rękę podniósł w górę,
Jak gdyby chciał zażegnawać
Piorunową chmurę.

¹⁾ W tydzień po jakiejś uroczystości. ²⁾ Przedmieście Krakowa.

³⁾ Murza albo mirza (wymawia się oddzielnie r, z) — księżę, wódz tatarski.

Zanim w warkocz nocy

Słońce włosy zwiło,

Na wiślanym brzegu

Tatarów nie było:

Odbiegli zdobywszy i duszy odbiegli,

I trupów taborem¹⁾ Zwierzyniec zalegli.

Na pamiątkę tego zdarzenia włóczkowie krakowscy kończą po dziś dzień uroczystość Bożego Ciała w ten sposób:

W oktawę, podczas procesji, przy czwartej ewangelji tłumnie opuszcza nabożeństwo i dąży ku Wiśle, duchowieństwo zaś z nielicznym orszakiem wraca do kościoła Marjackiego. Na ulicach wzmagają się ruch coraz większy, okna i balkony przepełnione widzami.

Nagle rozlega się okrzyk: — Idzie! idzie!

Wśród tłumu pojawia się straszliwy Tatar, w żółtym turbanie,²⁾ z buławą³⁾ w ręce. Spogląda na zgromadzonych wzrokiem tak przejmującym, iż zdaje się, że to chan Złotej Hordy wstał z grobu. Niby idzie, niby siedzi na koniu, bo przed nim widać łeb koński, suto przybrany.

Tatar macha buzdyganem⁴⁾, tłumy — niby strwożone — uciekają, lecz zaraz ze śmiechem cisną się znowu do niego, bo wiedzą, że to nie żaden groźny Mongoł, tylko jeden z włóczków krakowskich.

Nareszcie pochód zatrzymuje się w Rynku.

Tatar wyprawia harce, chorągiew włóczków powiewa, muzyka przygrywa, a datki dla groźnego wojska sypią się zewsząd.

Wreszcie Tatar, zmęczony dźwiganiem konika (bo jego rumak to łeb koński drewniany, zawieszony na pasach, a harce wyprawia włóczek na własnych nogach), wraca z towarzyszami na Zwierzyniec, tłum się rozchodzi, zgiełk

¹⁾ Obóz. ²⁾ Tureckie nakrycie głowy, zawój. ³⁾ Krótka laska, zgrubiała na końcu, znak władzy hetmańskiej. ⁴⁾ Buzdygan — dawna broń stalowa, na krótkim drzewcu osadzona.

się zmniejsza, wieczór zapada, a z nim na rozbawione przed chwilą miasto spływa cisza błoga...

Gdzieś tylko jeszcze w oddali, nad brzegiem ukochanej Wisły, słychać wesołą nutę Krakowiaka:

W tatarskim ubraniu, na tatarskim koniu,
Przypatrzyć się, jak włóczęk harcuje po błoni¹⁾;
Jak wtedy harcował, tak i dziś harcuje,
Bo pamiątkę jego każdy z nas szanuje.

Pieśń łączy się z szumem fali, z pluskiem wioseł, i płynie daleko, daleko...

Według *Chociszewskiego*.

Kiedy po raz pierwszy napadli na Polskę Tatarzy? Gdzie stoczono z nimi wielką bitwę i jak się skończyła? (Lignica).

Co znaczy: włóczęk, murza (mirza), buzdygan, buława, turban?

55. TATARZY.

— Skąd to jedziesz? — Z nad Dunaju.
— Co tam słychać w naszym kraju?
— Oj, źle, matko, bieda z nami!
Trzeba hulać z Tatarami.

A Tatarzy lud psiej wiary,
Chytrze kryją się w czahary²⁾,
Napadają, w dyby³⁾ kuja,
Krwi nie szczczędzą, łez nie czują.

Ej, w dalekiej Ukrainie
Płacze matka po swym synie⁴⁾,
Matka biedna, matka stara,
A syn zginął z rąk Tatara.

¹⁾ Pole. ²⁾ Czahary—drobne zarośla. ³⁾ Kajdany, kłoda z wycięciami na ręce i nogi więźniów. ⁴⁾ Zamiast—synu.

Ej, w dalekiej Ukrainie
Gdzie popatrzysz — to pustynie,
Tylko mogił tam do licha,
Przy mogiłach lichu czyha.

B. Bielawski.

56. FLISAKI.

Hej, flisacza dziatwo,	Że jej chłopak drogi
Hej, dalejże, dalej!	Może nie powróci.
Płyn do Gdańska z tratwą	Wody wartko ³⁾ płyną,
Po szumiącej fali.	Lecz nas w nurt nie rzuca,
Płyn, ochocza wiaro ¹⁾ ,	Ukój żal, dziewczyno,
Z bukiem, dębem, sosną,	Wrócą flisy, wrócą!
I z Wisłą szarą	Lekko, cicho, gładko
Pieśnią gwarz ²⁾ radosną.	Nieś nas, Wisło nasza,
Gdy brzmi na jej łonie	Na twych falach, matko,
Nasza pieśń wesoło,	Nic nas nie zastrasza.
Wtórzcie jej, wód tonie,	Bo choć nad twym szlakiem
Wtórzcie szumem wkoło.	Burza się rozsroży,
W dal nas niesie rzeka,	Czuwa nad flisakiem
Niesie lotem ptaka,	Blask opieki Bożej.
Dziewczę w domu czeka	Płyn więc, płyn, o tratwo,
Wiernego flisaka:	Pan Bóg cię ocali,
Łzy wylewa z trwogi,	Płyn, flisacza dziatwo,
Serce myślał smuci,	Dalej, dalej, dalej!...

Co to znaczy: flisaki? Dokąd płyną i po co? Co flisak przy swoim zajęciu poznaje?

57. Legenda o skowronku.

Gdy pierwszy rodzic dziką kopał ziemię i znoił nad nią czoło w ciężkiej pracy, smutno mu było...
Smutno z myślą w duszy o utraconym raju i o grzechu.

¹⁾ Wierni towarzysze, bracia. ²⁾ Gawędź. ³⁾ Szybko.

Ziemia mu była niechętną i twardą; słońce na niego patrzyło z ukosa, i zachmurzone wisały niebiosy nad jego głową, i w głuchej pustyni nikt nie odzywał się do niego wcale.

Zwierz go unikał nawet w lesnej głuszy.

Raz do oracza na jałowej ¹⁾ ziemi zeszedł Bóg, jego przyglądać ²⁾ się pracy, — a Adam dumiał z oczyma smutnemi i w ziemię patrzył, jak w niemego wroga, że w zamysleniu nie dostrzegł był Boga.

Stwórca zaś przy nim stanął i zapytał:

— I jakże ci się powodzi, Adamie?

A on się ocknął i odrzekł:

— Źle, panie; ciężko mi dźwigać Twoją karę srogą, nie mam przy pracy nad sobą nikogo!...

I westchnął przytem żałośnie, głęboko, że miłosierny Bóg zwrócił nań oko: wziął grudkę ziemi, śmignął nią do góry, a z grudki ptaszek wzleciał szaropióry i zatrzepotał skrzydełkami w górze i zaczął śpiewać nad Adama głową.

I odtąd w każdy pracowity dzień witał go piosnką wesół skowronek i latał nad nim, pod niebo się wspinał i miłosierdzie Boże przypominał. Więc się już Adam tak nie smucił więcej, bo miał otuchę w piosence ptaszczej.

A szare ptaszę Bożą służką było i ziemi pieśni o niebie nuciło.

M. Gawalewicz.

Legenda to jest takie opowiadanie bajeczne, w którym występuje Pan Bóg, Matka Boska, Święci i t. p.

Czy słyszałeś w polu skowronka? Idź kiedy w pole sam, usiądź cichutko i słuchaj, jak ślicznie dzwoni ten ptaszek. A może i zrozumiesz, co on śpiewa.

58. W pałacu liljowym.

I. — Czemuż nie jestem muchą! — mówił Gucio, leżąc w dzień skwarny na miękkiej murawie, pod cieniem rozło-

żystej lipy. — Człowiek jest najnieszczęśliwszem z Bożych stworzeń. Któreż inne zmuszają do siedzenia nad książką, do nudzenia się nad pisanem albo rachunkami? Oto nędzna mucha leci, gdzie zapagnie, i tak wesoło brzęczy! Czemuż nie jestem muchą!

I nagle poczuł, że staje się muchą, że jego nieopatrzne życzenie spełnione. Czyżby dlatego, żeby poznać życie innych stworzeń?

Dowiedział się o tem wkrótce pośród wielu przygód. Zwiedzając norę kreta, gniazdo wróbla, przekonywał się, że zwierzęta pracują nieraz bardzo ciężko.

— Ale nie muchy przecież! — myślał sobie, wracając od rodziny wróblej, gdzie zabawił tak długo, że słońce się skryło, i noc osłoniła ziemię ciemnym płaszczem.

Była to jasna noc letnia. Księżyc wszedł na niebo, i niby lampa cudowna, oświecał wszystkie przedmioty łagodnym, srebrzystym światłem; gwiazdy migotały drobnymi światłami, niby miliony ocz, patrzących na ziemię i mrugających bezustannie, a w trawie, niby garść rozspanych djamantów, błyszczały robaczki świętojańskie¹⁾.

Gucioowi smutno się zrobiło: — Jak ja tę noc przepędzę, i co ze mną będzie dalej? — mówił do siebie. — Bóg czuwa nad światem, ale czy będzie chciał opiekować się mną, który niczem na to nie zasłużyłem?

Przeżegnał się, zmówił swój pacierz codzienny, uczuł się troszkę pokrzepionym i zaczął myśleć o noclegu, jako tako wygodnym.

Tuż przy nim, na wysmukłej łodydze, rozkwitła przepyszna lilja biała, otoczona licznym orszakiem nocnych motyli w białych szatach; wspanialszy pałac trudno było wymarzyć. Gucio postanowił w nim noc przepędzić i wszedł do środka kwiatu, otwartego szeroko.

¹⁾ Błyszczące owady, które ukazują się w końcu czerwca, koło św. Jana.

¹⁾ Nieurodzajnej. ²⁾ Zamiast: przyjrzeć się.

Gdy się nazajutrz rano przebudził, w powietrzu był miły, orzeźwiający chłód. Słońce tylko co wstało, skrzydłata płaków orkiestra śpiewała hymn¹⁾ poranny. Wnętrze liljowego pałacu jaśniało królewskim przepychem, a krople rosy błyszczały na płatkach, niby djamenty na białym atłasie.

Gucio z zachwytem przypatrywał się tym ścianom atłasowym. Było ich aż sześć; rozłożone u góry, niby kartki wachlarza, schodziły się z sobą u dołu w jedną całość, a wzdłuż każdej szedł wązki złoty pasek. Co go najwięcej dziwiło, to klomb dziwaczny, znajdujący się w tej wonnej komnacie: w samym środku wysoka, blade-zielona kolumna²⁾, zakończona u góry trzema żebrami, rozszerzonymi na samym wierzchu, a żebra te pokryte były drobnymi brodawkami, powleczone miłą lepką cieczą. Naokoło kolumny wznosiło się sześć niższych od niej, cienkich nitek czyli pręcików, a na każdym u samego wierzchołka wisiał długi podwójny worczyk, jakby przeszyty przez środek. Worczki miały ciemno-żółtą barwę, a przyczepione tylko środkiem do pręcików, chwiały się za każdym silniejszym wiatru powiewem.

Gucio przyglądał się ciekawie temu klombikowi, gdy leciuchny szmer zwrócił jego uwagę; do komnaty zajrzała ciekawie mała, ciemno-brunatna muszka i, zobaczywszy Gucia, zawahała się, czy wejść dalej, czy nie wejść.

II.

Chwilę tak patrzeli na siebie. Nareszcie jejmościanka³⁾, osądziwszy snąc⁴⁾, że nie ma potrzeby wcale na niego zważać, weszła do środka. Dokoła klombu błyszczało coś, jakby wilgoć. Muszka zaczęła żwawo chodzić naokoło i wypijając tę wilgoć swoją misterną, delikatną trąbką. Chodząc, potrącała pręciki—i o dziwo! Guccio zobaczył, że owe podwójne worczki pękały na zeszytciu przez środek, i każda

połowa odwracała się na lewą stronę, przyczem obficie wysypywał się żółto-pomarańczowy proszek. Klomb był cały pokryty tym proszkiem, a muszka, podobna do młynarza, mielącego żółtą mąkę. Guccio nie mógł już dłużej wytrzymać.

— Moja panno, co to wszystko znaczy? — odezwał się ostro, wskazując łapką na rozsypywany proszek. — Poco tu weszłaś i dlaczego narobiłaś tyle nieporządku?

Muszka odwróciła się żywo i zmierzyła go od stóp do głowy bystreimi oczyma.

— Aa! pokutujący człowiek! — rzekła nareszcie — nie spostrzegłam tego odrazu. Cóż to pan dobrodziej przekrobał?

Gdyby Guccio nie był w tej chwili muchą, ale chłopcem, toby groźnie brwi zmarszczył; ale, niestety, nie mógł tego uczynić, odpowiedział tylko głosem na pozór obojętnym, choć zły był okropnie:

— Moja panienko, nie żądam ode mnie wyjaśnienia; lepiej bądź łaskawa wytłumaczyć mi, dlaczegoś tutaj przysła i naśmiecila?

— Dlatego, żeby kwiat miał nasienie—odpowiedziała.

— Co? co? nie rozumiem panny!

— Słuchajże mnie z uwagą. Najważniejszą częścią każdego kwiatu jest to—i to.

Tu wskazała umączoną łapką na wierzchołek kolumny, okryty teraz grubo żółtym proszkiem, i na pręciki z worczkami.

— Pod wierzchem tej kolumny — mówiła — jest otwór głęboki, sięgający aż do samego dołu, gdzie są ukryte zalążki nasionek—i to wszystko razem nazywają ludzie słupkiem. Żeby jednakże z zalążków wytworzyły się nasiona, trzeba je zasilić tym żółtym pyłkiem, który się znajduje w worczkach. Kwiat tego sam zrobić nie może, potrzebuje pomocy, i tę mu dajemy my, owady. Wytrząsamy z wo-

¹⁾ Pieśń na cześć Boga. ²⁾ Słup, filar. ³⁾ Żartobliwie: panna,

⁴⁾ Widocznie.

reczków pyłek, a on przeciska się między brodawkami, spada do środka słupka i zasila zalążki.

Gucio, słuchając tego, kiwał głową z niedowierzaniem.

III.

— Bywają kwiaty, nie mające wcale pręcików, tylko same słupki, i inne, które znów słupków nie mają, tylko pręciki. W takich nasiona nie zawiązałyby się nigdy, gdyby usługne owady nie latały po całych dniach z kwiatka na kwiatek i nie znosiły na łapkach i skrzydełkach każdemu tego, co mu jest potrzebne. Bez nasion niema owoców: gdyby nie my i nie wiatr, co nam często w tej pracy pomaga, ty, chłopczyku, nie jadłbyś nigdy owoców.

Gucio ciągle kiwał głową z niedowierzaniem: brzmiało to, jak bajka z „Tysiąca nocy“. Czy podobna, żeby takie małe, nędzne stworzenia miały tak dużo znaczyć w życiu świata? Muszka sobie chyba z niego żartuje.

— Wróbel mi mówił, że owady tępić trzeba, jako szkodliwe rolnictwu, a panna nazywasz je Bożą czeladką¹⁾. Ktoż z was mówi prawdę?

— Jedno i drugie. Owady rozmnażają się z niestęchną szybkością, znosząc rocznie setki tysięcy jajeczek; gdyby ich ptaki nie tępiły, to w krótkim czasie one jedne zapanowałyby nad światem, i nicby się nie ostało²⁾ przed ich nienasyconem obżarstwem.

— Dziwna rzecz, że panna, przybywszy tu dla pracy, pomyślała jednak najprzód o jedzeniu — przerwał Guccio, który dotąd nie pozbył się jeszcze swej podejrzliwości względem gościa.

— Nie zapieram się tego. Bóg tak urządził, żeby praca, wykonywana przez nas, łączyła się ściśle z naszym własnym interesem. Otrząsamy pyłki, szukając w kielichach kwiatów pożywienia dla siebie. Najczynniejsze w tej robocie

¹⁾ Służbą. ²⁾ Nie uchroniło.

są pszczoły, chociaż zanadto się poświęcają, gdyż słodycz, znajdowaną w kwiatkach, gromadzą dla ludzi.

— Więc to jest słodkie? — zapytał Guccio i wskazał łapką na wilgoć, błyszczącą dokoła klombu.

— Jak miód, spróbuj tylko.

Guccio spróbował i połykał z chciwością wonny nektar¹⁾.

— Żegnam pana, pokutujący człowieku — rzekła muszka, dygając uprzejmie. — Bądź zdrow. Dobrego apetytu!

Z powieści Urbanowskiej „Guccio zaczarowany“.

Czy każdy pracuje i powinien pracować? Dlaczego? Komu nasza praca korzyść przynosi? Czy my korzystamy z pracy²⁾ innych ludzi? W jaki sposób możemy się za to wypłacać, aby mieć prawo z niej korzystać? Co to znaczy: praca zbiorowa, podział pracy? Czy ludzie zawsze dzielili się pracą? Jakiem byłoby życie człowieka, gdyby musiał sam sobie wszystko zrobić?

59. SŁOWIK.

Na różanym kwiecie	Dla kogo twe piosnki,
Siadł słowik maleńki;	I skąd one płyną?
Śpiewa, a nikt nie wie,	— Skąd me piosnki płyną?
Skąd on wziął piosenki.	Nie dziw się ni trocha ³⁾ :
A tak śpiewa pięknie,	Śpiewa zawsze pięknie
Taki głos uroczy ²⁾ ,	Ten, kto mocno kocha.
Że aż serce mięknie,	Kocham noc majową
Zbiegła łza na oczy.	W księżycu pozłocie,
Patrzy Stacho mały,	Gdy nad moją głową
Podniósł wzrok w niebios,	Świeci gwiazdek krocie ⁴⁾ .
Łzy w oczętach stały,	Kocham krzewy, zdroje
Jak na kwiatkach rosa.	I łąkę kwiecistą,
— Powiedz — rzekł — słowiczku,	Kocham gniazdko moje
Śpiewna ty ptaszyno,	I ziemię ojczyzną.

K. Gliński.

¹⁾ Doskonały napój, który według podań greckich pili bogowie.
²⁾ Pełen uroku, prześliczny. ³⁾ Zamiast: trochę. ⁴⁾ Setki.

Pogadanka. Pięknie śpiewa, kto mocno kocha, bo ten tylko jest szczęśliwy. Kogo ty kochasz? Jak się nazywa człowiek, który kocha tylko siebie? Kochać jest bardzo wielkiem szczęściem. Szczęśliwe dziecko, które kocha rodziców, — szczęśliwsze, które ma rodzeństwo i liczną rodzinę. Oprócz tego kochamy bliźnich, rodaków naszych i wszystkich ludzi. Kochamy swój dom rodzinny, wioskę, miasto i kraj czyli ojczyznę. Kochamy ludzi, którzy dla niej pracowali i umierali, kochamy przeszłość naszą. Wiele miłości objąć może serce ludzkie, a przez to i wiele szczęścia.

60. Taniec kwiatów.

I. Iza obudziła się w nocy. Śniło jej się o kwiatach, lalce, małym Fredziu. W pokoju było ciemno, na stoliku paliła się nocna lampka, ojciec i mama spali.

— Czy też moje kwiaty leżą jeszcze w łóżeczku lalki? — pomyślała. — Ach, jakbym chciała się przekonać!

Podniosła się troszeczkę i spojrzała przez drzwi uchylone do drugiego pokoju: — tam były jej kwiaty i wszystkie zabawki. Zaczęła nasłuchiwać, i zdawało jej się, że ktoś tam ślicznie gra na fortepianie, ale tak delikatnie i cichutko, jak jeszcze nigdy dotąd nie słyszała.

— To pewno kwiaty tańczą! — szepnęła z zachwytem. — Ach, mój Boże, jakbym chciała to zobaczyć!

Nie śmiała jednak podnieść się z łóżeczka, aby nie zbudzić mamy.

— Może one przyjdą — pomyślała znowu.

Ale kwiaty nie przychodziły, muzykę tylko słyszeć było coraz lepiej, śliczną, ale cichutką.

Nakoniec Iza dłużej wytrzymać nie mogła. Wyszła po malutku z łóżka i na palcach zbliżyła się do drzwi uchylonych. Zajrzała. Co za widok! Ach, cóż tam zobaczyła!

Nocnej lampki nie było w sąsiednim pokoju, ale księżyc świecił przez okno prześlicznie, i było jasno, jak w dzień biały. Wszystkie tulipany i hjacynty z okna stały na środku naprzeciwko siebie, w doniczkach nie pozostał ani jeden.

Pomiędzy nimi kręciło się i uwijało całe mnóstwo prześlicznych kwiatów, trzymając się listeczkami jak za ręce i zwracając w takt muzyki w tę lub inną stronę. Niepodobna opisać, jak to było pięknie.

Na fortepianie grała żółta lilja, którą Iza niedawno poznała w ogrodzie. Fredzio powiedział wtedy: — Patrz, jaka podobna do panny Karoliny. — Ale wszyscy się z niego śmiali. Tymczasem żółta lilja była rzeczywiście do panny Karoliny niezmiernie podobna, szczególnie teraz, kiedy pochylała to na prawo, to na lewo podługną żółtą głowę, wybijając takt muzyki.

Małej Izy nikt nie zauważył. Wtem wielki niebieski krokus¹⁾ wskoczył na stolik z zabawkami, odsunął firanki od łóżeczka lalki, i chore kwiaty natychmiast powstały, okazując uśmiechem i ruchami, że już odpoczęły i mają ochotę tańczyć razem z innymi.

Nagle kominiarczyk ze stłuczonym nosem, który siedział zawsze w kącie, wyskoczył i, kłaniając się uprzejmie kwiatom, zapraszał je do tańca. Wcale nie wyglądały teraz na zmęczone, sfrunęły ze stolika i zaczęły kręcić się wokółko.

W szufladzie z zabawkami dało się słyszeć pukanie. Kominiarczyk natychmiast pospieszył na brzeg stolika, położył się na brzuchu i z całej siły zaczął wyciągać szufladkę. Udało mu się wreszcie. Lalka wysunęła głowę i zaraz się podniosła, bardzo zadziwiona.

— To tutaj bal? — spytała. — A dlaczego nikt mi o tem nie powiedział?

— Czy chcesz ze mną tańczyć? — szepnął kominiarczyk.

— Jeszcze czego! To mi tancerz! — odpowiedziała dumnie i odwróciła się plecami.

II.

Usiadła sobie na brzegu szuflady, oczekując, aż który z kwiatów przyjdzie ją zaprosić. Ale żaden nie przycho-

¹⁾ Kwiat doniczkowy i łąkowy, należy do złożonych.

dził. Zaczęła chrząkać głośno: — Hm! hm! — To wszystko jednak na nic się nie zdało, nikt na nią nie uważał. A kominiarczyk ze słuczonym nosem tańczył sam i bardzo ładnie.

Widząc, że kwiaty na nią nie zważają, lalka z wielkim hałasem umyślnie spadła na głowę. Natychmiast wszystkie otoczyły ją troskliwie, podnosząc i dopytując, czy nie zrobiła sobie jakiej krzywdy. Szczególniej kwiaty, które spały w jej łóżeczku, były uprzejme i dziękowały serdecznie, że na jej pościeli odpoczęły wygodnie przed balem. Wzięły ją za obie ręce i wyprowadziły na środek pokoju; tu księżyc najjaśniej świecił i najpiękniej było tańczyć. Reszta kwiatów otoczyła ich ogromnem kołem, i wszyscy się kręcili tak leciuchno i ślicznie, jak prawdziwy rój motyli.

Wtedy lalka rozweseliła się zupełnie i powiedziała kwiatom, że mogą spać w jej łóżeczku, bo jej w szufladzie zupełnie dobrze.

— Dziękujemy ci, lalczko — rzekły kwiatki — ale my już niedługo żyć będziemy. Umrzemy jutro. Powiedz Izie, żeby pochowała nas w ogródku, obok kanarka, to obudzi mi się w lecie i będziemy jeszcze piękniejsze.

— Ach, nie! — zawołała lalka. — Poco macie umierać? — i całowała je serdecznie po kolei.

Wtem otworzyły się drzwi do salonu i, tańcząc, wbiegło mnóstwo najpiękniejszych kwiatów. Iza w pierwszej chwili nie mogła zrozumieć, skąd one się tu wzięły, ale odgadła zaraz: to pewno były kwiaty z królewskiego zamku.

Na czele szły dwie róże precudowne, w złotych koronach: to król i królowa. Potem ślicznie pachnące gwoźdźki, lewkonje kłaniały się na wszystkie strony i uśmiechały słodko. Za niemi szła muzyka: wielkie maki i piwonje wygrywały z takim zapałem na strączkach, że poczerwieniały całkiem z wysilenia. Hjacynty fioletowe i pierwiosniki¹⁾

¹⁾ Kwiaty polne, które kwitną bardzo wcześniej na wiosnę.

dzwoniły znowu tak prześlicznie, jakby miały prawdziwe dzwonki. Cudowna to była muzyka!

Całe mnóstwo kwiatów wpłynęło z salonu, i tańczyły wszystkie razem: stokrotki z fijołkami, złocienie¹⁾ z konwalją, rezeda z groszkiem pachnącym, bławatki, bzy, bratki, róże — wszystkie się całowały i tańczyły, aż rozkosz była patrzeć.

Nakoniec księżyc pobladł, i zmęczone kwiaty powiedziały sobie: — Dobranoc!

Iza także cichutko powróciła do łóżeczka, wsunęła się pod kołderkę i zasnęła.

Z Andersena.

Co to znaczy fantazja? świat czarodziejski? Co nazywamy rzeczywistością?

61. Nasze kwiaty.

Jeszcze śnieżek prószy,
Jeszcze chłodny ranek,
A już w cichym lesie
Zakwita sasanek.

A za nim przyłaszczka
Wychyla się z pączka,
I mleczem się żółtym
Złoci cała łączka.

I dłużej już dzionka,
I bliżej słoneczka...
A w polu się gwieździ
Biała stokroteczka.

A dalej fijołki
Wśród trawy pod rosą

W świeżych swych czarecz-
[kach
Woń przesłodką niosą.

A tuż ponad strugą,
Co wiję się krętą,
Niezapominajka
Otwiera oczęta.

A w gaju, wśród liści,
W wilgotnej ustroni²⁾
Konwalja bieluchna
W dzwoneczki swe dzwoni.

A wyjdiesz drożyną
Z gaiku na pole,
To spotkasz modraki³⁾,
Ostróżki, kąkole —

¹⁾ Chryzantemy. ²⁾ Miejsce odosobnione. ³⁾ Chabry.

I maczek tam wilczy
Kraśnieje wśród żyta,
I różą kwiat głogu
Na miedzy zakwita.

A ścieżką zieloną,
Co z górki zstępuje,

Srebrzysty powoik
Po świecie wędruje.
O ziemio ty droga,
Ty Boży zielniku¹⁾,
I w polach i w łąkach
Masz kwiecica bez liku!²⁾
M. Konopnicka.

Wylicz, jakie znasz kwiaty polne, leśne, łąkowe, ogrodowe?— które ci się najbardziej podobają? Jak nazywają inaczej modraki?

62. BRZOZA.

Jednem z najpiękniejszych drzew naszych jest brzoza. Śliczne to dziewczę lasów wyróżnia się pniem ciekim i wysmukłym, pokrytym białą, delikatną korą. Wiotkie jej, długie, niby warkocze, gałązki spływają na dół lekko i swobodnie, a niewielkie, błyszczące, ząbkowane listki drżą za każdym powiewem. Na wiosnę zdobią ją bażki zielone, stanowiące jej kwiaty, owocem są szyszeczki, z których w początkach sierpnia opadają skrzydlate nasionka i, niby małe brunatne motylki, unoszą się w powietrzu.

Brzoza rośnie wszędzie w naszym klimacie, nie wymaga ziemi bardzo urodzajnej, często spotkać ją można na piaszczystych gruntach, tworzącą zagajniki³⁾ i niewielkie lasy. Ogrodnicy używają jej też chętnie na klomby i malownicze grupy⁴⁾ w ogrodach i parkach. Rzeczywiście jasna zieloność jej liści, piękny kształt, wdzięk rysunku stanowią całość bardzo poetyczną, na tle drzew ciemnych i poważnych odbijają niby młodość i pogoda. Nawet w zimie brzoza jest piękna, gdy na białym śniegu rysują się wyraźnie delikatne, ciemne jej różgi, niekiedy obsypane brylantami szronu. Wówczas przypomina czarodziejskie

¹⁾ Zbiór roślin zasuszonych. ²⁾ Bez liczby. ³⁾ Młode lasy. ⁴⁾ Gro-madki.

baśnie, i błądząc wśród brzóz białych i błyszczących, zdaje się nieraz, że przeniknęliśmy do jakiejś zaczarowanej krajiny fantazji.

Poetyczna brzoza jest jednak ziemianką¹⁾, pamięta o tem i oddaje ziemi należną jej daninę w postaci bardzo pożytecznego drzewa. Opał z brzeziny daje dużo ciepła, a oprócz tego wyrabiają z drzewa ładne i dość trwałe sprzęty. Bardzo miłe są także z gałęzi brzozowych ławki, stoliki, mostki, altanki i t. p. urządzenia ogrodowe.

Czy to jest opis, czy opowiadanie?

Jakie znasz drzewa leśne, ogrodowe, owocowe? Które uważasz za najpiękniejsze? A które za najpożyteczniejsze? Co to jest park?

63. Rubelek Tesi.

Maj, wiosna wokoło,
Pogodnie, wesoło,
Zielono, błękitnie,
Co kwiatek — to kwitnie,
Co ptaszek — to śpiewa;
Gaj, pola i drzewa
Brzmia w kolej, jak tony
Też pieśni i strony.

I oto w ogródku,
Po kwiatkach, w drzew
[chłódku,
Wśród płasów²⁾, igraszek,
Jak kwiatek, jak ptaszek,
Tesiutka malutka,
Swawolna filutka,
To śpiewa, to biega,
Aż sad się rozlega

To piosnką, to śmiechem,
To kroków jej echem.
A na ganku, jak co ranku,
Za wczorajszą w polu pracę
Robotnikom, najemnikom
Ojciec, siedząc, dzieli płacę.

Postrzegła,
Przybiegła
I obces³⁾ do taty:

— Jaki ty bogaty!
Dajże i mnie, proszę,
Choć grosz, choć trzy grosze!
— A za co? — Ej, tato!
— A na co? — Ot, na to:
Na włóczki, koralki,
Na różne zabawki,
Na suknię dla lalki,

Obrózkę dla Żwawki.

¹⁾ Mieszkanka ziemi. ²⁾ Skoków, tańców. ³⁾ Prosto, śmiało.

I nagle, jak sroczka,
Porwała rubelka

I rada z figielka,
Uciekła, jak skoczka.

Po godzinie ojciec słucha —
W całym sadzie cisza głucha,
Nikt nie skacze, nikt nie śpiewa —
Gdzie to Tesia? — W cieniu drzewa,
Twarz na dłoni, dłoń na sęku,
Siedzi wsparta z rublem w ręku.
Siedzi, myśli: co za niego
Kupić? komu? wiele? czego?
Suknię niańce? — rubla mało.
Suknię lalce? — Jaka? — Białą?
Nie! — Zieloną? — Tę już ma.
Żółtą? — E, fe, żółta zła!
Więc różową, czy błękitną,
Ale całą aksamitną.

Lecz czyż na to rubla dosyć?
Można tatę znów poprosić,
Ale — kto wie — da? czy nie da?
Wreszcie z ojcem mniejsza bieda,
Ale mama! — Czuje sama,
Że dziś z mamą przed śniadaniem
Nienajlepiej poszła gama¹⁾,
Jak po grudzie szło z czytaniem.
Mama powie. Tata — kto wie —
A nuż może każe sobie
Oddać nawet, co dał?... Bieda!
Co tu począć? Główkę skrobie,
Sama sobie rady nie da.

— No, to nie chcę nic kupować,
Rubla schowam. — A gdzie schować?

¹⁾ Szereg tonów kolejnych w muzyce, ćwiczenia muzyczne.

Skrzynki nie mam, — Andzia mówi,
Że najłatwiej złodziejowi
Przyjść i ukraść. No, to włożę
Pod poduszkę. A jak może
On z łóžeczkiem mnie wyniesie?
Obudzę się w nocy, w lesie!
Ach! — i dalej w płacz żałosny,
— Ach, ty rublu, ty nieżnośny!
Co ja muszę cierpieć za cię!
Precz ode mnie! Oddam tacie.

Już chce skoczyć i znów stoi,
Spuszcza główkę, znów coś roi —
Żal rubelka. Jak się odda,
Już go nazad nie odebrać!
Chować — kłopot, stracić — szkoda.
Ot, najlepiej było nie brać!
Lecz cóż zrobić, wzięwszy już? —

Gdy tak duma, Anioł Stróż,
Stróż jej myśli i serduszka,
Zlitował się i do uszka
Szepnął z cicha: — Bieź¹⁾ do mamy,
Tam jest mądrość, tam skarb dzieci,
Nie poradzisz sobie samej,
A Bóg przez nią cię oświeci.

Tesia cała szczerwieniła,
Nie wie, że to głos anioła,
Czuje tylko, że się stała
Znów spokojna i wesoła.

I do mamy!

A u bramy

Mama z jakąś biedną gada,
Co wpół naga, wsparcia błaga,

¹⁾ Biegnij.

O swych dziatkach rozpowiada;
Ma ich czworo: jedną chorą,
Troje z głodu mrą bez chleba.
Żal zdjął Tesię, rubla niesie,
Wie już, co z nim zrobić trzeba...

A gdy mama i uboga,
I Stróż Anioł w tejże chwili,
Dziękując jej w imię Boga,
Wszyscy ją błogosławili,
Anioł Stróż tchnął w jej sumienie
Naukę na całe życie:
Że szczęścia nie daje mienie,
Lecz dobre mienia użycie.

A. E. Odyniec.

Czy dzieciom pieniądze potrzebne? Na co dzieci zwykle używają pieniędzy? Czy to wielkie szczęście mieć dużo pieniędzy? Co więcej jest warte od pieniędzy? Do czego są pieniądze potrzebne? Co to znaczy: mienie?

64. Cztery prądki.

I.

Pewnego razu zeszły się z sobą cztery prądki, sławne na całym świecie z niepospolitej ¹⁾ sztuki i zręczności. Przywitały się grzecznie i każda zasiadła do swej roboty.

1. Pierwsza ubrana była po wiejsku, bardzo skromnie, ale tak świeżo i starannie, że miło było patrzeć na nią. Włosy jej, jasne jak len, splecione były w gładkie warkocze, spadające na ramiona. Fałdzista spódniczka z niewarowego ²⁾ płótna, biały jak śnieg fartuszek i koszulka, oto cały jej strój. Za nią postępowało dwóch wiejskich chłopaków, ubranych pięknie, jak na niedzielę; nieśli z sobą róż-

¹⁾ Nadzwyczajny, niezwykle. ²⁾ Niewarowe płótno—szare, surowe, niebielone sztucznie.

ne przybory, z których w mgnieniu oka urządzili jej wygodne siedzenie. Więc kilkadziesiąt sztuk płótna zręcznie ułożyli w stos, rozpięli nad tem ładny namiocik z szarego, niewarowego batystu, podobnymi sznurami podpięty; potem jeden jej podał prześliczną kądziel z pachnącego drzewa, miękkim lnem nałożoną, drugi podobne wrzeciono ¹⁾, a pracowita prądka zręcznie zakręciła wrzecionkiem i wyciągnęła długą, cienką nitkę. Była to panna Konopianka, zarządzająca na całej ziemi przedziwem z lnu i konopi.

2. Obok umieściła się druga prądka. Ta miała ubranie z białych jak śnieg baranków, a na głowie barankową czapkę. Strój ten ślicznie wyglądał przy ogorzałej twarzyczce i ciemnych włosach. Za nią szło dwóch pastuszków z fujarkami w ręku. Ci także urządzili na prędce siedzenie dla swojej pani z puszystych wełnianych kołder i szalów i rozpięli wspinały namiot z purpurowego sukna, wełnianymi sznurami i chwastami ozdobiony. Donna Ferdinanda de los Merinos (tak się nazywała druga prądka, Hiszpanka rodem) była przełożoną nad wszystkimi wełnianymi wyrobami, i teraz, nie tracąc czasu, kazała sobie podać piękny kołowrotek i przędła na nim miękką białą wełnę.

3. Trzecia prądka wyglądała znowu inaczej. Suknie miała białą, muślinową ²⁾, suto namarszczoną, odstającą jak balon, a za każdym jej poruszeniem szeleściły perkalowe krochmalne spódniczki, których kilka miała pod spodem. Ubranie głowy stanowił duży kapelusz z białego, fałdowanego muślinu. Na usługi miała dwóch Murzynków, czarnych jak węgiel, z kędzierzawymi głowami. Ci w jednej chwili ułożyli wielki stos z miękkiej waty i pomogli swej pani umieścić się na tem siedzeniu. Usiadła tak lekko, że wata tylko troszeczkę opadła. Murzynkowie osłonili ją fałdzistym namiocikiem z lekkiego i przejrzystego jak mgła

¹⁾ Narzędzie do przędzenia, rodzaj laski, na którą nawija się nitka.
²⁾ Cienka i przezroczysta tkanina bawełniana.

muślinu i postawili przed nią jakąś sztuczną maszynkę, z różnych kółek i wałeczków złożoną. Strojna prządka włożyła w tę maszynkę trochę puszystej waty i wyciągnęła śliczną nitkę bawełnianą. Ta trzecia prządka, nazwiskiem miss Jenny Cotton (Dżenni Koton), Amerykanka, miała pod swoją opieką bawełnę i wszystkie bawełniane wyroby.

4. Najokazalszy widok przedstawiała czwarta prządka. Powłóczysta¹⁾ jej suknia zrobiona była z ciężkiego złocistego adamaszku²⁾. Na ramionach miała zarzucony aksamitny płaszczyk błękitny, a czarne jej włosy, podczesane do góry po chińsku, przykryte były lśniąca, przezroczystą gazą³⁾. Miała przy sobie dwóch małych Chińczyków, ustrojonych w żółte jedwabne sukienki, z czarnymi warkoczami, spadającymi na ramiona. Nieśli oni długi ogon u sukni swej pani, a przyszedłszy na miejsce, urządzili jej piękne siedzenie, z baldachimem z samych jedwabi i aksamitów. Piękna ta pani była przełożoną nad wyrobami z jedwabiu. Od dawna już mieszkała w Europie, ale ponieważ ród jej z Chin pochodził, więc nosiła chiński tytuł Mandarynki. Zasiadłszy na swoim miejscu, i ona także zajęła się robotą, ale nie miała do tego ani kądzieli, ani kołowrotka, tylko prześliczne zwijadełko z kości słoniowej. Nie przędła też swej niteczki; bo nitka ta, cieniutka jak pajęczyna, a jednak niezmiernie mocna, już była gotowa, zwinięta w jakieś małe, okrągławe kłębuszki, które Chińczycy wrzucili do złotego kociołka, napełnionego wodą wrzącą.

II.

Mandarynka pierwsza zaczęła rozmowę w te słowa:

— Już to trzeba przyznać, moje panny siostry, że wszystkie wasze wyroby ustąpić muszą przed moimi. Gdzież tu wasze płótna, perkale, wasze szorstkie sukna i merynosy⁴⁾

¹⁾ Długa, wlokąca się po ziemi. ²⁾ Materiał w duży deseń. ³⁾ Lekka, przezroczysta tkanina. ⁴⁾ Materiał wełniany.

mogą się porównać do moich wspaniałych jedwabnych materji, do tych aksamitów, atlasów, pięknych wstążek, które wychodzą z mojej pracowni? A jednak ja z moją przędzą daleko mniej trudów od was ponoszę: pocziwie liszki wszystko robią za mnie.

— Przepraszam cię, panno siostro — odezwała się skromnie Konopianka. — Prawda, że wyroby twoje są bardzo piękne, ale moje niezawodnie więcej korzyści przynoszą. Bogacze tylko stroją się w jedwabie, a iluż to ubogich ludzi bez nich się obchodzi? A bielizna każdemu potrzebna. Moja praca dość jest uciążliwa, ale wszystkie przyznać musicie, że najużyteczniejsza.

— Wybacz, wybacz, siostrzyczko! — zawołała Hiszpanka, nakładając świeży pęk białej wełny na swój kołowrotek — jeżeli idzie o pożytek, to ja nikomu nie ustąpię pierwszeństwa. Ciekawa jestem, co by ludzie robili w zimie, gdyby musieli poprzestać na twoich płótnach i batystach, gdybym ja nie dostarczyła im cieplej flaneli, dobrego sukna i różnych miękkich chustek i szalów? Moje wyroby są trwałe, niedrogie, więc dla ubogich dostępne, ale bogaci nie gardzą wcale pięknymi dywanami mojego wyrobu, pysznymi kaszmirami¹⁾, śliczną włóczką. Mnie z pewnością należy się pierwszeństwo między wami.

— Poczekaj, poczekaj, siostrzyczko kochana, nie przechwalaj się znów tak bardzo — przerwała zwinna Amerykanka, poprawiając się na swoim siedzeniu, gdzie coraz głębiej zapadała w puszystą watę. — Ja, prawdę powiedziawszy, sama jedna was wszystkie zastąpić potrafię. Bielizna z perkalu jest bardzo dobra, a tańsza od płóciennej; barchan prawie tyle ciepła daje, co flanela, a pierze się lepiej. O wacie to już niema co i mówić! Jeżeli idzie znów o piękne stroje, to i w tem nie powstydzę się przed wami:

¹⁾ Cienki i miękki materiał wełniany, wyrabiany niegdyś w Kaszmirze, w Azji.

królowa nawet może śmiało ubrać się w przejrzystą suknię muślinową.

Mandarynka ruszyła pogardliwie ramionami, poprawia-
aksamitnego płaszczyka, Hiszpanka rozśmiała się na
głos, zakręcając prędzej kółka swego kołowrotka, nawet
wieśniaczka, milcząc, pokręciła główką na znak, że się nie
zgadza na te szczególne pretensje¹⁾ Amerykanki.

A wy, co myślicie o nich?

M. J. Zaleska.

O jakich materiałach jest mowa w tej powiastce? Skąd każdy
z nich pochodzi? Który wydaje ci się najpożyteczniejszy? A który
najłatwiej mogli ludzie spożytkować? Czy mamy jeszcze inne materiały
na odzież? Dlaczego takie imiona i narodowości nadano prządkom?
Opisz każdą z nich.

Wymień wyrazy podobnego znaczenia, co: odzież, sławny, szelest,
okazały, trud. Co to jest: kądziel, wrzeciono, kołowrotek, szarpie?
Z czego się robi perkal, sukno, płótno, atlas, barchan?

65. Lny nam kwitną.

Oj matusiu, lny nam kwitną,
Jako niebo, tak błękitno!
Pielcież zagon wedle²⁾ krzyża,
Bo się na mnie czas przybliża... Hej!...
A łzami go polewajcie,
A na słońku suszyć dajcie...
Niech go ciepły wiatr przewiewa,
A skowronek niech ośpiewa... Hej!...
Uprządcież mi cienkie płótno,
Wybielcież je na wygonie³⁾...
Mocny Boże, toć tam smutno,
Toć tam ciężko w obcej stronie... Hej!...
Uszyjcież mi koszulinę,
W połudeńko, w przodu chaty;

¹⁾ Wymagania, żądania. ²⁾ Obok. ³⁾ Miejsce, gdzie wyganiają
bydło na paszę.

Nie żałujcie zgrzebnej¹⁾ szmaty!

Albo wróć, albo zginę... Hej!...

Jak dostanę w piersi kulę,

Jeśli taki wyrok Boski,

Niech na sercu mam koszulę

Z lnu naszego, z naszej wioski!... Hej!...

M. Konopnicka.

Jakie uczucia ta pieśń wyraża?

66. LEŚNICZÓWKA.

W lesie, w głębokim lesie, na obszernej polance, stała
chata gajowego Szczepana. Chata była słomą kryta, a bu-
dowana z okraglaków²⁾, mchem utykanych w spojeniach;
obok chaty stały dwa budynki gospodarskie, przed nią zaś
kawał zagrodzonego pola i studnia żórawiana, krzywa, za-
padła, z wodą pokrytą zieloną rzęsą³⁾.

Przed oknami rosły słoneczniki i dzikie malwy, wyso-
kie, smukłe, a pokryte kwieciem, jakby rojem motyli; mię-
dzy słonecznikami pstrzyły się czerwone główki maku,
około malw okręcał się groch o kwieciu różowym i lila,
wdole rósł barwinek, żółty krokosz, złote nagietki i astry
blade, bo przygłuszone, i siwymi liśćmi słoneczników
i malw od słońca zakryte.

W ogrodzeniu po obu stronach drogi do chaty posiane
były warzywa: marchew, buraki i kapusta; dalej w osob-
nych opłotkach za każdym powiewem wiatru kołysały się
fala błękitną kwiatki lnu; dalej ciemniała zieleń kartoflanej
naci, na reszcie obszernej polanki⁴⁾ ruń⁵⁾ zbóż mieniła się
to jaśniej, to ciemniej, aż do brzegów jeziora, oblewającego
z jednej strony polankę.

Drzew niewiele było przy chacie. Kilka czereśni z ciem-
nym, błyszczącym liściem i brzoza jedna, o długich, cien-

¹⁾ Grube płótno. ²⁾ Okragłe pniaki nieociosane. ³⁾ Roślina wodna.
⁴⁾ Miejsce w lesie nie zarośnięte drzewami. ⁵⁾ Zieloność młodej oziminy.

kich prątkach, stojąca tak blisko chaty, że lada wietrzyk rzucał jej zielone warkocze na zapadły, mchem porośły dach słomiany; a kiedy wiatr silniejszy przygiął brzozę ku ścianie i wszystkie prątki i całą falę listków zwał na dach, wówczas mogło się здаwać, że brzoza miłuje chatę i bierze ją w ramiona.

W tej brzozie pełno było wróble, a szelest liści i szmer prątków mieszał się ze świegotem i radosną wrzawą ptactwa; na podstrzeszu zaś chaty niosły się gołębie, więc i tam pełno było ich rozhoworu ¹⁾ i gruchań i wabienia się, i niby próśb i rozpraw, jak to zwyczajnie między gołębiami, narodem dziwnie gwarnym i gadatliwym.

Bywało, że czasem spłoszył je jaki nieznany strach; wówczas koło chaty zrywał się szum skrzydeł, powietrze roilo się wichrem skrzydlatym i mnogością białego ptactwa; słyszałeś zamęt i szum i warkotanie sterówek ²⁾. Cały rój wylatywał nagle i w kołach a w kółkach krążył i zbliżał się i oddalał, i wreszcie spadał, niby tuman śniegowych płatów, na szary, słomiany dach chaty.

A jeśli to było o rannej lub wieczornej zorzy, to wówczas w blaskach powietrza gołębie one zdawały się już nie białe, ale różowe, i niby płomyki lub rozsypane listki różu padały na strzechę i brzozę.

Wieczorem, gdy słońce zachodziło na bory, cichł zwolna rozhovor pod strzechą i świegot na brzozie. Wróble i gołębie strząsały rosę ze skrzydeł i zabierały się do snu; czasem zagruchał lub zaczyrykał jeszcze który, ale coraz rzadziej, sennie, a wreszcie cichło wszystko — mrok padał z nieba na ziemię, chata, czereśnie i brzoza zacierały się w kształtach, mieszały razem, topiły i przysłaniały mgłą, podnoszącą się z blizkiego jeziora.

H. Sienkiewicz.

¹⁾ Rozmowy. ²⁾ Sterówki — sztywne piórka w ogonie ptaka.

Czy to jest opis czy opowiadanie? Zrobić rozkład.

Od czego pochodzą wyrazy: polanka, opłotki, okraglak, słonecznik, ogrodzenie, warzywo, ściemnieć, gwarny, gadatliwy, mnogość, wylatywać, nieskończoność, opaska?

67. W POLU.

Ledwie skowronek
Przywita dzionek,
Oglądam rano,
Co gdzie zorano;
I po staremu
K¹⁾ rolnictwu cnemu²⁾
Rękę przyłożę
I ziemię orzę.

Słońce dogrzewa,
Ludzie het orzą,
Skowronek śpiewa
Na chwałę Bożą.
Choć niknie oku
W srebrnym obłoku,
Jakby z innego,
Czystszego świata
Piosenka jego
Perłami złata.

Tak ślicznie dzwoni
W błękitnej toni
Ptaszyna droga,
Jakby tam w górze,
W czystym lazurze
Zobaczył Boga!

Gdzie zwrócę oko,
Czy na te niwy³⁾,
Czy tam, wysoko,
Takim szczęśliwy!

Oczy łzawemi
Patrząc przed siebie,
Nie wiem, czym w niebie,
Czy też na ziemi.

Wkoło piosenka
Brzmi wciąż radosna,
Tu brzoza pęka,
Tam pachnie sosna;
Tu woda wzbiera,
A z pod tej wody
Złoty świat młody
Z fali wyziera⁴⁾.

Tam klucz żórawi
Ciągnie zdaleka,
Tu płochych kaczek
Para ucieka.
Lecą bociany,
Drozdzy, słowiki,
Pełno przedziwnej,
Żywej muzyki.

W górze rozlane,
Błękitu morze,
Powietrze szklane,
Czyste... Ach, Boże!
W jakimże słowie
Człowiek wypowie
Rozkosze wieśne⁵⁾,
Polne i leśne!

T. Lenartowicz.

¹⁾ K — ku, do. ²⁾ Zacnemu. ³⁾ Pola. ⁴⁾ Wygląda. ⁵⁾ Wiejskie.

Jakie zboża rosną w polu? Które znasz? Czy słyszałeś skowronka? Jakie znasz wiersze Lenartowicza? Co wiesz o życiu tego poety? Jakie mogą mieć znaczenie wyrazy: klucz, para, Bóg (Bug, buk)? Wymień jeszcze wyrazy, któreby miały podwójne lub potrójne znaczenie.

68. Na grobach.

Wszystkie święta dzieci lubią, bo każde daje jakąś rozmaitość i przyjemną rozrywkę, najmilszymi jednak dla wszystkich są Gwiazdka i Wielkanoc.

Wielkanoc to święto wiosny. Stół ze święconem przybrany zielenią, koło ciast i mazurków pną się gałązki wiłdaków, babki nawet przystrojone wiązką bukszpanu¹⁾. A na świecie słońce i ciepło, wiosną pachnie powietrze, spieszą ludzie na groby, jak na przechadzkę wiosenną. Na ulicach czysto, tłum na chodniku płynie jak rzeka, wszyscy poważnie wchodzą do kościoła, a tu cisza i smutek. Przy stoliku panie rozdają obrazki, ludzie składają na tacy pieniądze dla ubogich i na kościoły, a w głębi, pośród światła, kwiatów, zieloności — grób Chrystusa.

— POCO to Chrystus umarł? — rzekła mała Andzia, kiedy wyszła z kościoła ze starszą siostrzyczką. — Gdybym ja była Bogiem, tobym wołała nie umrzeć.

Wszystkie dzieci rozśmiały się z małej pleciugi, ale Marynia, starsza siostra, rzekła:

— Śmiejecie się z Andzi, a może i same nie wiecie, dla czego Chrystus umarł.

— Bo Go umęczyli! — śmiało zawołał Piotruś.

— Bo chciał umrzeć — poprawiła go Anielka.

— Ale dlaczego chciał umrzeć i dlaczego pozwolił, aby Go umęczono? — pytała dalej Marynia.

¹⁾ Roślina o listkach zielonych nawet w zimie.

Piotruś i Anielcia spojrzeli na siebie, ale żadne nie umiało odpowiedzieć.

— A widzicie — rzekła Marynia. — Więc zamiast śmiać się z Andzi, nim zrozumiecie dobrze znaczenie tego święta, tymczasem zapamiętajcie przynajmniej, że Pan Jezus umarł dlatego, ażeby ludzie lepiej pamiętali Jego naukę i żeby mogli być szczęśliwi. Poto się urodził i dlatego umarł, żeby ludziom dać szczęście. Za to Go też kochamy i obchodzimy tę wielką pamiątkę.

— Ale nie wszyscy ludzie są szczęśliwi — rzekł Piotruś po namyśle.

— Bo nie wszyscy wypełniamy naukę Pana Jezusa; gdyby wszyscy ludzie tak żyli, jak On przykazał, byłoby na ziemi prawie tak dobrze, jak w Niebie. Wszyscy by się kochali, niktby nikogo nie krzywdził, wszyscy pomagali by sobie nawzajem. Przypominajmy sobie o tem podczas grobów, a może będzie coraz więcej dobrych ludzi na świecie, a przez to i więcej szczęśliwych.

Kiedy przypada Wielkanoc? Czy co rok jednego dnia? Czy wolisz Gwiazdę, czy Wielkanoc? Wylicz podobieństwa i różnice między temi świętami.

69. WIOSNA.

Zniknęły już śniegi, spłynęły już lody,
I rzeka porusza się gładko,
Jaskółki szczebiocząc wybiegły z pod wody¹⁾,
Całe ich unosi się stadko.

I kręcą się, wiją, to niżej, to wyżej
Nad czystą jak kryształ rzeczułką,
A coraz to szybciej, a coraz to chyżej,
A wkółko, a wkółko, a wkółko.

¹⁾ Lud wiejski mniema, że jaskółki spędzają zimę pod wodą.

Na brzegu zielonym, na bujnej, na trawce
Dwie krówki się pasą, baranek,
A pastuch przygrywa na długiej ligawce¹⁾,
I słonko przygrzewa w poranek.

Przelotny wiaterek to trawką zawichrzy,
To w trzcinę, w tatarak się wkradnie,
Zakłóci, zamąci, i cichszy, i cichszy
W zielonym gaiku przepadnie.

Ligawka przycichnie, to dzwonek z kościołka
Z za lasu, zdaleka zadzwoni;
A dzwonek zamilknie, to złota mi pszczołka
Zabrzączy na kwietnej, na błoni.

A pszczołka przysiedzie na świeży sasanek,
To piosnka dziewczęcia drży w wietrze.
O Boże mój drogi, w wiosenny poranek
Jak wszystko i świeższe i lepsze!³⁾

T. Lenartowicz.

Kiedy jest wiosna w życiu ludzkim? Kiedy zima?

70. KAZIMIERZ WIELKI.

Przez trzy wieki z męstwa znany,
W męstwie Polak miał swe cnoty;
Na koniu, burką odziany,
Znosił głód i przykre słoty;
Ugorem³⁾ stały obszary —
On bił Niemce i Tatary.

Było to widzenie nowe,
Gdy król zwołał do Wiślicy⁴⁾
Polaków plemię marsowe⁵⁾.

¹⁾ Rodzaj trąbki drewnianej. ²⁾ Powinno być: lepsze. ³⁾ Nieobsiane. ⁴⁾ Dawniej miasto, dziś osada w gub. kieleckiej. ⁵⁾ Mars—bóg wojny u Rzymian; plemię marsowe—wojownicze.

Oni w zbrojach i przyłbicy¹⁾,
Sądząc, że wojować mieli,
Licznymi hufcy stanęli.

Kazimierz rzekł im:—„Nie boju
Dziś od was żądam, Polacy,
Czas, byście żyli w pokoju,
I rycerze, i wieśniacy;
Niech kraje, bronią zajęte,
Uszczęśliwią prawa święte“.

To mówiąc, spisane księgi
Z ręką Melsztyna²⁾ odbiera;
Pieczęć wisiała u wstęgi.

— „Ten zakon—rzecze—zawiera
Przyszłego szczęścia zarody:
Waszą całość i swobody.“

Niedość obce ludy gromić,
Czas jest szczęśliwym być w domu,
Zuchwałą przemoc poskromić,
By nie szkodziła nikomu.
Gdzie sądu zwierzchność surowa,
Nie zapłacze nędzna wdowa“.

Jak w dzień majowej pogody,
Gdy deszcz ciepły przejmie rolę,
Budząc uśpione zarody,
Żyzne zazieleni pole,—
Tak rządem, co mądrość dała,
Zakwitnęła Polska cała.

Przychodzień tłumem się zbiera
Na odgłos lubej swobody,
Już pustynię pług rozdziera,
Wspaniałe wznoszą się grody,

¹⁾ Helm, szyszak. ²⁾ Jaśko z Melsztyna — kasztelan krakowski, t. j. wysoki urzędnik w dawnej Polsce.

Szereg twierdz, co granic strzeże,
Obronne baszty¹⁾ i wieże.

Nieraz król po włościach²⁾ chodził,
I nieraz z kmieciem rozmawiał,
Wspierał w pracach, spory godził,
Nagradzał, w błędach poprawiał.
Ceny pochwaty nie znało,
Gdy go „królem chłopów“ zwano.

Kazimierz w wieku sędziwym
Doznał prac tylu nagrody;
Pod nim naród był szczęśliwym,
Żyzne pola, pyszne grody,
Na urzędach ludzie zdolni —
Takim był z Piastów ostatni.

J. U. Niemcewicz.

Czy zaszczytną była wtedy nazwa: „króla chłopów“? A dzisiaj czy przynosi ujmę Kazimierzowi? Co wiesz o tym królu?

71. Podanie o założeniu Warszawy.

Dawno, dawno temu, gdzie dziś wznosi się Warszawa, była puszcza niezbrodzona³⁾. Dłużej niż gdzieindziej trwały tu bory, bo kiedy nad Wartą, nad dolną i górną Wisłą tworzyły się już państwa, tutaj, na Mazowszu, było głucho, i puszcze odwieczne wciąż szumiały.

Do tej prastarej kniei zajechał raz na polowanie książę Kazimierz. Kto on był—niewiadomo. Za czasów, kiedy dzikie bestje swobodnie chodziły po dzisiejszych ulicach Warszawy, nie pisano ludziom metryk i nie chowano ich w aktach. Imię „Kazimierz“ z dawien dawna chętnie dawano na Mazowszu.

¹⁾ Nizkie wieże na murach fortecy. ²⁾ Wioskach. ³⁾ Nieprzebyta.

Książę zbłąkał się w puszczy i zgłodniały przybył na wzgórze nad rzeką. Rzeczka ta—to Wisła, a na wzgórzu ponad nią ujrzał książę małą chatkę, z chróstu splecioną.

W chatce leżała biedna kobiecina, młoda jeszcze, ale bardzo wynędzniała. Suchą od głodu piersią karmiła dwoje bliźniąt, urodzonych przed samem przybyciem księcia.

A że książę był dobry, więc wziął w opiekę dziecińcy i do chrztu świętego na książęcych podał rękach.

Chłopca ochrzczono Warszem, a dziewczynę Sawą.

Około ubogiej chaty, zwabieni łaską książęcą, zaczęli się gromadzić coraz nowi mieszkańcy, a imiona chrześniaków księcia dały nazwę osadzie, którą Warszawą nazwano.

Według podania lepianka¹⁾, mieszkanie Warsza i Sawy, miała stać w tem miejscu, gdzie dziś u zbiegu rynku oraz ulic Piwnej i Dunaju wznosi się kamienica, numerem 31 oznaczona.

Z. Bukowiecka.

Według innego podania Warszawa była małą osadą, należącą do Warsza, czy Warsa, i stąd jej nazwa.

Kiedy Warszawa stała się stolicą Polski? Jakie miasto przedtem było stolicą? Co to znaczy stolica? Jakie pamiątki zostały z tych czasów w Warszawie? Jakie znasz nazwy osad ludzkich (od najmniejszej do największej)?

72. POWĄZKI.

Listopadowy ranek suchy, lecz pochmurny. Dzień jesienny zaczął się późno, miasto jeszcze ciche, jak senne, w jedną tylko stronę dają skupione gromadki, ciemno ubrane, poważne, milczące. Dzisiaj święto umarłych, każdy ma kogo odwiedzić na dalekim cmentarzu, każdy pragnie na grobie ukochanych złożyć cichy dowód pamięci.

Szeroką drogą do bramy cmentarza zbliża się dwoje dzieci: chłopiec i dziewczynka. On może mieć lat 14, ona o kilka lat młodsza. Każde z nich niesie wianek. Stanęli

¹⁾ Nędznie sklecona lub ulepiona z gliny chatka.

przed bramą i spojrzeli na siebie: tam przed nimi miasto umarłych, takie ciche i uroczyste w tej porannej godzinie. Wzdłuż szerokiej alei kamienne pomniki, otulone w krzewy i kwiaty, a nad nimi las cały drzew, cicho płaczących pożółkłymi liśćmi. Wiatr poruszył gałęzie, i sypią się, sypią resztki ich letniej szaty, szeleszczą na ścieżce, otulają nagie mogiły i szepczą coś cicho, niby westchnienia żalu czy modlitwy.

Rodzeństwo idzie zwolna, na prawo, na lewo, zatrzymuje się często, czyta nazwiska, napisy, a w ich oczach nieraz łza cicha zaświeci. Nie mają tu nikogo, grób ojca ich daleko, w obcej ziemi, a matki — też daleko, w cichej wiosce. Nie złożą dzisiaj na nich nawet wianka, więc przyszli tutaj szukać zaniedbanej, opuszczonej mogiły i pomodlić się przy niej, i pomyśleć o tych, którzy nas opuścili.

Jakaż tu wielka cisza i powaga! Tam dzieci modlą się przy grobie matki, tu matka płacze nad dziecka mogiłą, a wszyscy myślą o tych, których niema.

Niema, a jednak byli między nami, byli i zostawili po sobie wspomnienie, często wielki skarb serca.

Oto grób Stanisława Jachowicza, który oddał dzieciom całe życie swoje: kochał je, uczył, pisał dla nich i pracował, dla nich żył, o nich myślał. I pozostawił im szlachetne myśli, proste, piękne uczucia w wierszach i bajeczkach.

A tu spoczywa Paulina Krakowowa, której powieści wzruszają i uczą, budzą w młodzieży piękne myśli i uczucia.

Tam znów Julja Zaleska, której imię i książki zna pewno każde dziecko.

Przy głównej ulicy, niedaleko kościoła zwraca uwagę pomnik, przedstawiający chłopczyne wiejskiego, który kładzie na kamień wieniec. Na kamieniu tym jest napis: „Śpiwakowi Kaliny“. Tu spoczywa Ignacy Komorowski, kompozytor muzyki do pięknego wiersza Lenartowicza „Kalina“.

73. K A L I N A.

Rosła kalina z liściem¹⁾ szerokiem,
Nad modrym w gaju rosła potokiem;
Drobny deszcz piła, rosę zbierała,
W majowym słońcu liście kapała.
W lipcu korale miała czerwone,
W cienkie z gałązek włosy wplecione:
Tak się stroiła, jak dziewczę młode,
I jak w lustro, patrzyła w wodę.
Wiatr co dnia czesał jej długie włosy,
A oczy myła kropłami rosy.
U tej krynicy²⁾, u tej kaliny
Jasio fujarki kręcił z wierzbiny
I grywał sobie długo, żałośnie,
Gdzie nad krynicą kalina rośnie,
I śpiewał sobie: dana, oj, dana!
A głos po rosie leciał co rana.
Kalina liście zielone miała
I jak dziewczyna w gaju czekała.
A gdy jesienią w skrzynkę zieloną
Pod czarny krzyżyk Jasia złożono,
Biedna kalina snąć go kochała,
Bo wszystkie swoje liście rozwiała,
Żywe korale rzuciła w wodę,
Z żalu straciła swoją urodę.

T. Lenartowicz.

74. Podanie o djabie Borucie.

W mieście Łęczycy³⁾ do dziś oglądać można ruiny starego zamku, oblane wodami jeziora, wśród których — według podania — mieszka djabek Boruta, strzegąc skarbów, złożonych w lochach i podziemiach.

¹⁾ Od: liście, a (rodz. nij.). ²⁾ Źródło, zdroj. ³⁾ Miasto starożytne w Polsce.

W okolicy od dawna różne krążą o nim podania. Opowiadają np., że przybył raz na wesele do domu pewnego szlachcica i tak zaczął męczyć tańcem pannę młodą, iż pan młody, nie wiedząc o jego djabelskiej godności, wyzwał go na pojedynek i obciął mu dwa palce. Na obrazkach też często malują Borutę, siedzącego na pustej beczce i liżącego zakrwawioną łapę.

Inne podanie mówi, że w pobliżu zamku mieszkał szlachcic-zawadjaka, któremu każdy ustępował z drogi, tak lękał się jego szabli. Przewano go Siwym Borutą, rozumiejąc przez to, że rąbie się jak djabeł.

Siwy Boruta z nikogo sobie nic nie robił, a w końcu urósł w taką pychę, iż postanowił odwiedzić swego imiennika i zabrać mu trochę skarbów.

Powodowany chciwością i dumny ze swej siły, w nocy z latarką udał się do lochów. Długo błądził daremnie, na koniec znalazł drzwi żelazne, wyważył je i wszedł do skarbcza. Bryły złota leżały tu jedne na drugich, niby węgiel kamienny, a na jednej z nich siedział sam Boruta, w postaci sowy, z iskrzącymi oczyma.

Zmieszał się nieco szlachcic i pokłonił gospodarzowi.

— Czołem miłościwemu bratu!

Sowa skinęła głową, co uspokoiło siwego Borutę, i nie czekając dłużej, zaczął napychać sobie wszystkie kieszenie złotem. Spieszył się bardzo, ale kur¹⁾ już zapiał, gdy opuścił podziemie, a w tejże samej chwili drzwi żelazne zatrzasnęły się za nim z taką siłą i gwałtownością, że ucięły mu piętę.

Krwia brocząc i kulejąc, powrócił do domu, a choć przyniósł wielkie bogactwa, ale stracił zdrowie. Jeszcze chciał po dawnemu nie ustępować z drogi, lecz zginął w pierwszym pojedyнку.

¹⁾ Kogut.

W opustoszałym domu swego imiennika rozgospodarował się teraz Boruta, pilnując złota, zabranego z lochów, i przenosząc je po trochu do skarbcza.

Czy lubisz baśnie i podania o strachach, djablach i t. p.? Jakiego znasz baśnie, a jakie podania? Gdzie leży Łęczycza? Czy to bardzo stare miasto?

Co znaczy: kur? pojedynek? czołem? brocząc? loch?

75. PIES I PSZCZOŁY.

„Jest to cnota nad cnotami
Trzymać język za zębami“,
Stare powiada przysłowie;

Wszyscy jednakże smakujem w obmowie:
O cudzych grzechach rozmowa tak słodka!
Raz pewien wyżeł przebiegły i śmiały,

Wielki bazarz, wielki plotka,
Przytem lizus doskonały,
Proszony, czy nieproszony,
Latał na wszystkie strony,
Wiedział wszystkie zwady, sprzeczki,
Wszystkich skrytości dociekał,

Słowem, u wszystkich ogryzał kosteczki,
A potem wszystkich oszczeakał,
Zwaśnił¹⁾, zniechęcił i skłócił,
Cały porządek przewrócił.

Wtem raz szczególna ciekawość go wzięła,
Jakaś pokusa go bodzie

Zajrzeć do ula, który stał w ogrodzie.
Najprzód ostrożnie bierze się do dzieła:
Obchodzi, wacha, skrada się, przymyka²⁾;

Ale zaledwie nos wtyka,
Cała pszczoła gromada
Z straszliwym brzękiem wypada.

¹⁾ Pokłócił. ²⁾ Przysuwa.

Wyżej w nogi, lecz te w złości

Tak go cięty bez litości

To po brzuchu,

To po uchu,

To po pysku, to po grzbiecie,

Że już nie wiedział o świetle.

Wtem mu jedna w nozdrze wpadła

I tem dojadła!

Szarpie się, rzuca i wyje,

Nosem ziemię ryje,

Jęczy, na wszystkie strony

Wykręca się i wywija,

Wreszcie leci jak szalony

I łeb o kamień rozbija.

I dobrze mu tak było. Kto nadto ciekawy,

Kto nos swój niepotrzebnie w cudzę wtyka sprawy,

A wszystkich czerni¹⁾ szkaradnie,

Prędzej czy później w taką łapkę²⁾ wpadnie,

Że będzie wzdargą i pośmiechem świata.

Taka to wścibskich zapłata.

Franciszek Morawski.

„Nie kładź palca między drzwi“. Co znaczy: bajarz, lizus, łapka, pułapka, wścibski, waśnić, czernić?

76. Pies — złodziej.

Pewna gospodyni zajęta była praniem na podwórzu. Pomiedzy upraną bielizną, rozwieszoną na sznurze, była kolorowa koszula jej męża. Młody psiak domowy ściągnął ją na ziemię i podarł na kawałki. Kobieta powiedziała psu, że go pan obije. Gdy mąż przyszedł na obiad, pokazał psu szczątki koszuli i obić go porządnie. Pies uciekł, przeskakał bieliznę sąsiadów, porozwieszaną na sznurach, aż znalazł koszulę podobną do tej, którą podarł. Ściągnął ją, przyniósł do domu i położył u stóp pana, machając radośnie ogonem.

¹⁾ Obmawia, czarno maluje. ²⁾ Pułapkę.

77. SZARE KACZĄTKO.

I.

Wysiedziała raz kura kaczęta. Było ich dużo, bardzo dużo. Kaczęta były prześliczne, przynajmniej tak utrzymywała stara Andrzejowa, więc też wszyscy kiwali głowami i mówili, patrząc na nie:

— Prześliczne! A to się dopiero udały!

Miały więc kaczęta dzioby i nogi szerokie, a płaskie, co z dawien dawna jest modą u kaczek. Idąc, kołysały się trochę w prawo i w lewo. Nazywało się to u nich wielkim wdziękiem. Ubrane też były wspaniale: na nogach miały czerwone pończochy, a suknie z żółtego i miękkiego niby jedwab puchu.

Jedno tylko, najmniejsze, z szaremi piórkami, wyrodziło się od swoich braci i siostrzyczek.

One nie pragnęły nic więcej, tylko szczypać trawkę, tylko szukać robaczków w kałużach. A jej się zachciewało pływać po strumyku, co het, za ogrodem wił się, niby wąż srebrny, przez łąkę i gaje olszynowe. I z głowy jej tego zachcenia wybić nie było można.

— Chodźmy tam, na tę czystą wodę, na te fale przejrzyste — prosiła.

Rodzeństwo się oburzyło: — Cóż to? Czy źle ci tutaj?

— Dobrze, ale tam lepiej będzie.

— Skądże to możesz wiedzieć?

Kaczuska podniosła łebek do góry i zamyśliła się.

— Ja to czuję — szepnęła wreszcie.

Patrzano na nią z litością, lecz prosiła dopóty, aż mama-kura poszła raz z dziatwą nad strumyk. Weszły kaczki do wody i dalej pluskać się, i dalej pływać! Nawet nurkować odrazu się nauczyły.

Nadspodziewanie strumień bardzo się całej gromadce podobał, skoro jednak mama-kura zagdakała na odwrót,

kaczuszki czempredzej wyskoczyły z wody, strzepnęły piórkami i chętnie wróciły na podwórko.

Strumyk głęboki, przejrzysty, to prawda, ale gdzież równać mu się z kałużą? Tam tyle smacznych robaczków!

Jedna tylko kaczuszka oglądała się z żalem za siebie. Jejby się chciało płynąć het, daleko, w tę stronę, gdzie strumyk ginie, gdzie zielone z niebieskiem się styka... Tam to musi być pięknie! Więc spytała matki-kury:

— Co jest za temi wierzbami? za gaikiem olszowym? za łąką zieloną?

— Nie wiem, moje dziecko. Nigdy tak daleko od domu nie odchodzę, — może koniec świata. Zresztą nie mnie to nie obchodzi, mamy przecież swoje podwórko. No, chodźmy na śniadanie.

II.

— Kogoby tu zapytać? — myślała kaczuszka. — Ktoby mnie nauczył?

Wypadkiem podczas ulewnego deszczu poznała tłustą kaczkę z sąsiedniego podwórka. Była to gaduła, jakich mało, i zapytana, zaraz opowiadać zaczęła:

— Ho, ho! moja kochana, ani się domyślasz, jaka tam dalej woda. Ho, ho! Taka głęboka, taka wielka, że końca nie widać. W pogodę błyszczy jak smoła, którą gospodarz osie u wozów smaruje. A żebyś wiedziała, jakie tam kwiaty rosną, jakie rybki pluskają w wodzie!...

— Mówcie dalej, babuniu — prosiła ciekawa kaczuchna.

— Wiele tam zobaczyć można. Nad wodą stoi dom, ogromny i wysoki. Dwa koła wciąż się obracają, a woda się przez nie leje i szumi czy śpiewa bez końca. Ale co takiego — nie wiem.

Po tej rozmowie kaczuszka powtarzała sobie bez ustanku:

— Muszę to wszystko zobaczyć!

Kiedy nazajutrz po zwykłej przechadzce na strumyku mama-kura zagdała, aby dziatwa na brzeg wyszła, nasza kaczuszka udała, że nie słyszy.

— Tylko kawałeczek popłynę dalej i wrócę — myślała.

Przemyka się ostrożnie przy brzegu strumienia i płynie dalej. Minęła chaty sąsiednie i sad wiśniowy, minęła brzozy ze spuszczone ku ziemi gałęziami, aż wypłynęła na staw szeroki.

Stara kaczka mówiła prawdę.

Wszędzie, gdzie spojrzeć tylko, woda, woda, zda się bez końca. A błyszczy się i świeci, niby złoto. Na wodzie leżą liście szerokie i śliczne kwiaty białe. Po brzegach cicho, łagodnie szumią trzciny. Pewnie tym szumem, tą pieśnią kwiaty do snu kołyszą.

W dali coś ciemnieje. Czy to góra, czy dom taki wielki? Frr... fr... trajkoczą koła i głośno niby wołają: — Szare kaczątko, chodź do nas!

Kaczątko to słyszy, więc płynie, niepomne, że dom daleko, a ono samo, na obcych polach zbłąkane. Już jest blisko tej wody, co z takim szumem i świstem w głąb spada.

Naraz lęk dziwny ogarnia ptaszynę. Chciałaby wrócić do sióstr, do braci!... czuje, że zginąć musi. Jeszcze czas, jeszcze wrócić pora!

Mocuje się kaczątko z prądem, co je unosi, — może jeszcze powrócić.

— Ale nie. Niech zginę nawet, ale przedtem zobaczę, co widzieć pragnęłam, usłyszę i zrozumieć ten głos, co mię woła. I omyją mię z brudu kałuży te srebrzyste, pienne fale, i orzeźwią te kryształowe płyny.

Już nie waha się dłużej, zniknęła jej trwoga. Radosna i spokojna poddaje się szumiącej fali, a ona ją porywa, unosi — zalewa... Już nic nie widać.

Czy szara kaczuszka wypłynie?

J. Chrzęszczewska.

Z kim można szare kaczątko porównać? Co może oznaczać kałuża z robaczkami? A staw daleki i koło młyńskie? Czy zrobiłbyś tak, jak to kaczątko?

78. Cicha noc w górach.

Boże słonko do gospody ¹⁾

Zaszło, do snu złożyć skroń;

Mgły wilgotne wstają z wody,

Z łąk wieczorna wieje woń.

W wieńcu z gwiazd, w płaszczu z chmur,

Cicha noc schodzi z gór.

Zadumany, cichy, senny,

Otulony w srebrnej mgle,

Księżyc uścisk swój promienny

Rozmarzonej ziemi śle.

W błogich snów rajski kwiat

Cicha noc stroi świat.

R. Zmorski.

79. BIAŁY BEZ.

Dosyć daleko na przedmieściu stał niewielki dom dwupiętrowy z zielonemi żaluzjami ²⁾. Żelazne sztachety oddzielały dom od drogi.

O 8-ej rano wyszła z tego domu dziewczynka, czysto ubrana, z książką w ręku. Miała ona jasne włosy i niebieskie oczy. Oczy te uśmiechały się do wszystkiego wokoło. Ładnie też było na świecie w ten wiosenny dzień: tyle jasnej, świeżej zieloności, tyle kwiatów, jaskółki, latające w oddali. Dziewczynka szła lekko, wesoło. Przeszła kawałek pola, skręciła koło muru i... stanęła zachwycona: z za muru zwieszały się gałęzie białego bzu włoskiego! Takiego bzu i tyle gałęzi razem nie widziała jeszcze! Wskoczyła na duży kamień i wyciągnęła rękę, by jedną zerwać, ale wstrzymała się: bez nie do niej należał, cudzego rwać nie wolno...

Więc tylko popatrzy trochę... Wtem gałązki bzu spadają jej na głowę, na ramiona, na ręce. Takie piękne i tak dużo! Skąd to? Śmieje się, zbiera je i spogląda do góry. Wyssoko nad sztachetami zobaczyła głowę chłopczyka.

— Chciało ci się bzu, więc ci go rzuciłem.

— Jakiś ty dobry! Jakiś ty dobry! Czy ty tu mieszkasz?

— Tu mieszkam. Ja ciebie często widzę, jak idziesz do szkoły.

— A ty nie chodzisz do szkoły?

— Nie.

— I nie chcesz?

— Nie chcę.

— Dlaczego?

— Nie chcę... bo się ze mną nie bawią... bo się ze mnie śmieją... bo ja nie jestem taki, jak wszyscy...

I patrzył na nią dobreimi, smutnemi oczyma.

— Nie taki, jak wszyscy? Ja tego nie widzę. Pokaż się, proszę cię.

Chłopczyna staje wyżej, i dziewczynka widzi, że ma garb z przodu i z tyłu. Tak brzydko wygląda... A taki dobry... I żał go jej bardzo...

— Chodź do nas do szkoły. U nas nikt się śmiać nie będzie, i będziemy bawić się wesoło. Spytaj mamy, a jak będę wracała, to mi powiesz.

Gdy wracała, chłopczyk zobaczył ją zdaleka i zawołał:

— Mama pozwala! Pójdę do szkoły!

— Jak to dobrze! Teraz nie mam czasu, muszę się spieszyć, żeby nakryć do stołu, pomóżdź mamie. Po 1-szej wstąpię do ciebie, i pójdziemy razem. Do widzenia!

O pierwszej znów wyszła z domu dziewczynka. Zamykając furtkę, jeszcze mamusi całusa posłała i poszła przez pole prędko, biegła nawet, aż stanęła przy bramie, w której zobaczyła czekającego na nią garbuska... Ucieszyła się bardzo, wzięła go za rękę, i poszli, ale już szli powoli, by nie zmęczyć chorego przyjaciela.

¹⁾ Dom gościny, zajazd. ²⁾ Zasłony u okien.

W szkole dzieci wyglądały przyjscia chłopczyka, zaraz wciągnęły go do zabawy, i nikt nie śmiał się z biednego, dobrego garbuska.

Z. Szymanowska.

Kaleństwo zasługuje na współczucie i opiekę. Jak myślisz, czy kaleka może być szczęśliwy? Zastanów się nad tem dobrze. Wyobraź sobie, że sam jesteś kaleką. Co sądzisz o tym, który wyśmiewa się z kaleki? Jakiego obowiązki ma silny względem słabego?

80. Skowronek i dzwonek.

Najrańszy śpiewak — to nasz skowronek,
A dnia zwiastunem jest mały dzwonek...
Kiedy śpią jeszcze dzwony stolicy,
Ptaszek pieśń nuci Boga-Rodzicy.
I mała rybka budzi się w zdroju,
I w kwietne łąki pospiesza pszczołka,
I wstają ludzie w pracy, w pokoju.
A dzwonek mały z wieży kościołka
Gdy Pozdrowienie Anielskie dzwoni,
To niby łezki po rosie roni¹⁾...
Kogo Bóg w łasce tak pięknie stworzył,
Że równo z ptaszkiem zrozumie ranek,
A równo z dzwonkiem wita dzień Boży,
Temu się życie złoży jak wianek:
Bo mu i ranek nie będzie marny,
Ni młodość jego będzie daremną,
I dzionek dalszy nie będzie skwarny,
I wieczór piękny, i noc nie ciemną;
Bo pojmie ziemię w śpiewie skowronka,
A głosy nieba — w odgłosie dzwonka.

W. Pol.

„Kto rano wstaje, temu Pan Bóg daje“.
„Kto się nie leni, temu się zieleni“.

¹⁾ Upuszcza.

81. Zwycięstwo nad sobą.

Największem utrapieniem nauczycielek na pensji były Tola i Lunia. Pierwsza była grymaśna, a druga samowolna, psotnica i egoistka¹⁾. I oto obie dziewczynki pod wpływem rad serdecznych nowej towarzyszki postanowiły się poprawić. Od jutra miały zacząć zwalczać swoje wady, — przezwalały siebie żołnierzami, a wady — nieprzyjaciółmi.

I od samego rana zaczęła się walka. Tola miała zwichniętą nogę i musiała leżeć w łóżku, a był to właśnie dzień imienin jednej z koleżanek, i wszystkie miały jechać na majówkę. Kiedy nauczycielka, panna Marja, weszła naza-jutrz do pokoju Toli, zastała ją zalaną łzami.

— Czy cię tak noga boli? — spytała troskliwie.

— Nie noga, tylko majówka! Tak się cieszyłam, że będę na majówce!

— Bardzo mi cię żal, moja duszko — mówiła nauczycielka — ale przykrości znieść musimy cierpliwie, a płacz nie pomoże. Przyniosłam ci na śniadanie wyborowego mleka i świeżutką bułeczkę.

Ale Tola odwróciła się do ściany i nie chciała nawet pa-trzeć na śniadanie. Wtem weszła Lunia w różowej sukience i jasnym kapeluszu. Na ten widok chora nowym wybuchnęła płaczem. Lunia się zasmuciła.

— Przywiozę ci z majówki wszystkich przysmaczków — rzekła — i duży bukiet z polnych kwiatów.

— Nie chcę kwiatów, ani przysmaków, chcę być na majówce! — desperowała²⁾ Tola.

Luni błysnęło coś w oczach.

— Tolu — szepnęła — a nasze postanowienie!

— Jakiego postanowienie?

— Mamy walczyć z nieprzyjacielem. Strzeż się, masz go przed sobą.

¹⁾ Samolub. ²⁾ Narzekała, rozpaczała.

- Więc cóż pocznę? — łkała Tola. — Nie mam siły.
 — Chciej tylko bardzo mocno.
 — O mój Boże! — szepnęło biedne dziecko.

W tej chwili dziwny rumieniec oblał twarzyczkę Luni; przymknęła oczy i widocznie walczyła z sobą. Staczała ciężką walkę: chciała być dobrą dla Toli i wyrzec się majówki, ale to tak trudno! tak trudno!

— Luniu! Luniu! — zawołała Zosia, wbiegając — odjeżdżamy!

Lunia spojrzała na nią.

— Ja zostanę — rzekła.

— Zostaniesz?

— Zostanę z Tolą.

— Ależ bez ciebie nie będzie zabawy!

— O, będzie doskonała! Chciałabym być z wami, bardzobym chciała, ale zostanę z Tolą.

— Skądże ci to przyszło do głowy?

— Nie chcę być dłużej egoistką.

— Ach, Luniu — szepnęła Tola — nie zostawaj dla mnie!

Ale oczy jej się śmiały, że będzie miała towarzystwo.

— Luniu! Zosiu! — rozległy się głosy za drzwiami.

Zosia wybiegła, a Lunia usiadła obok Toli. — Będziemy się bawiły wybornie — mówiła. — Ze wszystkich tych poduszek porobię dziewczynki, będziemy niby na majówce, ta kanapa będzie omnibusem¹⁾, obiad będziemy jadły na podłodze — niby to w lesie na majówce.

— Ach, jak to będzie ślicznie! — zawołała Tola.

Wkrótce w pokoju słychać było śmiech wesoły. Poduszki, poubierane w spódniczki i kapelusze, siedziały na krzeselkach i wyglądały tak zabawnie, że bez śmiechu nie można było patrzeć na nie.

— Szkoda, że nie mają oczu, ust i nosa! — wołała Tola.

— Zaraz im zrobię twarze — odpowiedziała Lunia — tylko przyniosę atramentu.

— Ach! — klasnęła Tola w ręce — tylko... co powie panna Marja? Atrament się nie wypierze.

— To prawda — rzekła Lunia, która dawniej nie zważała na taką drobnostkę. — Nie, nie zrobimy tego.

Nie zrobiły i bawiły się wybornie. Gdy wróciły koleżanki, zastały je rozbawione, w najweselszych humorach. Przywiozły im ciastek, owoców i kwiatów, opowiadały o majówce, ale Lunia i Tola już im nie zazdrościły: były szczęśliwe i dumne z pierwszego zwycięstwa nad sobą.

Z angielskiego.

Siebie samego zwyciężyć — największe zwycięstwo.

Wynaleźć wyrazy podobnego znaczenia co: utraipenie, pokonać, nieprzyjaciół.

82. NIEDZIELA.

Spuściła się z góry

Święta niedziela,

Z za różowej chmury

Słonko wystrzela¹⁾.

Wiatr kołysze kłoski

Zielonej niwy,

Lata wkoło wioski

Anioł życzliwy,

I łąkom, gdzie kwiatki,

Wieści udziela:

— Radujcie się, dziatki,

Dzisiaj niedziela!

Trawka pełna rosy

Czeka na stada,

Ryczy w niebogłosy

Obórka rada.

Sute, dzięki Bogu,

Pastwisk obszary,

Trąbi w trąbkę z rogu

Pastuszek stary.

Za wsią sterczy z drzewa

Krzyż Zbawiciela,

Ptaszek na nim śpiewa:

— Dzisiaj niedziela!

L. Kondratowicz.

Na jaką pamiątkę obchodzimy niedzielę? Jaki obchód niedzieli byłby naprawdę piękny?

¹⁾ Rzucając promienie, podnosi się w górę.

¹⁾ Rodzaj zamkniętego pojazdu na wiele osób.

83. ANUSIA.

Było to w piątek. Mała Anusia uczyła się katechizmu, a ciocia jej tłumaczyła, co to znaczy: prorocy. — Byli to ludzie — mówiła — którzy wiedzieli, co będzie za sto, za dwieście lat i dalej jeszcze. Ale wiedzieli to jedynie przez Boga, bo człowiek sam z siebie nic nie wie, co się stanie. Wieszże ty, co będzie jutro?

— Wiem! — zawołała Anusia.

— Cóż takiego? — spytała ciotka zadziwiona.

— Sobota.

Wypisy Rymarkiewicza.

84. KOLEDZY.

Antoś, Ludwik i Czesławek uczyli się razem i żyli w wielkiej zgodzie i przyjaźni. Lekcji nigdy nie opuszczali.

Razu jednego nauczyciel ze zdziwieniem tylko dwóch chłopców zastał na lekcji, Antosia i Czesławka.

— Cóż się stało Ludwikowi? — zapytał.

Obaj chłopcy mieli bardzo poważne miny.

— Upadł wczoraj i zwichnął nogę — odpowiedział Antoś.

— Gdzie? Jakim sposobem?

— Goniliśmy się na podwórzu u Czesławka. Ludwiś widać źle stąpnął i już podnieść się nie mógł. Doktor powiedział, że poleży z tydzień.

— Biedny chłopiec! — rzekł nauczyciel. — Trzeba będzie przenieść lekcje do niego, bo straciłby wiele.

Chłopcy spojrzeli na nauczyciela z wdzięcznością.

Rozpoczęła się nauka. Antoś odpowiadał jak zwykle wybornie, ale Czesławek jękał się, zacinał, czerwieniał, widoczne było, że niewiele umie. Nauczyciel znów się zdziwił. Czesławek spuścił oczy, ale milczał.

Zaczęła się arytmetyka. Tym razem Antoś dość trudne zadanie rozwiązał doskonale i z radością podał kajet nauczycielowi. Czesławek wyjął swój także, lecz była w nim tylko zaczęta i przekreślona robota.

— Co się to stało? — spytał nauczyciel. — Nie jesteś dziś przygotowany do lekcji. O lenistwo cię nie posądzam, lecz powiedz mi, dlaczego nic nie zrobiłeś i nie umiesz?

Czesławek bał się rozplakać, więc milczał, Antoś jednak odpowiedział za niego:

— On, proszę pana, odwiózł Ludwisia do domu, a że nikogo prócz służącej nie było, został przy nim, okładał mu nogę zimną wodą, i tak zeszło do wieczora. Potem głowa go rozbolała, i nie mógł się już uczyć, ani zrobić zadania.

— Skąd wiesz o tem?

— Sam opowiadał mi dzisiaj.

— A ty byłeś przy tym wypadku?

— Byłem, proszę pana.

— I nie odwiozłeś Ludwisia?

— Czesławek się nim zajął, więc nie byłem potrzebny, a obawiałem się, że potem nie zdążę odrobić lekcji.

— Bardzo byłeś przezorny¹⁾, ale wiesz co, Antosiu? — postąpiłeś jak samolub. Koledze powierzyłeś cały trud opieki, a sam myślałeś tylko o sobie.

Antoś się zarumienił, a w jego spojrzeniu odmalował się przestach.

— Czesławek nie umie lekcji — ciągnął dalej nauczyciel — ale nie przez lenistwo, tylko przez dobroć serca, przez to, że spełnił obowiązek względem towarzysza, który jego pomocy potrzebował. Podaj mi rękę, Czesławku, jesteś zacnym chłopcem, a to więcej znaczy, niż pilność i nauka.

Czesławek, uszczęśliwiony, podał rękę nauczycielowi, który uściśnął ją serdecznie.

¹⁾ Ostrożny, pamiętający o wszystkim, przewidujący.

— Proszę pana, i Antos zrobiłby to samo — odezwał się nieśmiało.

— Nie wątpię o tem wcale. Gdyby ciebie nie było, Antos zaopiekowałby się Ludwikiem; był jednak zadowolony, że go w tem wyręczyłeś, i nie pragnął ci dopomóc. Czy mam słuszność, Antosiu?

— Tak, proszę pana.

— Mnie tylko o to chodzi, żebyście zrozumieli, że pilność jest wielkim przymiotem, ale dobroć daleko większym. Że więcej wart człowiek zacny i szlachetny, niż mądry i uczony, a samolub, — i pragnę bardzo, żebyście o tem pamiętali.

Chłopcy przyrzekli szczerze i dotrzymali słowa, bo zrozumieli, że uczonych ludzi należy szanować, ale kochamy tylko dobrych i szlachetnych.

Czy człowiek niewykształcony nie może być dobrym i szlachetnym? Czy koniecznie trzeba być wykształconym, żeby być dobrym i szlachetnym? Czy naukę i wykształcenie cenić należy? Czy może być człowiek uczony złym? Więc nauka bez szlachetności czy daje prawo do szacunku? — Wyłumacz przysłówie: „Czego się Jaś nie nauczy, Jan nie będzie umiał“.

85. Gil i Słowik.

Pan gil, z słowikiem wszedłszy w przymierze¹⁾,
W znajome lasy gdzieś tam wędrował;

Pierwszy miał cudne na podziw pierze,
A drugi głosem wszystkich celował²⁾.

Ledwo co weszli do boru oba,
I spojrzeć nie chce nikt na słowika;

Wszyscy na gila: „To mi osoba!
A ten być nie wart za pacholika“.

Lecz kiedy słowik zaśpiewał czysto,
I wszyscy dali dank³⁾ jego pieniu⁴⁾,

¹⁾ Ugoda z kim. ²⁾ Przewyższał. ³⁾ Dać dank, wyrażenie dawne, znaczyło: przyznać nagrodę lub pierwszeństwo. ⁴⁾ Śpiew.

Zgasiłeś, jak klecha¹⁾ przed organistą,
Mój panie gilu w krasnem odzieniu.

Małoż jest takich gilów na świecie,
Których bez zasług odyma pycha?

Wielcy z pozoru tylko, a przecie
Habit²⁾, jak mówią, nie czyni mnicha.

Adam Naruszewicz.

Odmień przez przypadki: klecha, organista. Co to znaczy: „Habit nie czyni mnicha“.

86. S Z E W C Z A K.

W szkółce przygotowawczej było aż dwudziestu chłopców. Byli pomiędzy nimi biedni i bogaci, synowie ludzi prostych i bardzo uczonych, lecz na to nikt nie zważał: tu, w szkółce, byli tylko uczniowie — pilni, leniwi, grzeczni i niegrzeczni, ale wszyscy równi koledzy, a ten pierwszy, kto pilniejszy i lepszy od innych.

Tylko jeden Marcelek tego nie rozumiał: zaraz prosił nauczycielki, żeby go posadziła przy innym chłopczyku, bo jego sąsiad ma brzydkie ubranie.

— Czy brudne? — zapytała p. Marta.

— Nie, ale takie nieładne.

Wszyscy się roześmieli, a pani Marta rzekła:

— U krawca w sklepie ładne ubranie ma największą wartość, ale u nas w szkole nic nie znaczy; — ten więcej wart, kto się lepiej uczy i lepiej sprawuje, choćby miał brzydkie ubranie.

I pozostał Marcelek przy Antosiu, choć się na niego boczył. Prędko jednak poznał, że naprawdę dobrze siedzieć przy Antosiu: on i każde zadanie najlepiej rozumie, i wszystkie nazwy wybornie pamięta, i dyktando tak pisze, jak nikt w klasie.

¹⁾ Klecha — posługacz kościelny. ²⁾ Suknia zakonnika.

Więc zapomniał o ubraniu, przyzwyczaił się do Antosia, potrzebował go często, bo mu w niejednym pomógł przy nauce, i polubił go wreszcie, choć sam nie wiedział o tem.

Raz na lekcji jeden z chłopców powiedział, że jest synem adwokata, ale nie umiał dobrze wytłumaczyć, co ten wyraz znaczy, p. Marta dopiero wyjaśniła, że adwokat przed sądem broni oskarżonych ludzi.

Każdy uczeń mówił teraz, czem jest jego ojciec: więc — jednego doktorem, a drugiego krawcem, tego kupcem, tego stolarzem, — Antoś był synem szewca.

Szewca? — Marcelek aż się odsunął od niego. Więc on przy „szewczaku“ siedział cały miesiąc i nic o tem nie wiedział? Coby na to bona¹⁾ francuska powiedziała?

— Proszę pani — rzekł głośno — ja nie mogę siedzieć przy *szewczaku*. Bona mi nie pozwoli, bo mogę się zepsuć i nauczyć brzydkich wyrazów, proszę pani.

II. Wszyscy koledzy wybuchnęli śmiechem i nie mogli się uspokoić, a niektórzy z oburzeniem zaczęli powstać na Marcelka, ujmując się za Antosiem.

— Uciszcie się, dzieci — rzekła p. Marta. — Marcelek jest bardzo niemądry, ale to nie jego wina: matki nie ma, ojciec najczęściej w podróży, zająć się nim nie może. To, co powiedział, jest bardzo śmieszne: boi się zepsuć i nauczyć brzydkich rzeczy, a od niego samego mogliby koledzy nauczyć się rzeczy bardzo złych i brzydkich: pychy i zarozumiałości. Więc dlatego, że obraził towarzyszy, nie będzie przy żadnym siedział, dopóki się nie poprawi i nie poprosi ich o przebaczenie.

To powiedziawszy, postawiła krzesło na boku przy stole i posadziła tam Marcelka.

Z początku taka zmiana bardzo mu się podobała, lecz przekonał się prędko, że źle na niej wyszedł; nie miał po-

¹⁾ Opiekunka.

mocy zdolnego Antosia, i wszystko szło mu gorzej, — w wolnych chwilach koledzy odsuwali się od niego i mówili, że nie chcą, aby się od nich zepsuł.

Po trzech dniach miał już dosyć odłączenia: dostał więcej złych stopni, niż przez cały miesiąc, i nudził się okropnie, a na lekcjach nie uważał.

— Zepsułeś się, Marcelku, choć nie siedzisz przy Antosiu — powiedziała p. Marta.

Łzy stanęły mu w oczach, bo to była prawda: zepsuł się w nauce i w sprawowaniu. Zrozumiał, jak był nierozsądny, więc rzekł prawie z płaczem:

— Niech mi pani przebaczy i pozwoli wrócić na dawne miejsce.

— Teraz nie wiem, czy Antoś zechce siedzieć koło ciebie, bo on naprawdę może się od ciebie zepsuć.

— O, bardzo proszę o to! — zawołał Antoś — ja się wcale nie gniewam na Marcelka, on jest dobry, choć czasem niemądry. Żal mi go, bo nie ma matki, i polubiłem go bardzo.

— Któż z was lepszy i mądrzejszy? — zapytała Marcelka p. Marta.

— On — szepnął chłopczyk ze skrucą¹⁾.

— Ten szewczak?

Kto zasługuje na szacunek? Wytłumacz przysłówie: „Znać dobrze po mowie, co się dzieje w głowie“.

87. Talar i czerwony złoty²⁾.

Talar, zwierchnią postacią swoją okazały,
Gardził czerwonym złotym dlatego, że mały.

Gdy przyszło do zmienienia, nie patrzano miary:
Złoty pieniądz, choć mały, wart był trzy talary.

I. Krasicki.

Czerwony złoty, czyli dukat, moneta złota, miał 18 złotych; talar — pieniądz srebrny — 6 złotych.

¹⁾ Żal za winy. ²⁾ Dukąt.

88. ANDZIA.

I.

Do zakładu naukowego w Anglii przybyła dziesięcioletnia dziewczynka i, wyskoczywszy z bryczki, wpadła jak wicher do sieni, wołając:

— Maniu! Maniu, gdzie jesteś?

Ukazała się Mania, lecz na widok Andzi zrobiła nieco zaleknioną minkę, zwłaszcza, gdy ta, skacząc bezustannie, zaczęła trzepać prędko:

— Ja tu zostanę z wami! Tatusz już pozwolił. Jutro przysłał moje rzeczy, bo trzeba wszystko prać i naprawiać, a ciocia dziś jechała, więc zabrała mię z sobą. Czy nie cięszysz się z tego?

— Owszem — odparła Mania — a przywiozłaś dużą lalkę?

— Musi być gdzieś, bo ją zabrałam — rzekła Andzia zbyt obojętnie, jak na matkę. — Zrobiłam w drodze pierścienek z włosa, wyciągniętego koniowi z ogona, — chcesz go? — ciągnęła dalej, podając koleżance ten zadatek przyjaźni.

Mania, ujęta pięknym podarunkiem, uprzejmie zapraszała gościa do pokoju.

— Chciałabym zaraz pójść do chłopców i do szopy — rzekła Andzia porywczo i natychmiast puściła się pędem, wywijając tak kapeluszem, że wkrótce tylko wstażka została jej w ręku, a słomianą osłonę głowy nieszczęsne losy poniosły gdzieś pomiędzy krzaki.

— Hura! Andzia! — krzyknęli chłopcy, gdy wpadła pomiędzy nich, wołając:

— Już tu zostanę!

— Hura! — wykrzyknął Tomek, siedzący na płocie.

Usposobienia ich były pokrewne, przewidywał też mnóstwo znakomitych figlów.

— Będę z wami grała w piłkę, bo ja umiem! — zawołała Andzia z zapalem.

— Nie gramy teraz, zresztą nasza strona i bez ciebie dawała sobie radę.

— Mogę was jednak zwyciężyć w bieganiu — zapewniła znów Andzia, dumna z tej umiejętności.

— Czy ona potrafi biegać? — odezwał się Alfred.

— Bardzo dobrze, jak na dziewczynę — odparł Józio, spoglądając na nią z góry.

— Chcesz spróbować? — spytała Andzia wyzywająco, gdyż pilno jej było popisać się swoją zręcznością.

— Nie, teraz za gorąco — odezwał się Tomek, ocieźniale opierając głowę o płot.

— Co się dzieje z Grubasem? — spytała znów Andzia, bystro rozglądając się na wszystkie strony.

— Uderzył się w rękę piłką, więc beczy według zwyczaju — odparł wzgardliwie Julek.

— Ja tam nigdy nie beczę, choćbym się nie wiem jak skaleczyła — zapewniała Andzia uroczyście. — Tylko dzieci mażą się o byle głupstwo.

— Jednakże doprowadziłbym cię do płaczu w dwie minuty — odezwał się z widoczną niechęcią Grubas, który właśnie nadszedł.

— Spróbuj!

— Idź urwać tę pokrzywę.

Andzia z męstwem spełniła polecenie i trzymała z uśmiechem złośliwe ziele w rączce, choć parzyło ją okropnie.

— Brawo! — zawołali chłopcy, uznając tę odwagę.

Ale Grubas postanowił postawić na swoim i zmusić ją do płaczu, rzekł więc lekceważąco:

— Jesteś przyzwyczajona dotykać ręką wszystkiego, więc to cię nic nie boli, ale uderzno głową o stodołę, tylko z całej siły! Zobaczymy wtedy.

— Nie rób tego! — zawołał Alfred.

Lecz Andzia już się rozpędziła i, biegnąc prosto ku stodołę, tak uderzyła głową, że upadła na wznak. Odurzona, lecz niezwalczona, podniosła się natychmiast i rzekła pewnym głosem, choć z pobiadłą twarzą:

— Boli mię, ale nie płaczę.

— Zrób to jeszcze raz — rzekł Grubas, i Andzia byłaby go zadowolila, lecz Alfred ją powstrzymał. Tomek zaś jak kogut rzucił się na Grubasa.

— Daj jej pokój, bo cię przerzucę przez stodołę! — krzyknął i szarpnął nim tak gwałtownie, że przez chwilę biedak nie wiedział, co się z nim dzieje.

— Ona sama tego chciała — zaczął się tłumaczyć płaczliwie.

— Wstyd tak dręczyć dziewczynę i mniejszą od ciebie.

— Wcale nie jestem mniejsza, bom starsza od Mani! — żywo zaprzeczyła Andzia — a na ból nie zważam.

— Porzućcie piłki i naradźcie się, co robić — odezwał się Emil, dowodzący zazwyczaj całym gronem ¹⁾.

II.

Wkrótce przez dobroć serca Andzia stała się ulubienicą całego domu. Mania przestała narzekać na nudy, bo jej obmyślała doskonałe zabawy, z Tomkiem wyścigała się w psotach i rozweselała całą szkołę. Pewnego razu pogrzebała swą dużą lalkę i dopiero po upływie tygodnia przypomniawszy sobie o tem, wydobyła ją nawpół zbutwiałą od wilgoci. Mania zaczęła rozpaczać, ona zaś poniosła lalkę do malarza, który tam właśnie miał zajęcie, kazała ją pomalo-

¹⁾ Gromadka.

wać czerwoną farbą, dorobić jej świecące oczki, potem ubrała ją w pióra i w szatę ¹⁾ z ponsowej flaneli, uzbroiła w ołowianą siekierkę roboty Antosia, i jako wódz indyjski lalka ścinała głowy dawnym koleżankom.

Innego dnia oddała trzewiczki żebracze, myśląc, że jej pozwolą chodzić boso. Ale się przekonała, że niełatwo łączyć miłosierdzie z wygodą, przytem zakazano jej rozdać rzeczy bez pozwolenia starszych. To znowu zrobiła chłopcom z kawałka gontu ²⁾ łódź z dwoma wielkimi żaglami, które zmoczyła w nafcie, a następnie o zmroku zapaliła i puściła łódź na wodę. Raz zaprzęgała indyka do słomianego wózka, i musiał gniewnym krokiem oblecieć dom dokoła. Jednego dnia darowała naszyjnik koralowy czterem nieszczęśliwym kociętom, udreżonym przez chłopców, i kilka dni pielęgnowała je z macierzyńską troskliwością, goiła rany goldkremem ³⁾, poiła łyżeczką lalczyną i opłakiwała, gdy żyć przestały, póki jej nie pocieszył najpiękniejszy z żółwi Adasia.

Jeździła na wszystkich zwierzętach, jakie się w szkole znajdowały, od rosnącego konia, aż do srożącej się świni, od której z trudnością obroniono ją dnia pewnego. Co tylko chłopcom przyszło do głowy, wykonywała natychmiast, chociażby to była rzecz niebezpieczna, oni zaś bez ustanku wystawiali na próbę jej odwagę i dobroć.

Współzawodniczyła też z nimi w nauce, gdyż miała równie bystrą pamięć, jak zwinne nóżki i gadatliwy języzek. Chłopcy musieli się dobrze pilnować, żeby ich nie wyprzedziła, widząc, że niektóre rzeczy umie równie dobrze, albo nawet lepiej. W zakładzie tym nie dawano nagród, lecz pochwała nauczyciela uczyła zamiłowania obowiązku i pełnienia go z tą ufnością, że to dla wspólnego dobra.

¹⁾ Suknia, strój.

²⁾ Cienkie deszczułki do pokrywania dachu.

³⁾ Maść śmietankowa.

Andzia wkrótce zaczęła się przejmować nowem otoczeniem, polubiła je nawet, a młoda jej dusza, jak kwiat pod wpływem słońca, zaczęła się budzić do życia, i niby świetne barwy, rozwijały się w niej najszlachetniejsze uczucia i myśli.

Z angielskiego.

Wylicz przymioty Andzi i cechy jej charakteru. Wymień cechy charakteru twego brata, siostry, kolegi.

89. Furman i motyl.

Ugrzązł wóz, ani ruszyć już się nie mógł w błocie;
Ustał furman, ustały i konie w robocie.
Motyl, który na wozie siedział wtenczas prawie,
Sądząc, że był ciężarem w takowej przeprawie,
Pomyślał sobie: — Litość nie jest złym nałogiem, —
Zleciał i rzekł do chłopca: — Jedźże z Panem Bogiem!

I. Krasicki.

Czy każdy jest taki, jak o sobie myśli? Jaki był ten motyl?

90. Mój przyjaciel Garonne.

(Z pamiętnika ucznia).

Tylko przez te dwa dni świąt nie byłem w szkole, a już mi tęskno do mego drogiego Garonna! Im bliżej go poznaję, tem więcej go kocham; a nie tylko ja, ale wszyscy koledzy, wyjawszы tych dryblasów, co nad innymi chcą przewodzić, a on im nie pozwala. Więc niech tylko jaki duży rękę na małego podniesie, to mały zaraz krzyczy: — Garonne! Garonne! — a duży umyka.

Ojciec Garonna jest maszynistą na kolei. On sam, biedak, późno zaczął chodzić do szkoły, bo przez parę lat był chory. Najwyższy jest i najmocniejszy z całej naszej klasy. Ławkę jak nic podniesie jedną ręką. Zawsze ma w kieszeni partykę chleba, pojada raz wraz, ale jest bardzo dobry: o co

go tylko poprosić, o ołówek, o gumę, o papier, o scyzoryk, wszystko zaraz pożyczę, albo da. W szkole nie śmieje się, nie gada, tylko siedzi nieruchomo w ławce, trochę dla niego przyciasnej, z pochylonemi plecami i głową wtuloną w ramiona: a gdy na niego spojrzę, uśmiecha się do mnie, mrużąc oczy, właśnie jakby chciał powiedzieć: — „No, i cóż, Henryku, będziemy przyjaciółmi?“ Śmiać mi się chce, bo na swój duży wzrost ma wszystko to za krótkie, to za wąskie: kurtkę, majtki, mankiety, kapelusz ledwo na czubku głowy, grube buty, a krawat ściśnięty jak postronek. Drogi Garonne! Dosyć raz na niego spojrzeć, żeby go pokochać.

Wszyscy mali pchają się do jego ławki, żeby być jak najbliżej. W arytmetyce mocny. Nosi książki ściągnięte czerwonym rzemykiem. Ma nóż z rękojeścią z perłowej masy, znaleziony przeszłego roku na placu mustry; skaleczył się raz tym nożem w palec aż do kości prawie, a nikt o tem nie wiedział w szkole, — a i w domu ani pisał, żeby nie martwić rodziców. Pozwala z siebie nieraz żartować i nikomu żartów za złe nie bierze; ale jak mu kto powie: „nieprawda“, na to, co on mówi, że prawda, to mu aż skry z oczu lecą, a pięści tak ściska, że mało nie połamie ławki. W sobotę rano dał dziesiątkę jednemu z pierwszej klasy, bo ją malcowi ktoś zabrał, i dzieciak beczał na ulicy, że nie ma za co kupić kajetu. Od trzech dni ślęczy nad listem, którego już jest osiem kartek, i który ślicznie przyozdobił piórkiem na imieniny matki. Ta matka często przychodzi po niego, tak samo jest duża i tęga, jak on, i bardzo miła. Nauczyciel patrzy na to ślęczenie, a przechodząc koło jego ławki, klepie go po karku, jak dobrego, spokojnego malca.

Bardzo go lubię i kocham, i rad jestem, kiedy uściskę w swojej jego wielką rękę, która się wydaje ręką dorosłego człowieka. Przysiągłbym, że naraziłby życie dla ocalenia

kolegi, żeby się dał zabić za niego: jasno to widać w jego oczach; a choć raz wraz coś mruczy swoim grubym głosem, znać, że głos ten idzie z szlachetnego serca.

E. Amicis.

Dlaczego Garonne tak się oburza, gdy mu powiedzieć: nieprawda? Co znaczy *przyciasny* a *zaciasny*? Dodaj *przy* i *za* do przymiotników: długi, krótki, cienki, ostry, tępy, drogi, głupi, kwaśny. Zrób rozkład i opowiedz.

91. Lampa i uczony.

Na stoliku lampa stała,
Uczonemu przyświecała.

— Patrzej — mówiła smutnie — jakem nieszczęśliwa:
Gdy innym niosę pomoc, mnie życia ubywa.
— Pociesz się — rzekł uczony — tą myślą wspaniała,
Żeś żyła użytecznie i umierasz z chwałą.

St. Jachowicz.

92. MIŁOŚĆ PRAWDY.

Przez całe trzy miesiące było w szkole szycie sukienek i bielizny dla ubogich dzieci, które mają wyjechać na kolonje letnie. A teraz jest wystawa. W dużej sali ustawiono stoły pod ścianami, a na stołach każda dziewczynka złożyła cały owoc swojej pracy i oznaczyła go swoim nazwiskiem. Nauczyciele, nauczycielki i rodzice dziewczynek z zajęciem oglądali te roboty, podziwiając pilność niektórych uczennic i widoczne niedbalstwo innych.

Wszyscy zgodzili się wreszcie, że Stefcia najwięcej z koleżanek okazała chęci i najwięcej przygotowała ubrania. W jej paczce były dwie koszulki, sukienka i fartuszek. Doreczając jej kwartalne świadectwo, przełożona ucałowała dziewczynkę i pochwaliła za gorliwość.

Stefcia się zaczerwieniła.

— Kiedy ja, proszę pani, nie wszystko uszyłam sama — odezwała się cicho — mama pomagała mi czasem. Przy sukience było trochę szycia na maszynie, tego już sama nie robiłam. Dziurek też nie obrabiałam, bo nie umiem.

Jak wam się podoba Stefcia? Co jest piękniejsze: prawda, czy kłamstwo? Kłamstwo brudzi duszę człowieka. Czy możemy szanować kłamców?

Wytlumacz następujące przysłowie: „Prawda wychodzi na wierzch, jak oliwa“. „Wszystko minie, prawda nie zginie“. Co to znaczy: owoc pracy?

93. KTO SILNIEJSZY?

— Felek znów się mociuje w ławce? — rzekł nauczyciel surowym głosem, wchodząc do klasy, gdzie wysoki chłopiec, stojąc w ławce, krzyczał coś głośno i wywijał wkoło pięściami.

Uczniowie rozproszyli się na wszystkie strony, ale jeden zasłaniał oko, drugi ocierał krew, płynącą z nosa, trzeci miał guza na czole.

— Dlaczego się biliście? — spytał nauczyciel.

— To ten rozbójnik Felek, proszę pana — odezwał się któryś z małych.

— *Skarżypyta! Skarżypyta!* — rozległy się głosy.

Mały chłopiec z podbitego okiem zaczął płakać.

— Dlaczego się biłeś, Felku? — powtórzył znowu nauczyciel.

Felek wstał z dobrą miną. Był najwyższy w klasie i, rozumie się, najsilniejszy, więc sobie wyobrażał, że mu wszystko wolno.

— Wyzwałem całą klasę sam jeden — rzekł dumnie.

— Nikt wam nie broni bić się i mocować uczciwie na podwórzu — odpowiedział nauczyciel — ale ci tyle razy po-

wtarzałem, że tu w klasie nie wolno. Czy już zapomniałeś, jak wybiłeś trzy zęby Henrykowi, popchnąwszy go na ławkę? Wstydzilibys się nadużywać swojej siły względem młodszych. Zresztą zapowiedziano ci raz, że nie wolno. Byłbyś już za Henryka wydalony, gdyby nie prośby twej matki, lecz teraz ci zaręczam, że jeżeli raz jeszcze skrzywdzisz którego malca, jeżeli raz jeszcze zobaczę mocowanie się w ławkach, sam poproszę o wydalenie cię ze szkoły. Marcinku — dodał, zwracając się do małego chłopca — jesteś spokojny i mały, więc usiądziesz przy Felku, żeby nie miał żadnej pokusy.

Marcinek, choć niechętnie, wstał ze swego miejsca i usiadł obok Felka. Był to drobny chłopczyna o bladej twarzy i poważnem spojrzeniu ciemnych oczu.

Lekcja przeszła spokojnie, ale po nauce, ledwo chłopcy zostali sami, Felek podniósł się i zaczął przedrzeźniać nauczyciela.

— „Zabraniam ci się mocować“ — powtarzał — „zabraniam“! Sam widać był tchórzem w szkole, kiedy tak mówić może. Słyszysz, Marcinie? Na to siedzisz przy mnie, żebyś mi służył i słuchał mię we wszystkim, a nie — to się spróbujemy. Zrozumiałeś?

— Nie rozumiałem, gdyż bić się z tobą nie będę, a słuchać cię nie myślę.

— Zobaczmy! — I dał mu prztyka w ucho, aż Marcinkowi iskry błysnęły przed oczyma.

— Jesteś rozbójnik niegodziwy! — rzekł, hamując¹⁾ łzy i gniew.

Felek przymrużył oczy i spojrzał na niego tak drwiaco, że Marcinek nagle pochwycił go wpół i zaczął mocować się z nim z całej siły.

Cała klasa patrzyła ze zdziwieniem: Marcinek, najspo-

¹⁾ Powstrzymując.

kojniejszy i najsłabszy z uczniów, rzucił się na tego olbrzyma, którego się wszyscy bali!

II. Felek przez chwilę pozwolił mu się szarpać, a potem go pochwycił za ramiona i byłby go przewrócił w mgnieniu oka, gdyby Marcin nie zahaczył się nogą o nogę ławki. Niespodziewany opór rozniewał Felka jeszcze bardziej, przechylił Marcinka na bok, coś chrupnęło, chłopiec krzyknął, a wtem ktoś dotknął klamki i wszedł nauczyciel z dyrektorem.

Wszyscy chłopcy stali spokojnie na miejscach, potem usiedli, lekcja się zaczęła.

Marcinek siedział także, lecz co się z nim działo! W nodze czuł ból nieźnośny, zdawało mu się, że tego nie wytrzyma dłużej, a przecie milczał i zaciskał usta. But go ścisnął i palił, czuł ból aż w kolanie, zimno i gorąco w całym ciele.

Chciał oprzeć nogę na podłodze, ale o mało nie krzyknął, tak go zabolalo. Więc trzymał ją w powietrzu, chociaż sił już nie miał, chociaż każda minuta godziną mu się wydawała.

— Co ci jest, Marcinku? — spytał nagle nauczyciel.

— Chory jestem — rzekł chłopiec — nie mogę wstać.

Zbladł bardzo, bo i noga zabolala go dotkliwiej, i wstyd mu było, że wstać nie może, mówiąc do nauczyciela.

— A lekcje umiesz? — zapytał dyrektor.

— Nie — odpowiedział chłopiec, gdyż czuł, że nie może teraz odpowiedzieć na najłatwiejsze pytanie.

— To jeden z najlepszych uczniów — zauważył nauczyciel.

Ale dyrektor patrzył niedowierzająco, potem zapytywał innych.

Nakoniec upłynęła nieszczęsna godzina. Marcinek chciał się podnieść na pożegnanie dyrektora, ale chociaż prawie nie dotknął nogą ziemi, znów przeszył go ból straszny, po-

ciemniało mu w oczach, zbladł i byłby upadł, gdyby nauczyciel, który widział to wszystko, nie był go wziął na ręce.

— Co ci jest? — spytał łagodnie, kiedy chłopiec przyszedł do siebie.

— Skręciłem nogę. O, proszę jej nie dotykać! Do domu, do domu! Nie zajdę do dorożki!

Chłopcy spojrzeli na siebie z przestachem, Felek spuścił oczy i wyszedł prędko, zachmurzony.

Nauczyciel tymczasem zajął się Marcinkiem, — posłano po doktora, ale chłopiec nie pozwalał dotknąć nogi. Trzeba było but rozciąć: kość była złamana; doktor ją zestawił i obandażował¹⁾ nogę. Marcinek zniósł to mężnie, nie krzyczał, nie płakał, nie oskarżał nikogo. Widząc, że tak bardzo cierpi, nauczyciel nie zadawał mu żadnych pytań.

Przez sześć tygodni chłopiec leżał w łóżku, a potem przyszedł jeszcze o kuli do szkoły. Na jego widok Felek zbladł okropnie, a gdy Marcinek usiadł obok niego i, nie mówiąc, zaczął powtarzać zadaną lekcję, Felek nieśmiało schylił się i rzekł cicho, głosem zmienionym:

— Ja ciebie będę słuchał, ty rozkazuj, boś ty silniejszy i lepszy ode mnie.

Dlaczego Felek powiedział, że Marcinek jest silniejszy? Czy siła moralną człowieka dużo zrobić może? Czy jest ona bardzo potrzebna? Daj przykład siły moralnej. Siłę moralną nazywamy niekiedy męstwem.

Czy znasz przysłowie: „Choćby cię pieczono i smażono w smole, Nie powiadaj nigdy, co się dzieje w szkole“.

94. Lew i mysz.

Onego czasu lew drzemał;
Umilkła puszcza i wiatr się zatrzymał;

¹⁾ Owinał mocno bandażem (plótnem).

Rozigrały się wśród spokojnej ciszy
Jedna za drugą biegające myszy.

Aż tu pęd jedną uniesie
Na króla zwierząt. Ocknie się
I płochą skoczkę porywa.
Myszka moja, ledwie żywa,
Zguby swej czeka ze drżeniem, —

Ale on, rzeczą nie sądząc wspaniałą
Mścić się nad drobnym stworzeniem,
Wypuścił całą.

W kilka dni potem, idąc po nocy,
Sam w nastawione sidła zapadnie;
Z tych się wydobyć nie mogąc snadnie¹⁾,
Rykiem jął żądać pomocy.

Aż tu mysz owa przyleci.
„Nie bój się, królu!“ powiada,
„Ja cię wywikłam z tych sieci“.

Usłudze takiej tu wdzięczność jej rada:
Te, w których stopy monarsze uwięzły,
Zdradne przegryzła węzły.

Tak lwa całego puszczy oddała
Jedna mysz mała.

Franciszek Dyjonizy Książnin.

Jaka myśl jest w tej bajce?

95. Kominiarczyk.

(Z dziennika ucznia).

I. Wczoraj wieczorem poszedłem do szkoły żeńskiej, tuż przy naszej, aby zobaczyć się z nauczycielką.

Sześćset dziewcząt jest w tej szkole.

Zaczynały właśnie wychodzić, kiedym nadszedł, we-

²⁾ Łatwo.

sołe, bo na dwa dni wolne: Wszystkich Świętych i Zaduszki; i oto, com tam zobaczył. Wprost wejścia do szkoły, po drugiej stronie ulicy, oparty o mur, zakrywając ręką oczy, stał kominiarczyk, zupełnie jeszcze mały i czarny na twarzy, ze swoim workiem, ze swoim drapaczem¹⁾, i gorzko płakał. Zaraz zbliżyły się do niego dwie czy trzy starsze dziewczynki, pytając, czego by tak bardzo płakał? Ale kominiarczyk nie odpowiedział, tylko jeszcze głośniejszo szlochać zaczął.

— Powiedz, powiedz, co ci jest, i czego tak płaczesz? — dopytywały się dziewczynki.

Wtedy odjął rękę od twarzy, zupełnie jeszcze dziecinnej, i szlochając, opowiadał, że czyścił kominy w kilku domach, zarobił sobie 4 złote, ale je zgubił.

— Musiały wypaść przez dziurę w kieszeni — dodał, pokazując rozdartą kieszeń — a teraz nie śmiem wrócić do domu, bo mnie majster bić będzie.

Tutaj znów gorzko zaczął płakać, zakrywając twarz ręką. Dziewczynki spoważniały i patrzyły na biednego chłopca zafrasowane²⁾. Tymczasem nadbiegły inne, małe i duże, strojne i ubogie, z teczkami pod pachą, a jedna, starsza, z niebieskim piórkiem przy kapelusiku, dobyła z kieszeni dziesiątkę i rzekła:

— Ja mam tylko dziesiątkę. Złóżmy się na niego!

— I ja mam — powiedziała inna. — Może się u wszystkich znajdzie cztery złote.

I zaraz zaczęły się zwoływać:

— Amelka! Ludka! Anulka!... Dajcie no kilka groszy! Kto ma pieniądze?... Dawajcie tu groszaki!

II. Kilka z nich miało po parę groszy na kwiaty, na kajety. Mniejsze oddawały też swoje. Wtedy ta z niebieskim piórkiem zebrała wszystko i głośnie liczyła: „Osiem, dziesięć, piętnaście!“ Ale była za ledwie połowa. Wtem największa z nich wszystkich, że prawie mogła ująć za

¹⁾ Rodzaj miotły. ²⁾ Zakłopotane.

nauczycielkę, dała złotówkę, a dziewczęta zaczęły chwalić i dziękować.

Ale brakowało jeszcze jednej złotówki.

— Idą teraz te z czwartej!... Te mają! — rzekła jedna.

Jakoż przyszły też z czwartej, i posypały się grosze. Wszystkie zaczęły się cisnąć do biedaka. Pięknie było patrzeć na małego kominiarczyka w pośrodku tych jasnych sukienek, tych fruwających wstążek, piórek...

Już dawno zebrały się wszystkie pieniądze, ale dziewczęta jeszcze dokładały, a te najmniejsze, którym nie dawało jeszcze pieniędzy w domu, przepychały się pomiędzy dziećmi, dając mu kilka kwiatków, żeby tylko i od nich coś było.

A wtem wyszła odźwierna¹⁾, wołając:

— Pani dyrektorka idzie!

Porwały się dziewczęta, jakby stado wróbli. Wtedy kominiarczyk ukazał się w pośrodku ulicy sam, ocierający z łez oczy, uśmiechnięty, ściskający w obu rękach swoje złotówki, a u kapelusza, u kurtki, po kieszeniach tyle miał kwiatów, że aż się sypały, i pełno ich było nawet u nóg jego, na ziemi.

Z *Edmunda Amicisa*.

Jakie były te dziewczynki?

Położ te czasowniki w 1 osobie l. mn.: zanosi, wychodzi, stoi, czyści, gubi, liczy, chwali, niesie, bierze, daje, idzie, sypie, rzeknie, śmieje się. Kiedy piszemy w 1 os. l. mn. cz. ter. *imy*, a kiedy *emy*?

96. Jałmużna myśli.

Mój Piotrusiu, nie mam grosza,

Bom i mały i ubogi,

Ale siadźmy sobie razem

Na tym wzgórkku koło drogi.

Ja z książeczki mojej nowej

Przeczytam ci powieść sławną,

Sławną powieść o tych czasach,

Co minęły, przeszły dawno.

¹⁾ Pilnująca wejścia.

Pokażę ci na obrazku
 Takich mężów i rycerzy,
 Aż ci w główkę najdzie blasku,
 Aż serduszko ci uderzy.
 Opowiem ci różne rzeczy
 O tych polach, o tem niebie,
 O tych naszych żytnich kłosach,
 Co tu rosną wedle ciebie.
 Opowiem ci o tych lasach,
 Co na straży, szumiąc, stoją,
 O tych rzekach modrych, bystrych,
 Co nam łąki nasze poją.
 Potem sobie zaśpiewamy,
 Aż głos pójdzie na pół mili!
 I będzie nam w sercu błogo,
 Żeśmy taki dzień przeżyli.

M. Konopnicka.

Czy tylko pieniądze można dawać biednym? Co dla nich może mieć nawet większą wartość? Czy lepiej dać kilka groszy ubogiemu, czy dać mu pracę lub nauczyć go pracować? Co było najwięcej warte w słowach tego chłopczyka?

97. Zabawy szkolne za czasów Adama Mickiewicza.

Do ulubionych zabaw młodzieży szkolnej w czasach młodości Mickiewicza należała zabawa w wojsko.

Nic dziwnego: były to czasy, w których wojna zaprzątała wszystkich. Wielki wódz Napoleon toczył ją bezustannie ze wszystkimi państwami Europy, jego zwycięstwa i sława rozlegały się daleko po świecie, a jego piękne obietnice tyle budziły nadziei.

Więc młodzież przedewszystkiem bawiła się w wojsko. W Nowogrodku¹⁾ stał pułk konnicy i codziennie odbywały się ćwiczenia; uczniowie przypatrywali się mustrze²⁾ z wiel-

¹⁾ Miasteczko na Litwie, miejsce urodzenia Mickiewicza.

²⁾ Ćwiczenia wojskowe.

kiem zajęciem, a potem w swoich zabawach starali się naśladować, co im się najbardziej podobało.

We wtorki albo w czwartki po południu, podczas rekreacji, zbierali się na placu pod górą Mendoga i, uzbrojeni w kije, staczali walki, urządzali ataki i szturm¹⁾. Z czasem utworzono niby rozmaite pułki, które po zabawie wieczorem wracały do klasztoru w wojskowym porządku. Ksiądz prefekt szkoły, widząc, jaką ta zabawa sprawia przyjemność uczniom, postanowił, naradziwszy się z profesorami, dać wojsku studenckiemu lepsze uzbrojenie. Porobiono z papieru czapki i tornistry, stolarze przygotowali cały zapas lanc, pałaszy, szabel, karabinów z bagnietami, blacharze różnych ozdób do rynsztunków²⁾; matki i siostry szyły mundury i chorągiewki. Ponieważ klas było sześć, więc wyszyto sześć sztandarów³⁾, a 3 maja 1810 roku był pierwszy przegląd tych świetnie wystrojonych już bataljonów.

Wszystko szło jak najlepiej. Arsenał⁴⁾ był w szkole, sztandary składano w kościele; młodzież, niezmiernie zajęta swoją wojskową służbą, spoważniała; gdy zdarzył się wypadek, który zgubił armję studencką.

II.

Pewnego razu pułki wymaszerowały do pobliskiej wioski, gdzie był odpoczynek, mustra i posiłek. Wieczorem powracali w uroczystym marszu, z rozwiniętymi sztandarami, przy odgłosie bębna i śpiewu. W tych dniach właśnie do Nowogrodka przybył pułk dragonów. W chwili kiedy uczniowie zbliżali się do ratusza, jeden z poruczników dla zmiany warty wychodził z odwachu.

Niewiadomo, jakim sposobem między uczniem Głowackim a tym porucznikiem przyszło do kłótni, która zmieniła się w bójkę. Dragoni pospieszyli na pomoc porucznikowi, obili Głowackiego i rozproszyli jego pluton⁵⁾. Ale wieść o po-

¹⁾ Napady. ²⁾ Uzbrojenia. ³⁾ Chorągwie. ⁴⁾ Skład broni. ⁵⁾ Oddział piechoty, złożony z kilkunastu żołnierzy.

rażce lotem błyskawicy rozniosła się wśród innych pułków, drewniane karabiny i papierowe hełmy uczyły lwia odwagę i pragnienie walki. Mają ustąpić pokonani? Oni?

Przed ratuszem stoi warta, ani przypuszczając, że może ją ktoś atakować. Armja¹⁾ uczniowska uderza na wartę, wyrwa broń żołnierzom, niektórych jako jeńców ciągną do klasztoru i bramę zatrzaskują.

Zwycięstwo! tryumf! Ba, ale co dalej? Po jeńców przyjdzie wojsko. Co powie władza szkolna? I co począć?

Na szczęście w każdym klasztorze są furtki; wymknęły się furtkami i zwycięzcy i jeńcy, a rzeczywiste wojsko, wysadziwszy bramę, nie zastało już nikogo na dziedzińcu.

Ale przecie na tem skończyć się nie mogło. Ojciec Mickiewicza, ksiądz rektor i kilka innych osób bawili się w najlepsze, gdy jeden z chłopców przybiegł z wiadomością o tem, co zaszło w mieście. Zerwali się wszyscy zaniepokojeni. Na szczęście generał-major był człowiek uczciwy, osądził całą sprawę jako dziecinny wybryk i żądał odpowiedniej kary na winowajców.

Głównickiemu własny ojciec w pokoju rektora wymierzył plagi za zbyt ni animusz²⁾ wojenny; uczniów jego plutonu skazano na trzy dni kozy, kilku z szóstej klasy wydano. Dla żołnierzy, których skóry i mundury ucierpiały w bójce, rodzice uczniów złożyli pieniężne wynagrodzenie. Jeden z profesorów wypalił chłopcom piorunującą perorę; generała z całym sztabem zaproszono na obiad, i jakoś wszystko się zatarło.

Ale wojsko studenckie rozwiązano, i odtąd zabaw wojennych nie było.

Podług J. Treliaka.

Czem zgrzeszyli chłopcy?—Porywczosć wyrządza nam często szkody i przykrości; trzeba się uczyć panować nad sobą.

Jakiego były wojny w czasach dzieciństwa Mickiewicza?

¹⁾ Wojsko. ²⁾ Zapal.

98. PANI TWARDOWSKA.

Ballada.

Jedzą, piją, hulki¹⁾ pała,
Tańce, hulanka, swawola,
Ledwie karczmy nie rozwalą,
Cha, cha! chi, chi! hejże! hoła!

Twardowski siadł w końcu stoła,
Podparł się w boki, jak basza²⁾,
— Hulaj, dusza! hulaj! — woła.

Śmiesz, tumani³⁾, przestrasza.

Żołnierzowi, co grał zucha,

Wszystkich łaje i potęra,

Świsnął szablą koło ucha:

Już z żołnierza masz zajaca.

Na patrona⁴⁾ z trybunału,

Co milczkiem wypróżniał rondel,

Zadzwonił kieską⁵⁾ pomału:

Z patrona robi się kondel⁶⁾.

Szewcu w nos wyciął trzy szcutki,

Do łba przymknął trzy rureczki,

Cmoknął, cmok! i gdańskiej wódki

Wytoczył ze łba pół beczki.

Wtem gdy wódkę pił z kielicha,

Kielich zaświstał, zazgrzytał —

Patrzy na dno: — co u licha?

Po coś tu, kumie, zawitał?

Djablik to był w wódce na dnie:

Istny Niemiec, sztuczka kusa;

Sklonił się gościom układnie,

Zdjął kapelusze i dał susa.

Z kielicha aż na podłogę

Pada, rośnie na dwa łokcie.

¹⁾ Fajki. ²⁾ Basza — wysoki urzędnik turecki. ³⁾ Zwodzi. ⁴⁾ Patron z trybunału — obrońca sądowy. ⁵⁾ Worek do pieniędzy. ⁶⁾ Pies.

Nos jak haczyk, kurzą nogę
I krogulcze ¹⁾ ma paznogie.
— A Twardowski!... witam, bracie! —
To mówiąc, bieży obcesem:
— Cóż to, czyliż mię nie znacie?
Jestem Mefistofelesem ²⁾.

Wszak ze mną na Łysej Górze
Robił o duszę zapisy:
Cyrograf ³⁾ na byczej skórze
Podpisał ty, i bisy ⁴⁾
Miały słuchać twego rymu;
Ty, jak dwa lata przebiega,
Miałeś pojechać do Rzymu,
By cię tam porwać, jak swego.
Już i siedem lat uciekło,
Cyrograf dalej nie służy,
Ty, czarami dręcząc piekło,
Ani myślisz o podróży.

Ale zemsta, choć leniwa,
Nagnała cię w nasze sieci:
Ta karczma *Rzym* się nazywa —
Kładę areшт na waszeci.

Twardowski ku drzwiom się kwapił
Na takie *dictum acerbum* ⁵⁾;
Djabł za kontusz ⁶⁾ ułapił:
„A gdzie jest *nobile verbum*? ⁷⁾“
Co tu począć? kusa rada,
Przyjdzie już nałożyć głowę...
Twardowski na koncept wpada
I zadaje trudność nową.

¹⁾ Krogulec — ptak drapieżny. ²⁾ Mefistofeles — djabeł kusiciel.
³⁾ Cyrograf — umowa. ⁴⁾ Djabły. ⁵⁾ *Dictum acerbum* — ostre słowo (po łacinie). ⁶⁾ Dawny strój polski. ⁷⁾ *Nobile verbum* — słowo szlacheckie (po łacinie).

— Patrz w kontrakt, Mefistofilu,
Tam warunki takie stoja:
Po latach tylu a tylu,
Gdy przyjdiesz brać duszę moją,
Będę miał prawo trzy razy
Zaprządz ciebie do roboty,
A ty najtwardsze rozkazy
Musisz spełnić co do joty.
Patrz, oto jest karczmy godło:
Koń malowany na płótnie;
Ja chcę mu wskoczyć na siodło,
A koń niech z kopyta utnie.
Skręć mi przytem biczek z piasku,
Żebym miał czem konia chłostać,
I wymuruj gmach w tym lasku,
Bym miał gdzie na popas zostać.
Gmach będzie z ziarnek orzecha,
Wysoki pod szczyt Krępaku ¹⁾,
Z bród żydowskich ma być strzecha,
Pobita nasieniem z maku.

Patrz, oto na miarę ćwieczek:
Cał gruby, długi trzy cale,
W każde z makowych ziarneczek
Wbij mi takie trzy bretnale ²⁾. —
Mefistofel duchem skoczy,
Konia czyści, karmi, poi,
Potem bicz z piasku utoczy
I już w gotowości stoi.

Twardowski dosiadł biegusa ³⁾,
Próbuje podskoków, zwrotów,
Stępa, galopuje, kłusa —
Patrzy, aż i gmach już gotów.

— No, wygrałeś, panie bisie!
Lecz druga rzecz nieskończona:

¹⁾ Krępak — góra. ²⁾ Bretнал — wielki gwóźdź. ³⁾ Konia.

Trzeba skapać się w tej misie —

A to jest woda święcona.

Djabieł kurczy się i krztusi,

Aż zimny pot po nim bije;

Lecz pan każe, sługa musi:

Skapał się biedak po szyję.

Wyleciał potem, jak z procy,

Otrząsł się, dbrum! parsknął raźnie:

— Teraz jużes w naszej mocy,

Najgorętszszam odbył łaźnię.

— Jeszcze jedno — będzie kwita:

Zaraz pęknie moc czartowska!

Patrzaj, oto jest kobieta,

Moja żoneczka, Twardowska.

Ja na rok u Belzebuba¹⁾

Przyjmę za ciebie mieszkanie;

Niech przez ten rok moja luba

Z tobą, jak z mężem, zostanie.

Przysiąż jej miłość, szacunek

I posłuszeństwo bez granic;

Złamiesz choć jeden warunek,

Już cała ugoda na nic.

Djabieł do niego pół ucha,

Pół oka zwrócił do samki,

Niby patrzy, niby słucha,

Tymczasem już blisko klamki.

Gdy mu Twardowski dokucza,

Od drzwi, od okien odpycha,

Czmychnąwszy dziurką od klucza,

Dotąd jak czmycha, tak czmycha.

Adam Mickiewicz.

Czy przyjemna musiała być pani Twardowska?

¹⁾ Belzebub — król djabłów.

99. ZIELONA PANIENKA.

I.

Za górami, za lasami był kraj, a w tym kraju panował król dzielny i rozumny. Kochali go sąsiedzi i poddani, żonę miał dobrą, skarbów i złota — ile chciał, jednak wciąż był smutny. Nieraz przechadzając się po wspaniałym pałacu lub po lesie, gdzie złote rybki pluskały się w strumieniu, i słowiki śpiewały mile, wzdychał ciężko.

Oto martwił się o swoją córkę jedyną. Królowna śliczna była jak aniołek, zdrowa jak rybka, wesola jak ptaszek, ale oprócz rodziców nikt jej nie mógł kochać.

Ślicznotka, ufna w swą piękność, kapryśna była i uparta, nieraz zachciewało jej się rzeczy, których nikt dać jej nie mógł. To żądała gwiazdki z nieba, to śniegu w lecie, to księżycy w dzień; a gniewała się i dokuczała wszystkim naokoło, jeżeli nie dostała tego, czego żądała.

Mijały lata, królowna rosła, a codziennie kapryśniejszą się stawała, codziennie bardziej dumną ze swej piękności. Największą jej przyjemnością i jedynym zajęciem było przeglądanie się w strumyku, stroić w kwiaty, lub leżeć na miękkim mchu, słuchając śpiewu słowika.

Napróżno ptaszki namawiały ją, żeby się od nich śpiewać nauczyła, pajaczek zachęcał, żeby prząść spróbowała, a pszczołki chciały uczyć ją roboty miodu i wosku.

Ślicznotka śmiała się i mówiła:

— Po co mam pracować? po co uczyć się? jak zechcę, to wszystko zrobię. Ale nie chcę.

Pewnego dnia, swoim zwyczajem, siedziała królowna nad strumykiem, przeglądała się w wodzie i stroiła w kwiaty. Wtem maleńka rybka wyskoczyła z wody przypadkiem, padła na brzeg, pokryty mchem, i nie mogła w żaden sposób dostać się napowrót do strumyka.

— Ach! poratuj mnie, piękna! — zawołała żałośnie, spostrzegłszy królownę.

Ale Ślicznotka, która ludziom nigdy nie chciała żadnej oddać przysługi, a cóż dopiero zwierzętom, udała, że nie słyszy wołania rybki.

— Zmiłuj się! królowno, wrzuć mię napowrót do wody! — odezwała się znów rybka.

— Nie mam czasu! — odparła obojętnie Ślicznotka i dalej bawiła się kwiatami.

— Jakże mi tu źle... oddychać nie mogę... zginę tu... — skarżyła się biedna rybka, ale królowna nie spojrzała na nią.

Wtedy biedne stworzonko zebrało wszystkie siły, rzuciło się i wpadło do strumyka, a woda bryzgnęła w oczy Ślicznotki.

Królowna otarła twarz z wody, ale gdy znowu schyliła się nad strumykiem, krzyknęła z przestachu.

Co to jest? czy woda taka zmacona, że aż cała twarzyczka wydała jej się zielona, jak mech, co otaczał strumyk?

Napróżno ocierała i obmywała twarz. Ile razy spojrzała w wodę, spostrzegała dziwaczną, zieloną postać.

II.

Smutnie szła królowna do domu, żałując zepsutej zabawy, bo przecież trudno się przeglądać w zazielenionej wodzie.

Co dziwniejsza jednak, ludzie, których spotykała po drodze, uciekali z przerażeniem, ptaszki nawet, które zwykle siadały jej na ramionach i na głowie, odlatywały daleko.

Gdy weszła do pałacu, słudzy z trwogą rozstępowali się przed nią, a królowa, gdy ją ujrzała, krzyknęła i padła zemdlna.

Wtem wszedł król, ale zaledwie spojrzał na córkę, stanął jak wryty i załamał ręce.

I nic dziwnego: cała twarz Ślicznotki zielona była, jak trawa.

Na nic nie zdały się różne leki, których używano, żeby zmyć brzydkie zielony kolor twarzy — królowna została zieloną.

Od tego czasu uciekała od strumienia, w którym mogłaby się przejrzyć, unikała ludzi, w dzień zamykała się w pałacu, a wieczorem dopiero wychodziła na spacer. Nudno jej też było i smutno, niczem się nie mogła zająć, bo nic nie umiała.

Pewnego wieczora smutna przechadzała się po ogrodzie, — wtem usłyszała śpiew słowika.

— Ach, gdybym ja tak śpiewać umiała! — zawołała ze łzami w oczach Ślicznotka.

— Spróbuj, królowno! — szepnął jakiś głosik wśród drzew.

Dziewczynka zaczęła śpiewać wraz ze słowikiem. Odtąd co wieczór, chodząc po ogrodzie, śpiewała i niedługo dorównała słowikowi.

Kiedys znów, siedząc przy oknie, spostrzegła, jak pajacek snuł swoją niteczkę.

— Gdybym ja tak snuć umiała, utkałabym sobie cieniutką zasłonę, żeby się ukryć przed ludźmi — pomyślała biedna Ślicznotka i zaraz spróbowała prząść cienkie niteczki.

W kilka tygodni królowna w dzień przechadzała się po pałacu, okryta cieniutką zasłoną własnej roboty.

Od pszczołek wyuczyła się robić słodki miód z kwiatów i rozdawała go ubogim dzieciom.

Dzieci z początku uciekały od niej, ale wkrótce przyzwyczały się do dobrej Zielonej panienki, do jej miłego głosu i pięknych piosenek, jakie im nieraz śpiewała.

Ślepy dziadek opowiadał Ślicznotce stare powieści o królach i rycerzach, a ona powtarzała je potem dzieciom.

Uboga babka nauczyła ją rozpoznawać zioła i lekarstwa z nich przyrządzać, i od tego czasu królewna stała się opiekunką chorych w całej wsi. Chodziła do chat, leczyła, wspomagała, pocieszała, i opuszczała je, obsypana podziękowaniami i błogosławieństwem.

Królestwo pogodzili się z nieszczęściem, jakie ich spotkało, tembardziej, że widzieli, jaka szczęśliwa zmiana zaszła w ich dziecięciu. I zbiegał czas przy pracy tak szybko, że ani królewna spostrzegła, kiedy trzy lata upłynęły.

III.

Pewnego dnia wybiegła królewna raniutko nazbierać ziół na lekarstwa, a gdy wracała do domu, spostrzegła na ścieżce koło strumyka zieloną żabkę, która przewróciła się nóżkami do góry i w żaden sposób podnieść się nie mogła.

— Biedaczko! — powiedziała królewna z litością — muszę cię poratować. — Przykłęka i ostrożnie podniosła żabkę.

Żabka poskoczyła wesoło, szepcząc: — Dzięki ci, dzięki, królewno! — i wpadła do strumyka, a kilka kropel wody prysnęło na twarz królewny.

Ślicznotka popatrzała chwilę w miejsce, gdzie zniknęła żabka, i wolnym krokiem udała się do domu.

Gdy weszła do pałacu, rodzice jej właśnie siadali do śniadania. Ślicznotka zbliżyła się do nich, chcąc im dzień dobry powiedzieć. Królestwo zaledwie spojrzeli na córkę, krzyknęli z radości. Królewna znów była biała i piękna, jak dawniej, ale odtąd pozostała słodką, dobrą, śpiewającą jak ptaszek, a pracowitą jak mrówka.

Marja Świdorska.

Piękna twarz staje się brzydką, jeśli niema w niej dobroci. Twarz brzydka staje się piękną, gdy wyraża dobroć. Czy tylko ludzi kochać można? Obojętnego na niedolę zwierząt i ludzka niedolę nie wzmąsz.

Co znaczy: kapryśna, — strumyk, potok, rzeka; wskazać różnicę między wyrazami: prząść a tkąć.

100. Paweł i Gaweł.

Paweł i Gaweł w jednym stali domu:

Paweł na górze, a Gaweł na dole.

Paweł spokojny nie wadził¹⁾ nikomu,

Gaweł najdziksze wyprawiał swawole.

Ciągle polował po swoim pokoju:

To pies, to zając! Między stoły, stołki

Gonił i szczekał, wywracał koziołki,

Trąbił i strzelał, i krzyczał do znoju²⁾.

Znosił to Paweł, nareszcie nie może,

Idzie do Gawła i prosi w pokorze:

— Zmiłuj się, waćpan³⁾, poluj ciszej nieco,

Bo mi na górze szyby z okien lecą.

A Gaweł na to: — Wolność, Tomku, w swoim domku.

Cóż było robić? Paweł ani pisał,

Wrócił do siebie i czapkę nacisnął.

Nazajutrz Gaweł jeszcze smacznie chrapie,

Aż tu z powały⁴⁾ coś mu na nos kapie.

Zrywa się z łóżka i pędzi na górę:

Stuk! Puk! — Zamknięto. Spogląda przez dziurę

I cóż tam widzi? Cały pokój w wodzie,

A Paweł z wędką siedzi na komodzie.

— Co waćpan robisz? — Ryby sobie łowię.

— Ależ, mospanie⁵⁾, mnie kapie po głowie.

A Paweł na to: — Wolność, Tomku, w swoim domku.

Aleksander Fredro.

Czy człowiek może robić, co mu się podoba? Coby było, gdyby nikt nie zważał na innych ludzi i robił, co mu się podoba? Czy mogliby wtedy ludzie żyć razem, pracować wspólnie, cokolwiek pożytecznego i dobrego zrobić?

¹⁾ Przeszkadzał. ²⁾ Zmęczenia. ³⁾ Starodawne: pan. ⁴⁾ Pułap, sufit. ⁵⁾ Panie.

101. List z Gdańska.

Gdańsk, 7 lipca 1897 r.

Rochany Janku!

Zdaje mi się, braciszku, że zły zrobiłeś wybór, przekładając góry nad morze. Teraz, kiedy je zobaczyłam, już bym nie zamieniła się z Tobą, i tylko ciągle, co chwila żałuję, że Ciebie tutaj niema. Ach, jakby nam było dobrze! Wszystko oglądalibyśmy razem, i o wszystkim tak wiele byłoby do powiedzenia. Rozmawiam z Mamusią, ale to co innego: Mamusi nie zajmuje tak bardzo każda drobnostka; więc myślę o Tobie prawie bezustannie i muszę Ci choć w liście opowiedzieć to wszystko, co widziałam.

Pierwszą rzeczą, na której widok aż krzyknęłam, to był las masztów, widziany zdaleka, który zdawał się wyrastać pomiędzy miastem a morzem. Pomyśl tylko: prawdziwe maszty! prawdziwe okręty! dalej prawdziwe morze — nie malowane na obrazku — ja to wszystko widzę!

A z drugiej strony znów pod wzgórzami i lasem willa za willą, ogród za ogrodem, a wszystkie domy kryte czerwona dachówką, wyglądają z pośród zieleni, niby krasne maki. Piękna, cienista aleja lipowa łączy te wille z miastem, które znowu przedstawia się zdaleka, niby olbrzymie wojsko wież, wieżyc, wieżyczek, opasanych murami i wysokim wałem. A te wszystkie wieże jakież rozmaite! Ta kwadratowa, wysoka i gruba, zakończona dachem jak dom, a koło niej osiem czy dziesięć wysmukłych wieżyczek pnie się w górę: to kościół Panny Marji. Tamta strzelista, cienka, jak najpiękniejsza sosna — to wieża ratuszowa. Ta znów ciężka, barczysta, dzwiga na sobie całą rodzinę wieżyczek, filarków, chorągiewek — to św. Katarzyna. Któż je policzy wszystkie?

Przez „Wysoką“ (ale naprawdę niską) bramę, ozdobioną kamiennym orłem, wjeżdżamy na koniec do miasta. Co prawda, przejechaliśmy bram kilka, nim stanęliśmy na głównej ulicy, która nazywa się *Długa*, a jest naprawdę krótka. Ale zato jakie domy! Każdy po dwa okna frontu, trzy najwyżej, a wysokie na 4, 5, 6 piątr, z wysokim, śpiczastym dachem i jednym oknem gdzieś bardzo wysoko. I nie możesz sobie nawet wyobrazić, jakie te domy piękne. Na każdym dachu jeszcze jakaś figura: człowiek, ptak albo zwierzę.

Na placu zobaczyłam ratusz¹⁾ z bardzo wysoką wieżą i złożoną figurą Zygmunta Augusta na szczycie. Obok studnię, ogrodzoną piękną kratą, i kilka wspaniałych, ślicznie rzeźbionych domów.

Wszystkich ulic jeszcze nie znam, ale wszystko takie inne niż u nas, a piękne. A najpiękniejsze morze! Ach, Janku, Janku, czemu Ciebie tutaj niema, czemu razem ze mną nie możesz oglądać tych cudów!

W następnym liście opiszę ci port i wybrzeże. — Napisz mi co o górach. Jak Ci się podobają? Czy Ojczyk zdrów? Co robicie? Coś już widział?

Idziemy na wybrzeże! Do widzenia. Całuję cię serdecznie, ucałuj ode mnie Ojczulka, i piszcie do nas często.

Kochająca córka i siostra
Zosia.

Gdzie leży Gdańsk? Czy widziałeś morze? Jaka woda jest w morzu? Jakie znasz ryby morskie?
Co to jest ratusz?

102. Jurata, królowa Bałtyku.

Dawno już, dawno temu panowała nad Bałtykiem złołowa królowa Jurata. Miała ona pałac z przezroczyście-

¹⁾ Ratusz—dom, w którym obraduje zarząd miasta i mieszka burmistrz (prezydent).

go bursztynu, sto dziewic w swoim orszaku i sto pięknych łodzi z konchy¹⁾ muszlowej na swoje rozkazy. Panowała bardzo sprawiedliwie i dobrze, opiekowała się z macierzyńską troskliwością swoim podwodnem państwem, a rybkom nie pozwoliła robić żadnej krzywdy. Sama lubiła najbardziej fląderki²⁾, ale litując się ich doli, kazała zawsze tylko połowę podawać na swój stół królewski, a drugą połowę wrzucać napowrót do morza. Z tej to przyczyny wszystkie fląderki wyglądają jak rozpołowione.

Razu jednego wypłynęła Jurata z orszakiem³⁾ swoich dziewic na morze, a gdy łodzie z konchy muszlowej przybiły do lądu, spostrzegła królowa młodego rybaka cudnej urody, który po obfitym ryb połowie rozwijał sieci. Jurata, oburzona śmiałością rybaka, że śmie zakłócać spokój jej poddanym, ale zarazem olśniona urodą młodzieńca, podniosła bursztynowe berło i rzekła:

— Zbrodnia twoja jest wielka! Ośmieliłeś się chwytać moje najpiękniejsze rybki, zasłużyłeś więc na śmierć. Młodość jednak twoja budzi we mnie uczucie litości, przebaczę ci zatem winę, jeżeli mi zaprzysięgniesz dozonną⁴⁾ wierność i jeżeli się stawisz przede mną na każde moje zwołanie.

Rybak padł na kolana i zaprzysiągł wierność królowej Baltyku... Rok już mijał, a wierny swej przysiędze rybak stawał przed Juratą na każde jej skinienie, pełniąc we wszystkim wolę swej pani.

Lecz Perkun, potężny władca gromów, dowiedziawszy się, że królowa morza, zamiast ukarać, otacza opieką występnego śmiertelnika, srodze się na nią rozgniewał i zesłał piorun, który bursztynowy pałac Juraty roztrzaskał w kawałki, a Juratę zabił. Praamzimas, bóg nieba i ziemi,

nieszczęśliwy ojciec królowej Baltyku, mszcząc się za śmierć córki, porwał rybaka i przykuł go żywcem na dnie morza do skały, u stóp ciała Juraty.

Odtąd, gdy wiatr zahuczy i wzburzonymi falami miotać pocnie, wydobywają się z morza głuche jęki: są to narzekania nieszczęśliwego rybaka. Szczątki zaś bursztynowego pałacu królowej Baltyku dotąd morze na brzeg wyrzuca.

J. Warnkówna.

Czy to jest opowiadanie, czy opis?

Co to jest Baltyk? Czy znasz bursztyn? Skąd się wziął bursztyn?

Czy jest bardzo drogi? Do czego służy?

103. STARUSZKA.

Zima była niezwykle ostra, morze u brzegów zamarzło wybornie, i mieszkańcy miasta umyślili sobie urządzać na lodzie zabawę.

Uprzątnięto plac duży, otoczono go chorągiewkami, sprowadzono muzykę, miały być tańce i ślizgawka, iluminacja wieczorem, słowem niezwykła uroczystość.

W małej chatce na wybrzeżu mieszkała uboga staruszka. Mąż jej utonął dawno podczas burzy, syna straciła także, sama była w chatce małej, pochylonej i bardzo starej. Usłyszawszy muzykę i wesołe głosy, usiłowała podnieść się z posłania, aby zdaleka chociaż patrzeć na zabawę, cieszyć się weselem innych—ale sił jej zabrakło. Biedna, smutna starość! A tam wrzawa i radość, tam ludzie szczęśliwi.

Nakoniec słońce zaszło, ukazał się księżyc, ale blady, bez blasku. Na lodzie zapalono kolorowe światła, migwały cienie, rozlegał się śmiech dźwięczny, śpiew, okrzyki, muzyka.

Staruszka z wysileniem usiadła na łóżku i patrzyła — pa-

¹⁾ Skorupa. ²⁾ Gatunek ryb. ³⁾ Z gromadką, w towarzystwie.

⁴⁾ Do śmierci.

trzała... I ona niegdyś młodą była także... i ona się bawiła— jak tamci — szczęśliwi... Wtem spojrzała na niebo. Daleko, daleko, gdzie się brzeg nieba na wodzie opiera, płynął biały obłoczek z czarną pośrodku plamą. Staruszka zapomniała o chorobie, jej przerażone oczy stały się ogromne — ach, przecież od lat tylu patrzyła na niebo i morze!...

A obłoczek płynie, płynie, coraz większy, a czarna plama... Nagle zrozumiała wszystko: zna tę chmurę i wie, co niesie! Burzę i śmierć. A tamci bawią się wesoło!

Całe miasto na lodzie: starcy, młodzi, dzieci, śmieją się, tańczą, słuchają muzyki, nie wiedzą, co ich czeka. —

— Jak ich ostrzedz? — myśli staruszka. Tam nic nie widać, zresztą zajęci zabawą, nie myślą o nieszczęściu. Gdyby silną była, mogłaby pobiedz, — blisko, — ale... nogi ciężkie, jakby z ołowiu, ręce jej się trzęsą... Otwiera okno z największym wysiłkiem, próbuje krzyknąć, — wrzawa ją zagłusza; buchnął śpiew i okrzyki, zagrzmiała muzyka — a biały obłok płynie coraz większy, i czarna plama... Już zajął pół nieba.

Krzyknęła z całej mocy — nikt nie słyszy. Za daleko. Co począć? Czyż ma patrzeć na ich zgubę? O Boże, Boże, każda chwila droga, każda chwila im grozi!

A wtem Bóg natchnął ją myślą szczęśliwą: podpali chatę, — niech będzie im znakiem, — niech będzie krzykiem trwogi. Cóż znaczy nędzna chata wobec życia ludzi?

Nie miała zresztą czasu do namysłu, — rzuciła spieszenie ogień na postanie i chciała wyjść z izdebki. Za progiem jednak upadła na ziemię i już nie mogła powstać. Ogarnął ją szum, płomień; niby przez sen widziała ogniste języki, wybiegające z okien, skaczące po dachu, we drzwiach, tuż nad nią.

Nagle z nad morza rozległ się krzyk potężny, i wszyscy w mgnieniu oka rzucili zabawę, aby spieszyć na pomoc ubogiej staruszce, która się mogła spalić w swojej chatce. A w tejże chwili zaszumiało morze, lód pękł z łoskotem po-

dobnym do strzału, ziemia i niebo zmieszały się razem w ciemność i burzę... lecz na lodzie nie było już nikogo.

I nikt nie zginął, wszyscy ocaleli, tylko biedną staruszkę znaleziono martwą, chociaż z uśmiechniętą twarzą. Widziała ich na ziemi, wszystkich, wszystkich — ocalonych, i umarłą szczęśliwą.

Podług *Andersena*.

Jak nazwiecie czyn staruszki?

104. L I T W A.

Tam na północ, hen daleko!
Szumią puszcze ponad rzeką;
Tam świat inny, lud odmienny,
Kraj zapadły ¹⁾, równy, senny,
Często mszysty i piaszczysty.
Puszcze czarne, zboża marne,
Niebo bledsze, trawy rzadsze,
Rojsty ²⁾ grzązkie, groble wązkie,
Ryby, grzyby i wędliny,
Lny dorodne, huk zwierzyny
I kęs chleba w czoła pocie.
A na pański stół łakocie:
Lipce ³⁾ stare, łosie chrapy ⁴⁾
I niedźwiedzie łapy.
Puszcz i żubrów to kraina,
A dziedzictwo Giedymina ⁵⁾.
Ćmia się puszcze, mgła się zbiera,
Po pasiekach kraj przeziara ⁶⁾.
Wół za rogi orze zgłiszczę ⁷⁾,

¹⁾ Nizki. ²⁾ Rojsty — bagna, trzęsawiska. ³⁾ Młody lipcowe.

⁴⁾ Nozdrza. ⁵⁾ Giedymin — książę litewski, który założył Wilno.

⁶⁾ Przeziara — przegląda. ⁷⁾ Miejsce po pożarze, szczątki.

W ostrym żwirze socha¹⁾ świszczę,
 A za drogą gdzieś w postronne
 Ciagną wózki jednokonne.
 Koń obłączny²⁾ w wózkach małych,
 Lud w chodakach z łyka szytych,
 W chatach dymem ogorzałych,
 Dranicami³⁾ płasko krytych!

Gdy na lud ten człek spoziera,
 To aż serce żal opłynie,
 I zapytać go chęć zbiera:
 — Co ci to, Litwinie?
 Ale Litwin nie wygada,
 Bo w tej duszy hart nielada!
 Lud to cichy, rzewny, skryty,
 Jak to mówią: kuty bity;
 Kiedy szczery — jak воск topnie,
 Ale gdy go kto zahaczy,
 To i w grobie nie przebaczy,
 I nakońcu swego dopnie!

Choć kraj jego niebogaty,
 Radzi sobie, bo oszczędny;
 Nie marnuje grosz na szaty,
 Bo rozsądny i ogledny.
 Nie zwykł on się kochać w krasie⁴⁾,
 Ale myśli o zapasie —
 I dobytek⁵⁾ w dom gromadzi,
 I „o jutrze“ wiecznie radzi.

W. Pol.

Co znaczy puszcza, pasieka, rojsty, socha, dranica? Jaka jest różnica między puszczą a pustynią? Jaka jest różnica między wyrazami: puszcza, bór, las, gaj, zagajnik?

Odpowiedz według tego wiersza, jacy są Litwini.

¹⁾ Socha — gatunek pługa. ²⁾ W obłąku, czyli półkolu nad uprzężą. ³⁾ Dranica — deszczułka, zwykle z drzewa sosnowego. ⁴⁾ Piękność. ⁵⁾ Zapasy.

105. Sen Giedymina.

I. Puszcza prastara, głucha, nieprzebyta. Tutaj zapewne miały „swoje dwory dawny tur¹⁾, żubr²⁾ i niedźwiedź, puszcza imperatory“³⁾, bo człowiek nie wdarł się jeszcze w te knieje i dotąd nie zakłócił ich spokoju.

I oto dziś o świcie po raz pierwszy rozległ się tu nieznanym głosem rogów myśliwskich i zbudził dziwne echo, pod którego tchnieniem zadrżały stare dęby i mieszkańcy leśni. Okropna wrzawa zbliża się i rośnie: szczekanie psów, tętent koni, łamanie gałęzi, pęd wiatru — i znów cisza, i znów echo dziwne...

Słońce wysoko stanęło na niebie, a wrzawa nie ustaje, choć się nie zbliża tutaj. Nagle — trzask łomu, pęd, głuche chrapanie — i tur stary, olbrzymi, jeden z królów puszczy, błyskając dziko krwawymi oczyma, z grzywą zjeżoną pędzi w szalonym popłochu. Coś świsnęło w powietrzu, drgnął groźny zwierz, przystanął, odwrócił się, czeka. Z gęstwiny wybiegł człowiek z żelaznym oszczepem⁴⁾, z piorunem w oku. Walka trwała krótko: legł tur potężny, — zmęczony pogonią myśliwy rozejrzał się dokoła. Przed nim wysokie wzgórze w płaszczu starych buków, gdzieś w dole strumień szemrze, a słońce z wysoka rzuca przez gęstwę liści palące promienie. U stóp — zwierz pokonany.

Teraz dopiero uczuł niezmierne znużenie: od świtu przecież trwała ta zabawa. Spojrzał na niebo, na dąb rozłożysty na pochyłości wzgórza, miękkie posłanie z mchu. — Tak, odpocząć musi. Trzykrotnie zbudził echo głosem rogu, lecz odpowiedziało mu tylko dalekie szczekanie psów myśliwskich; wtedy, ulegając znużeniu, rzucił się pod dębem na chłodną murawę i wkrótce spał snem twardym.

II. Dzień miał się ku schyłkowi, gdy książę Giedymin zbudził się nagle i usiadł, nasłuchując z wyrazem zdumienia:

¹⁾ ²⁾ Zwierzęta dzikie, podobne do wołu. ³⁾ Władcy. ⁴⁾ Rodzaj ostrych widel, broń myśliwska.

czy rzeczywiście słyszy śpiew daleki, czy to sen jeszcze, w którym po tej kniei rozlegał się głos wilka? Spojrzał przed siebie: wierni towarzysze łowów wraz z psami oczekiwali nad strumieniem, rychło pan się przebudzi. Gdy ujrzeli postać książęcą wyniosłą, zbliżającą się ku nim, wraz stanęli gotowi do drogi.

Książę powitał ich życzliwem słowem. — Słyszcie śpiewy kapłanów — rzekł z radością w oku — sen miałem wieszczę¹⁾, spieszymy do nich, usłyszeć wolę bogów.

III. Stary Krywe-Krywejte w wieńcu zielonym na głowie, w białych szatach, otoczony kapłanami, stojąc przy świętym ogniu, słuchał mowy księcia.

— Na Turzem wzgórzu stanął przede mną wilk w żelaznej zbroi — opowiadał Giedymín. — Mierzyłem się z nim wzrokiem, ażeby odgadnąć, z czem przyszedł. Wtem zawył tak donośnie, że stare dęby pochyliły głowy, i las cały odezwał się stokrotnem echem. Potężne wycie nappełniło knieję, jakby sto wilków wyło jednocześnie, ale ja w sercu nie doznałem trwogi. Przeciwnie, głos ten budził we mnie radość, uczułem taką siłę i potęgę, że zbudziłem się nagle, spojrzałem dokoła i usłyszałem wasze święte śpiewy. Wtedy pojąłem, że to był głos bogów, że przez was wolę swoją mi objawia.

Przez chwilę trwała cisza uroczysta, Znicz tylko płonął i rzucał iskrami. Nagle kapłan wzniósł oczy ku niebu, potem spojrzał na księcia.

— Bogowie wolę swoją objawili — przemówił z wielką mocą — wysłuchaj ich rozkazu. Na miejscu, gdzie ujrzałeś wilka w zbroi, stanąć ma gród warowny i święte dla nich zapłonąć ognisko. A wycie wilka — to sława i potęga grodu, który zasłynie szeroko, daleko, a trwać będzie przez wieki.

Serce książęce uderzyło silniej, gdy usłyszał te słowa

¹⁾ Prorocy, zapowiadający coś.

i zapragnął co prędzej spełnić rozkaz bogów. Wkrótce też nad doliną Swintoroga, na Turzej górze, błysnął płomień Znicza, i stanął gród Wilno, do którego książę przeniósł swą stolicę. Dokoła grodu rozrosło się miasto, na miejscu puszczy pola zaległy uprawne, a sława nowej stolicy daleko rozeszła się po świecie.

Święte ognisko Znicza dopiero Władysław Jagiełło zagaślił w Wilnie, gdy przyjął chrześcijaństwo i na miejscu starej świątyni Perkuna zbudował kościół na cześć Zbawiciela.

Czy sny mają jakie znaczenie? Jak nazywamy ludzi, którzy w sny wierzą? Czy byłeś kiedy w Wilnie? Czy znasz Litwę? Jaka jest różnica pomiędzy miastem a grodem?

Czy to jest opis, czy opowiadanie?

106. J E L E Ń.

I.

Jeleń należy do rzadkich stworzeń, już prawie wytępionych w naszych lasach. Co prawda, gdzieby dziś mogła znaleźć schronienie ta pańska zwierzyna, kiedy nieprzebyte puszcze ustąpiły miejsca uprawnym polom? Chociażby jej nawet nie wytępiono polowaniem, dzisiejsze lasy nie byłyby w stanie wyżywić tak wielkich stworzeń. Nikt nie zaprzeczy, że są to zgrabne i miłe stworzenia, bardzo malowniczo wyglądające, gdy się pasą na leśnej polance, albo gdy przemykają się rączo i zgrabnie między drzewami:

Czasem wymkną się w górę przez trawy zielenie,
Niby dwa wodotryski, dwa rogi jelenie,
I mignie między drzewa zwierz żółtawym pasem,
Jak promień, kiedy, wpadłszy, gaśnie między lasem.

Ale żeby to byli użyteczni mieszkańcy lasu, tego o nich, niestety, powiedzieć nie można. Szkodniki to i wielkie: póki lasów było dużo, i póki zajmowały znaczne obszary, mogły znaleźć w nich schronienie i pożywienie te najoka-

zalsze i najpiękniejsze z naszych zwierząt ssących, gdyby się jednak rozmnożyły w dzisiejszych niewielkich i rzadkich lasach, zniszczyłyby je wkrótce doszczętnie.

Szkody, wyrządzane przez nie, tembardziej dają się uczuwać, że tak jelenie, jak i sarny należą do zwierząt towarzyskich i trzymają się zawsze mniej więcej licznymi gromadami. Wyjątek stanowią stare jelenie, ozdobione olbrzymimi, rozłożystymi rogami, o 8, 10, a nawet i 12 gałęziach; wolą one pędzić życie swobodne i niezależne, chodzą też zwykle osobno. Taki silny, a przytem rączy zwierz potrafi sam dać sobie radę w niebezpieczeństwie. Jeżeli nie może zwyciężyć wroga rogami, zarzuca wtył wspaniałą głowę, aby nie zaczepić o gałęzie, i rusza naprzód lotem strzały. Warto widzieć, jak zgrabnie i lekko mkną przez gęstwinę ścigany jelen: nie biegnie, lecz leci! z jaką zręcznością przeskakuje przez krzaki i rowy! A gdy woda zagrozi mu drogę, rzuca się w nią i wpław dostaje się na drugi brzeg. Dopiero w pościgu jelen może okazać wszystkie swe zdolności szybko biegacza i pływaka.

II.

Co innego bezrogie i łagodne łanie. Nie posiadają one ani cząstki tej siły, co ich mężowie, boją się więc ufać sobie, tembardziej że muszą jeszcze dbać o dziatwę, bo ojciec jelen nie interesuje się wcale jej losem. Z tego powodu łanie łączą się zawsze w stada, przy których się trzymają i młode jelenie, dopóki nie wzmogą się na siłach. Obierają sobie starą i doświadczoną samicę za dowódcę i zdają na nią troskę o bezpieczeństwo i dobrobyt stada. Łania-dowódca daje hasło do marszu lub spoczynku, wskazuje kierunek drogi, prowadzi stado, a wszystkie idą za nią ślepo.

W czasach, kiedy je mniej prześladowano, jelenie prowadziły tryb życia dzienny, ale od dawna zarzucały już ten zwyczaj i na żer wychodzą jedynie w nocy. Cały dzień

stado spędza ukryte w największej gęstwinie, śpiąc i odpoczywając, i dopiero, gdy słońce schodzi coraz niżej, zrywają się na nogi, i całe towarzystwo rusza z miejsca. Wszyscy, porządnie wygłodzeni, biorą się z apetytem do wieczerzy, stół zaś jest zastawiony obficie: na drzewach wieczorny wietrzyk kołysze soczyste zielone listki, obok nich sterczą ponętne pączki, na dębach wiszą smaczne żołędzie, na bukach orzeszki, a pod nogami młoda trawka aż się prosi, żeby ją zerwać. Jest to jednak dopiero przekąska, właściwa zaś wieczerza odbędzie się na polu, a przynajmniej na dużej polance. Uduje się więc gromada w drogę, ale idąc, każde uszczknie ¹⁾ po kilka grzybów dla zaostrzenia apetytu. Marudzić jednak nie można, bo przed świtem trzeba być z powrotem w lesie, a noc letnia krótka.

Rozsypawszy się po polu, stado zaczyna się posilać. Przysmaków tam co niemiara: zielone posiewy, kapusta, groch lub fasola. Jeżeli zaś komu nie smakują zieleniny, może sobie wygrzebać kopytami ziemniaki lub rzepę. Najadłszy się na cały dzień, kiedy już niebo na wschodzie zaczyna szarzeć, jelenie wracają do lasu w tym samym porządku.

B. Dyakowski.

Czem się jelenie żywią? Które ze zwierząt domowych są najbardziej zbliżone do sarny i jelenia? Jakie dostrzegasz między nimi podobieństwa?

107. Czyj jest las?

Ileż skarbów w gąszczach lasu!
Drogie przedze i klejnoty,
Płaszcz ze słońca szczerozłoty,
Stroje z pereł i atlasu,
Tęczowemi lśniące farby...
Czyjeż, czyje są te skarby?

¹⁾ Uskubnie.

Ptaszę śpiewa: — Ja tu rosne,
Gniazdo zwijam, piosnki składam,
I echami, jak chcę, władam,
Budząc smutne lub radosne...

O wieczorze i nad ranem

Któż jest większym niż ja panem?

Owad brzęczy: — Traw pokłony

Las wybija na cześć moją:

A te kwiaty, co go stroją,

To stół dla mnie zastawiony.

Wśród słodkiego żyjąc wczasu ¹⁾,

Czyż nie jestem władcą lasu?

Trawy szepczą: — W pierś olbrzyma

Wpuściłyśmy sieć korzeni;

Las tej sieci nie wypłeni,

Bo go pęt miljonem trzyma;

Mchów i trawek zastęp dziki:

To rząd leśnej republiki ²⁾.

Słońce mówi: — Leśne cuda

To promieni moich dzieło:

Ze mnie wszystko byt swój wzięło,

Czem zakwita ziemską gruda;

Las bez ciepła mego zginie,

Ja więc władam w nim jedynie.

Drzewa szumią: — Czasu zimy

Stygnie słońce, więdną zioła;

A my zawsze dumne czoła

Ku niebiosom podnosimy.

Kiedy inni śpią nieczule,

My tu władcy, my tu króle.

Wreszcie kupiec głos zabierze:

— Długim trudem, nie zabawą,

¹⁾ Wczas — wypoczynek. ²⁾ Rzeczpospolita.

Jam do lasu zdobył prawo,
Prawo trwałe, na papierze...
Nikt go dziś już nie odmieni,
Bo akt kupna mam w kieszeni.

A poeta pilnie zważa,

Co wasale ¹⁾ gwarzą leśni,

Potem wszystko wkłada w pieśni

I w tych pieśniach las odtwarza ²⁾.

Las z nim śpiewa, las z nim gada —

Czyż nie on to lasem włada?

W. Gomulicki.

Objasnić każdą strofkę. Co mówi ptak, owad, roślina, słońce, ludzie? Kto ma słuszość? Rozkład. Co znaczy przysłowie: „Szedł lasem, a drzew nie widział“?

108. Jezioro w lesie.

Dokoła polanki, jak okiem dojrzał, ciągnął się mur ³⁾ ciemnych sosen i gęstwi leśnej. Mur ten przerywał się w jednym miejscu i, idąc w dal nakształt korytarza, rozszerzał się coraz bardziej. W korytarzu i rozszerzeniu bełkotały fale jeziora i opłukiwały brzeg polanki. Jezioro było rozległe, bo drugi koniec jego prawie że ginał w oddaleniu, i chyba jak przez mgłę można było dojrzeć czerwony dach i wieżyczkę stojącego na drugiej stronie kościoła i czarną opaskę lasu, zamykającą niedaleko za kościołkiem horyzont ⁴⁾.

Sosny z wysokich i piaszczystych brzegów przeglądały się w jeziorze, niby w zwierciadle, więc zdało się — drugi las jest w toni. A kiedy kołysał się las na ziemi, kołysał się w jeziorze; kiedy szumiął na ziemi, zdawał się szumieć i w wodzie; kiedy zaś wśród ciszy powietrznej tkwił nieruchomie, wówczas i w gładkiej, niepomarszczonej toni każda igielka

¹⁾ Wasale — poddani. ²⁾ Tworzy na nowo. ³⁾ Jak mur.

⁴⁾ Widnokrąg.

sosny rysowała się wyraźnie, a pnie szły prosto, niby szeregi kolumn, idące gdzieś daleko, daleko—w nieskończoność.

Środkiem jeziora fala w dzień odbijała słońce, rankiem i wieczorem zorze, nocą księżyc i gwiazdy, a wydawała się tak głęboką, jak wysoko nad nami jest sklepienie niebieskie, ze słońcem, zorzą, księżycem i gwiazdami.

H. Sienkiewicz.

Czy to jest opis, czy opowiadanie?
Zrobić rozkład.

109. KRÓL PUSZCZY.

I.

Dzikość i okrucieństwo charakteru, niezgrabność i ociężałość w ruchach stanowią główne cechy tego zwierzęcia. Niedźwiedź nie napastuje jednak człowieka pierwszy, ale postrzelony nie zna bojaźni, i biada myśliwemu, jeśli nie jest pewny swoich sił i broni. Dawne przysłowie mówi:— „Kiedy idziesz na niedźwiedzia, szukaj sobie łoża“.

Pomimo to na Litwie, a nawet i w Polsce oswajano niedźwiedzie i używano ich do różnych posług lub zabawy. Na dworze Radziwiłłów zawsze było kilka niedźwiedzi, które grały rolę odźwiernych, w kuchni obracały różny, usługiwały do stołu, chodziły na dwóch łapach, tańczyły, mustrowały się, straszyły nieświadomych i lękliwych gości, a posłuszne były na każde skinienie.

W Smorgoni, niedaleko Mińska, założono nawet „akademję“¹⁾, w której oswajano niedźwiedzie i uczono je tańczyć. Była tam izba z blaszaną podłogą, pod którą rozpalało ogień. Do izby wpuszczano niedźwiedzia, obutego na tylne łapy w drewniane chodaki. Jednocześnie zaczynała grać muzyka. Podłoga pali, niedźwiedź podnosi się na tylne łapy, potem dla ochrony od gorąca przestępuje z nogi na nogę. To jego taniec. Po kilku takich lekcjach na odgłos muzyki stawał na tylnych łapach i zaczynał tańczyć.

¹⁾ Szkołę wyższą (żartobliwie).

Dziś niedźwiedź w naszych lasach jest rzadkiem zwierzęciem, spotykamy go jeszcze w górach, pozostały o nim jednak liczne opowieści.

II.

Niedźwiedź nie jest wyłącznie mięsożerny, żywi się także roślinami, owocami, miodem. Górcy pasterze i bartnicy¹⁾ korzystają z jego łakomstwa i przed otworem barci zawieszają grubą, ciężką kłodę. Niedźwiedź usuwa ją na bok i pochyła się do otworu, ale kłoda powraca i uderza go w głowę. Zniecierpliwiony, odpycha ją silniej i otrzymuje wzamian silniejsze uderzenie. Nakoniec odurzony powtarzającymi się uderzeniami, traci przytomność i spada na ziemię, gdzie go ludzie dobijają.

Pewnego razu w górach myśliwy, mając strzelbę nabitą tylko śrutem, spotkał niedźwiedzicę z małemi. Nie było czasu do namysłu, — zmierzył do jednego z małych i celnym strzałem mocno je zranił. Niedźwiedzica ryknęła straszliwie, stanęła na zadnich łapach i postąpiła kilka kroków ku bezbronnemu strzelcowi, — lecz nagle zawróciła, dopadła do tarzającego się we krwi niedźwiadka, zaczęła go przewracać, obwachiwać, potem wzięła w pysk i uniosła w bezpieczne miejsce. Małe podążyły za matką, i strzelec uszedł szczęśliwie.

Mieszkańcy północnych krajów, Lapończycy, przypisują niedźwiedziowi nadprzyrodzone²⁾ własności: wierzą np., iż wie on i słyszy wszystko, cokolwiek o nim mówią, strzegą się więc odzywać w sposób lekceważący. Pomimo to polują na niego zawzięcie. Gdy odnajdą go w legowisku, budzą z drzemki i drażnią, wzywając do walki. Najczęściej pozwalają schwycić się za lewą rękę, okręconą skórą, a prawą wbijają długi i ostry nóż w serce. Zabicie śpiącego zwierza uważają za czyn nieszlachetny. Po spożyciu mięsa, kości i wszelkie odpadki składają uroczyste w przy-

¹⁾ Pszczelarze; barc — siedlisko pszczoł w drzewie. ²⁾ Nienaturalne, nadzwyczajne.

gotowanym dole i zasypują starannie, bacząc, aby nie brakowało żadnej kostki. Wierzą oni, że jeśli szczątki tego mądrego zwierzęcia zostaną przyzwoicie do grobu złożone, wówczas niedźwiedź zmartwychwstanie i da się z największą przyjemnością powtórnie zabić temu samemu łowcy.

Część przyrodnicza z Brehma.

Opowiedz, co wiesz o niedźwiedziu. Wyłumacz przysłowie: „Kiedy gałązka na niedźwiedzia spadnie, to mruczy, a kiedy całe drzewo go powali — milczy“. Kogo nazywają niedźwiedziem? Rozkład.

110. PIEŚŃ MYŚLIWSKA.

Zagrajcie pobudkę! ¹⁾ już dnieje, szarzeje,
Trop ²⁾ łatwo na rosie zobaczym,
Ruszajmy na bory, ruszajmy na knieje,
Potykać się z leśnym kudłaczem!

Dwururka przez plecy, a trąbka u pasa —
Niech krew się rozigra w nas żwawiej,
A psiarnia ze smyczy niech sobie pohasa,
Niechaj się do pola zaprawi!

W dębowym, sosnowym ostępie ³⁾, czy borze
Pocieszmy się dobrą nadzieją!
Nie idźcie za nami, pudlarze ⁴⁾ i tchórze,
Was lasy litewskie wyśmieją!

Bo z dziadów, pradziadów tu echo borowe
Strzał celny rozeznać jest w stanie;
Kto trąbił w tych lasach, kto pił pogrzebowe,
Ten zuchem odrazu zostanie.

Tu każdy powinien domowe znać knieje
I każdy znać pole od dziecka.
Zagrajcie pobudkę, już dnieje, szarzeje:
Ozwij się, drużyno strzelecka!

L. Kondratowicz.

¹⁾ Zachęta; muzyka wzywająca do czegoś. ²⁾ Trop — ślad zwierzyny. ³⁾ Ostęp — knieja, głąb boru. ⁴⁾ Ci, co pudlują, chybiają.

111. Obiad św. Huberta.

I.

Jesień była porą tak zwanych „królewskich łowów“, to jest polowań na grubą zwierzynę: niedźwiedzie, dziki, ryś, łosie, jelenie, sarny. Zaczynały się od św. Michała, t. j. 29 września; w lasach gąszcze się już przerzedziły, wszelka zwierzyna dobrze się wypasła, w polach roboty zbliżały się ku końcowi — sam więc czas na rozrywki i na łowy. I patrona ¹⁾ też swego obchodzą myśliwi w jesieni, mianowicie św. Huberta, 3 listopada. Wówczas też wydawano t. zw. obiad św. Huberta, do którego wszystkie dania musiały pochodzić z lasu, jak o tem głosi przysłowie:

„Kiedy swego czasu goły las nastaje,
Święty Hubert z lasu cały obiad daje“.

Obiad zaczynały wódki myśliwskie na leśnym smaku: topolówka, dębówka, naciągane na pączkach, oraz jałowcówka na jałowcu. Po wódkach szły przekąski: sadła bor-sucze, ozory jelenie, języki sarnie, głąszec z truflami ²⁾. Właściwy obiad zaczynał barszcz na zającu. Po nim następowały dania mięsne: dzik na glogowym smaku, jako sztuka mięsa, a osobno główizna i nogi dzika. Na pieczyście: pieczeń jelenia z grzybami i comber ³⁾ sarni ze świeżymi rydzami; a na zakończenie słonki ⁴⁾. Po takim obiedzie nikt chyba nie był głodny, a ponieważ jadła była obfitość, można więc było darować małą niedokładność, że barszcz, chociaż na zającu, nie pochodził jednak z lasu.

Ale zato pod względem napojów nic już myśliwym nie można było zarzucić: nie pili oni w czasie obiadu wina, którego przecież las nie dostarcza, tylko naturalne trunki: maliniak, dereniak ⁵⁾ i miód pszczoły leśnej. Na wety poda-

¹⁾ Opiekun niebieski. ²⁾ Gatunek grzybów. ³⁾ Grzbięt. ⁴⁾ Ptaki. ⁵⁾ Dereniak — trunek wyrabiany z jagód derenia.

wano tarki ¹⁾, borówki, orzechy laskowe smażone w miodzie, niezaprzeczenie leśne dary.

II.

Najwięcej zaś myśliwi się cieszyli, jeśli się udawało ściągnąć na obiad ś. Huberta jakiego fryca, t. j. niemyśliwego lub przynajmniej nowicjusza w tym zawodzie. Czyż można było pozwolić bezkarnie jeść ten czysto łowiecki obiad i zasiadać w gronie wytrawnych ²⁾ myśliwych temu, kto nigdy nie stał oko w oko z niedźwiedziem, nie mierzył do dzika, pędzącego z łbem spuszczoneym i nadstawionemi szablami? ³⁾.

Urządzano mu też figla, podając na osobnym półmisku pieczeń z wilka lub lisa. A gdy nie wiedząc, co to jest, nabierał z półmiska i chciał skosztować, otwierały się nagle drzwi, i myśliwi zaczynali trąbić we wszystkie rogi na znak, że w sali znajduje się fryc, który się złapał na taką pieczeń. W dodatku zgromadzona umyślnie pod drzewem psiarnia, usłyszawszy głos rogów, wyła na zabój.

Nazywało się to frycowaniem i stanowiło ulubioną rozrywkę myśliwych w przerwach między jednym listopadowym polowaniem a drugim. Łowy królewskie kończyły się na Trzy Króle, jak mówi przysłowie:

„Sieć ostatnią na dąbrowie ⁴⁾
Rozpinają Trzej Królowie“.

B. Dyakowski.

Wynaleźć wyrazy podobnego znaczenia, co: łowy, myśliwy, dar, szabla, drzewi.

¹⁾ Tarka — tarnina — krzew, który ma jagody kwaśno-cierpkie koloru fioletowego. ²⁾ Doświadczonych. ³⁾ Szabla — tu znaczy kiel.

⁴⁾ Las dębowy.

112. Lis i kozieł.

Już był w ogródku, już witał się z gąską,
Kiedy, skok robiąc, wpadł w beczkę wkopaną,
Gdzie wodę zbierano.
Ani pomyśleć o wyskoczeniu!
Chociaż wody nie było, i nawet nie grzązko;
Studnia na półczwarta łokcia:
Za wysokie progi
Na lisie nogi!
Zrąb ¹⁾ tak gładki, że nigdzie nie wścibić paznogcia.
Postaw się teraz w tego lisa położeniu!
Inny zwierz pewno załamałby łapy
I bił się w chrapy ²⁾,
Wołając gromu, ażeby go dobił.
Nasz lis takich głupstw nie robił:
Wie, że rozpaczać jest to zło przydawać do zła.
Zawsze maca wkoło zębem,
A patrzy w górę. Jakoż wkrótce ujrzał kozła,
Stojącego tuż nad zrebem
I patrzącego z ciekawością w studnię.
Lis wnet spuścił pysk na dno, udając, że pije:
Cmoka mocno, głośno chłepce
I tak sam do siebie szepce:
— Oto mi woda! Takiej nie piłem, jak żyję!
Smak lodu, a czysta cudnie;
Chce mi się całemu splukać,
Ale szkoda mi jej zbrukać.
Szkoda!
Bo co też to za woda!
Kozieł, który tam właśnie przyszedł wody szukać
— Ej! — krzyknął z góry — ej, ty ryży kudła,
Wara ³⁾ od źródła.

¹⁾ Brzeg. ²⁾ Nozdrze. ³⁾ Precz.

I hop, w dół! Lis mu na kark, a z karku na rogi,
A z rogów na drag — i w nogi.

A. Mickiewicz.

Jaki jest sens tej bajki? Co znaczy: „Kaźda liszka swój ogon chwali?”

113. LISIĘTA.

Sławny z przebiegłości i fortelów lis bardzo starannie wychowuje swoje potomstwo.

W początkach maja można znaleźć w norze 5—9 małych, jeszcze ślepych, wielkości szczura, które matka starannie pielęgnuje. Po kilku tygodniach wyprowadza z nory szczenięta, bawi się i igra z niemi, przynosi im ptaszki, jaszczurki, żaby, chrabąszcze, koniki polne, myszy, młode zajączki i uczy je łowić i pożerać tę zdobycz. Gdy dorosną do połowy wielkości kota, wtedy lubią z rana i wieczorem leżeć przy wejściu do nory, oczekując powrotu rodziców.

Niełatwo podpatrzeć igraszki lisiej rodziny. Samica jest nadzwyczaj czujna i za najmniejszym szelestem kryje się do nory, unosząc szczenięta w pysku, albo zwołuje je cichem skomleniem. Już w lipcu lisięta odważają się na samodzielne wyprawy i starają się o zmroku schwytać zajączka lub wiewiórkę, napaść w gnieździe na jarząbka lub kuropatkę, a choćby przepiórkę albo mysz, — najmniejsze poprzestają na robakach i świerszczach. Zachowują się wtedy zupełnie na podobieństwo starych: długi, śpiczasty pyszczek pilnie wietrzy po tropie, delikatne uszki podniesione są do góry, małe, szaro-zielone, ukośne, iskrzące oczki bystro patrzą dokoła; miękka, puszysta kita¹⁾ wlecze się za śladem cicho stąpających łapek.

W jesieni młode opuszczają macierzyńską norę i pędzą życie pojedynczo, we własnych norach. *Z Brehma.*

Jakiego człowieka nazywają lisem? Co to są „farbowane lisy”? Co znaczą wyrazy: fortel, łup, znienacka?

¹⁾ Ogón.

114. Zmysłność i roztropność dzieciółów.

I.

Dziecióły są to ptaki pospolite w naszych krajach. Bywają pstre, czasem zielone¹⁾, najrzadziej czarne; wszystkie mają czerwoną łatkę na głowie. Przynoszą wielki pożytek przez wyjadanie gąsienic owadów, niszczących drzewa.

Ptaki te są bardzo ostrożne. Jeżeli podejmiemy do drzewa, na którem kuje dzieciół, odlatuje on na niezbyt odległe drzewo, albo wprost chowa się na drugą stronę pnia i stamtąd spogląda jednym okiem. Jeżeli obejść drzewo, dzieciół wraca na poprzednie miejsce i znów zerka jednym okiem z za pnia lub gałęzi; albo też odleci niepostrzeżenie i dopiero z pewnej odległości daje znać o sobie, odzywając się wesołym, jakby drwiącym głosem.

W taki sposób bawią się nieraz dziecióły między sobą, jakby w chowanego.

Wogóle odznaczają się wielką ruchliwością i wesołym usposobieniem. Napracowawszy się i zaspokoivszy głód, skaczą i łażą po drzewach tylko dla własnej przyjemności.

II.

O wesołości dzieciółów i ich zamięłowaniu do zabaw przekonali się najlepiej ludzie, hodujący je w niewoli. Dzieciół, schwytyany za młodu, oswaja się łatwo, a nawet przywiązuje do człowieka. Chociaż przy pracy nie znosi on towarzystwa współbraci i wypędza ich ze swego okręgu w lesie, nie lubi jednak zupełnej samotności w chwilach rozrywki i odpoczynku. Jeżeli zostawić dzieciółka samego w klatce na czas nieco dłuższy, zaczyna odzywać się głośno i kuje hałaśliwie, póki ktoś nie przyjdzie. Wówczas z wielką uciechą rozpostarłszy skrzydła, podbiega ku ścianie klatki, okazując całym zachowaniem się wielką radość. Oswojone

¹⁾ Dzieciółka zielonego i czarnego nazywają też żółna.

dziesięcioły lubią, aby się z nimi bawiono, chowają się za nogi stołów dla zabawy, zupełnie tak, jak to czynią na swobodzie, i wogóle wyprawiają tysiące figlów.

III.

Pewien badacz trzymał w mieszkaniu dziesięcioła tak oswojonego, że ptak ten latał swobodnie po wszystkich pokojach, zawsze towarzyszył mu do obiadu i próbował rozmaitych potraw. Gdy pan jego czytał książkę przy stole, dziesięcioł siadał obok i zaczynał przewracać jej kartki, podnosząc językiem po kilka razem, a po przewróceniu przybijając je zawsze dziobem.

Największą uciechę sprawiało mu, jeżeli mógł przewrócić wszystkie kartki. Wówczas podnosił okładkę i potężnym uderzeniem dzioba zamykał książkę.

Dzięki swej ruchliwości i zgrabności ptaki te pędzą życie dość bezpieczne i nie dają się byle czem nastraszyć. Ktoś, trzymając dziesięcioła w mieszkaniu, przekonał się, iż ten nie obawiał się żadnego ze zwierząt domowych, a psa, gdy się do niego zanadto zbliżył, uderzał dziobem i odpędzał. Raz tylko przeraził się nadzwyczaj widokiem raka i to zapewne dla jego dziwacznej, nieznannej mu postaci i ogromnych nożyc.

Z B. Dyałowskiego.

Czem się dziesięcioł żywi? Jaki mamy z niego pożytek? W jaki sposób chodzi po drzewie? Jak inaczej nazywamy dziesięcioła?

Które jeszcze zwierzęta objawiają towarzyskie usposobienie?

115. NASZ LAS.

Pójdziem sobie wczesnym rankiem
w las stary,
Będzie śpiewu i wesela
bez miary.
Co za cuda, co za cuda
w tym lesie!

Wiatr pieśń dziwną po konarach ¹⁾
wciąż niesie.
Drzewa, ptaki, wszystko śpiewa,
co żyje,
A kum-dziesięcioł w tej orkiestrze
takt bije,
Błyszczą w słońcu mchy, paprocie
od rosy,
I wietrzykiem kołysane
drżą wrzosa ²⁾.
A od rzeki idą w górę
opary,
Srebrną gazą przysłaniając
te czary.

J. Chrzęszczewska.

116. Walka węży z jaszczurką.

I. Z pod gęsto rozrośniętych paproci jakiś wąż czerwono-szary wyslizguje się na polankę. Posuwa się dość szybko i zgrabnie, uniósłszy do góry głowę i wysunawszy długi, widlasty język, którym nieustannie kręci na wszystkie strony i wszystkiego po drodze dotyka ³⁾.

Wszystkie węże lubią bardzo ciepło i w południe wyłazą ze swych kryjówek na miejsca oświetlone przez słońce, żeby się nagrzewać rozkosznie w jego promieniach.

I nasz wąż nie w innym celu opuścił kryjówkę. Wypętlwszy na słoneczne miejsce, zwinął się na trawie w kłę-

¹⁾ Wielkie gałęzie. ²⁾ Roślina leśna, kwitnąca w jesieni.

³⁾ Język węży zowią zwykle żądłem niesłusznie, bo wąż nim nie kłuje. Służy mu on jedynie jako organ dotyku i jest niezwykle czuły, dlatego to węże wysuwają go tak ciągle.

bek i leży bez ruchu. Śpi, albo nie śpi — kto to może zgadnąć, w każdym razie nie rusza się.

W lesie nigdy nie jest zupełnie spokojnie: wąż niby to zasnął, a zato nieopodal wybiegła z gąszczów para jaszczurek i zaczęła się uganiać za owadami. Zgrabne stworzonka kręcą się i zwijają szparko, a co chwila to jedna, to druga otworzy pyszczek i połknie muchę lub żuczka¹⁾. Od trawki do trawki, od listka do listka — jedna z nich dobiegła aż do węża. Dobiegła i stanęła zdumiona; nie podobało się jej to długie stworzenie, więc się zawahała, co ma robić. Wtem wąż podniósł głowę nagłym ruchem i rzucił się ku niej, rozwarłszy szeroko paszczę. Jaszczurka odskoczyła i zaczęła uciekać, ale napastnik nie zaspiał sprawy i pomknął szybko za nią.

II.

Gonitwa nie trwała długo: wąż dopędził biedaczkę, silnem uderzeniem przewrócił ją na grzbiet i przygniótł mocno. Z pod jego sprężystych zwojów wystaje już tylko zielony ogon i głowa z otwartym pyszczkiem, którym jaszczurka stara się koniecznie ugryźć napastnika. Wąż otwiera również paszczę, jak może najszerszej, chcąc uchwycić jaszczurkę, ale niełatwa to sprawa: maleństwo ma się na baczności i, choć przyciśnięte, pilnie śledzi ruchy węża, podstawiając mu ciągle zęby, ostre jak szpileczki.

Wreszcie wąż zdecydował się na krok stanowczy: zbliżył szeroko otwartą paszczę tuż do swej ofiary i zamknął ją nagle, mając zapewne nadzieję, że tym razem zdoła schwycić jaszczurkę; ale zgrabne stworzonko zdążyło w ostatniej chwili wykręcić głowę i wpiło się zębami w dolną szczękę węża. Pokpiłeś sprawę, panie napastniku! nie oderwiesz już za nic jaszczurki od swej wargi, chociażbyś nie wiem jak wil się i rzucał. Krew broczy paszczę węża, który już puścił ofiarę i stara się jedynie uwolnić od jej ostrych zęb-

¹⁾ Owad o twardem pokryciu.

ków: to kłębi się całym ciałem, to stara się ją znów oplatać i zdusić, to wstrząsa silnie głową, jakby ją chciał precz odrzucić. Właśnie w czasie takiego ruchu jaszczurka nagle sama otworzyła pyszczek i naraz znalazła się o kilka kroków od niego. Zerwawszy się, w jednej chwili umknęła jak strzała, nim rozwścieczony wąż zdążył ją uchwycić. Zasycał więc tylko gniewnie, podniósłszy głowę i wysunawszy język, zły, że mu się ofiara wymknęła.

Z B. Dyakowskiego.

Czem są wąż i jaszczurka? Wskaż między nimi podobieństwa i różnice.

117. Królestwo grzybów.

I.

Gdzieś w świecie, daleko, rósł sobie las. Jakie kto tylko chciał drzewa, mógł tam znaleźć: i dęby, i sosny, i brzozy i wierzy, a wszystko silne i zdrowe.

Do drzew tuliły się krzaki, czepiały mchy wilgotne, różnobarwne powoje i chmiel dziki po gałęziach pięły się w górę do słońca! A tak się ta zieleń pospłatała, poskręcała razem, że w niektórych miejscach w lesie przejść nie było można.

Więc też i nikt nie przechodził. Ludzie prawie wcale tego lasu nie znali. Zato zwierzęta znały bardzo dobrze. Lisy miały tam swoje nory, wilki legowiska. Po brzegach zające chrupały młode pędy¹⁾. W dziuplach²⁾ siedziały rude wiejórki, a czasem też i kuna przemknęła po grubym konarze.

A co ptaków mieszkano w tym lesie! Niechno nadszedł ranek, niechno wyjrzało z za chmur słońce — dopieroż to były świergoty, a śpiewy, a kukania!

Czy kwiaty tam rosły — pytać nawet nie potrzeba, dość było choć przez chwilę posłuchać brzęku owadów.

Najwięcej jednak rosło grzybów. W środku lasu, na zielonej polance między mchami była ich stolica. W sto-

¹⁾ Wyrutki. ²⁾ Głębokie otwory w wypróchniałych drzewach.

licy królował grzyb potężny. Był on już stary, popekany, podobno robaczywy nawet. Nazywał się borowik tysiączny. Nic ta robaczywość borowikowi nie szkodziła, bo rządził dobrze, i wszystkie grzyby go słuchały. Dobrze było grzybom pod rządami mądrego króla, często też mówiły do siebie: — Żeby tylko żył jak najdłużej!

Bo stary grzyb nie miał syna. Było to wielkie zmartwienie dla niego; to też biedak myślał nieraz: — Kto będzie pilnował po mnie mojej dziatwy ukochanej?

Aż raz jak zaczęły padać deszcze, jeden tydzień, drugi, trzeci — tak obudziły się w ziemi nawet najgłębiej leżące nasionka grzybie. Wstaje ze snu jednego ranka król stary, patrzy: tuż przy nim pękła ziemia, a z ziemi wygląda śliczny, maleńki, cały wilgotny jeszcze grzybek.

Radość z narodzin królewicza była ogólna. Liljowe dzwoneczki i konwalje zaczęły zaraz dzwonić i głosić wielką nowinę: — Dyń, dyń, dyń! Królewicz nam się narodził! — rozlegało się wokoło.

II.

W gronie przyjaciół rósł sobie młody grzybek, aż miło. Był silny, jędrny, biały. Stary ojciec nacieszyć się nie mógł jedynakiem. Odwiedzali go różni goście i ciekawe opowiadali nowiny.

Pewnego poranku przyleciała pszczoła. Stary król grzecznie prosi, by na różowej firletce ¹⁾ spoczęła i słodkim pożywała się miodem, lecz pszczołka pokręciła główką:

— Nie, nie, dziękuję. Gdzież mi tam o miodzie teraz myśleć! Wielkie stało się nieszczęście. Już po naszym spokoju: do lasu sprowadził się leśnik.

— Leśnik? — powtórzył stary król zdziwiony.

— On sam podobno niezły człowiek — mówiła dalej pszczołka — ale ma dwoje dzieci. Ach, od tych dzieci większych niszczycieli chyba niema na świecie. Wyobraź

sobie, królu, cały dzień biegają po lesie, zbierają jagody, rwą kwiaty, psują krzewy...

Stary król był tak dobry, że próbował dziatwę usprawiedliwić przed pszczołką.

— To jeszcze nic tak złego, że tam trochę jagódek zjedzą, czy wianek z kwiatów uwiją; przecież jagody zbierać, a kwiaty zrywać można.

— Aha! nic złego! aha, ładne mi trochę! — zawołała pszczołka. — Dobrze to mówić, kto nie widział ich roboty. Różne się rzeczy słyszy, ale jeszcze nie widziałam, żeby najgłupsze stworzenie umyślnie coś niszczyło. A one... ach, królu, co te dzieci wyrabiają! połowę jagód rozdepczą, a kwiaty, powąchawszy, dalej o ziemię! Niczemu nie dają: zbierają nawet grzyby.

— Nawet grzyby! — jęknął król.

Nastąpiła cisza. Otrzymana wiadomość przeraziła wszystkich. Wszyscy wzdychali...

Wtem zadudniała ziemia, zachręściały gałęzie, dwie jasne główki wychyliły się z poza liści, i dwa radosne rozległy się okrzyki:

— Co tu grzybów! Co tu grzybów!

Postawiły dzieci koszyki na ziemi i nuż zbierać, pakować znalezione grzyby, gdzie które mogło: w założoną sukienkę, na wierzch koszyka, do torby, przewieszzonej przez ramię. A ile przytem nagnietli i namarnowali!

Stary król, milcząc, patrzył na zniszczenie swego królestwa, ból srogi ścisnął jego serce grzybie. Myślał biedny, że mali najeźdźcy nie dostrzegą może młodego grzybka, przytulonego do boku ojca. Gdzie tam! próżna nadzieja!

— Patrzno, Wojtusi, jaki tam śliczny grzybek! — zawołała dziewczynka. — O, nie ujdiesz mi, kochanku!

Poskoczyła i wyrwała.

Lecz gdzie go włożyć? Wszędzie pełno. Więc rzuciła grzybek między mchy zielone.

— E, co mi tam po nim! Zostań tu sobie.

¹⁾ Polny kwiatek, odmiana gwoździka.

Tak, zostań, ale nieżywy, wyrwany z ziemi. Obejrzała się dziewczynka dokoła.

— Wojtusi — zawołała — patrz, cośmy zrobili. Jak tu teraz smutno! O Boże!

Uciekły dzieci z lasu, jakby kto gonił za nimi.

J. Chrząszczewska.

Czy można zrywać kwiaty, owoce, grzyby? Czy dobrze robi ten, kto zrywa kwiaty, żeby je za chwilę rzucić? Czy rośliny i zwierzęta istnieją dla przyjemności człowieka? Czy człowiek jest przyjacielem natury? Czy powinien nim być? Dlaczego? Każdy kwiat, zwierzę ma prawo żyć dla siebie, zarówno jak człowiek. Żle czyni ten, kto za dobro matki-natury płaci zniszczeniem bez celu.

118. OSINA.

Stoi w lesie wylękniona

osina,

Wciąż do ziemi swe gałęzie

nagina.

Dziwują¹⁾ się leśne drzewa

niemało,

Co to biednej osiczyńie

się stało?

Tak żalosna cichych szumów

jej nuta,

A nikt nie wie, że to kara,

pokuta:

Matce Boskiej z Dzieciąteczkiem

osika

Dla osłony swych gałęzi

umyka²⁾,

A choć to już dawno temu,

lat tyle,

Drzewo drży wciąż, nie odpocznie

na chwilę.

Or-Ot.

¹⁾ Zamiast: dziwią się. ²⁾ Cofa, nie daje.

119. Pogrzeb szczura.

I.

Szczur polny zginął dnia pewnego, niewiadomo, z jakiej przyczyny. Padł nieborak wśród pola, przewrócił się do góry łapkami i leżał tak z otwartym pyszczkiem, z wystawionymi zębami.

Przyjaciele szczura opłakiwali go przez cały ranek, a krewni przez cały dzień. Najbliższa rodzina przyszła kilka razy odwiedzić martwe szczątki, ale nikt nie chciał się zająć pogrzebem, i biedny szczur pewnieby do tej pory leżał wśród pola, gdyby...

W tej samej okolicy mieszka pod małym pagórkiem liczna rodzina grabarzy. Ci grabarze nie mają wprawdzie nosków, ale na główce ich sterczą małe różki, a tymi czują zdaleka trupa, który potrzebuje pogrzebu. Wówczas liczną gromadką ruszają w tę stronę; wszyscy ubrani są w mundury czarne z czerwonym, bo czerwony kolor musi u nich oznaczać żałobę.

Owady te blisko są spokrewnione z chrabąszczami, a jednak znacznie się od nich różnią usposobieniem i sposobem życia: to też, pomimo pokrewieństwa, nigdy chrabąszcze nie poufałą się z nimi.

Dnia pewnego, we trzy dni po zgonie szczura, stary grabarz zawołał, przebudziwszy się raniutko:

— Coś mi się zdaje, że będziemy mieli robotę w tej stronie nad strumykiem. Zalutuje mnie zapach jakby szczura.

— Szczura? — odezwał się młodszy grabarz — a mnie się zdaje, że wyraźnie czuć kreta, a nie szczura.

— Cicho bądź, młokosie! — krzyknął starszy — będziesz mi tu uczył takiego doświadczonego grabarza, jak ja!

Tamten umilkł zawstydzony, i cała gromadka ruszyła w stronę strumienia, gdzie leżały szczątki szczura. Przybywszy na miejsce, grabarze obejrzeliby dobrze grunt.

— Ho, ho! — rzekł jeden — za dużo tu jest kamyków, nie damy sobie z nimi rady; trzeba to zwierzę dalej przenieść.

I wszyscy grabarze znikli w jednej chwili pod szczątkami szczura, który zaczął posuwać się powoli, niesiony na barkach całej tej gromadki. Wreszcie przystanęli wszyscy, — tu już zapewne grunt był stosowniejszy, i grabarze zabrali się do pogrzebu, siedząc ciągle pod tułowiem szczura i grzebiąc ziemię przednimi łapkami, a odrzucając ją tylnymi.

II.

Pochować dużego szczura to nie tak łatwa sprawa dla takich małych owadów, i niemało na to czasu potrzeba.

To też młodzież zmęczyła się prędko, żaden jednak nie śmiał się odezwać, bo starsi dobrze pilnowali robotników i groźnie na nich spoglądali. Jednakże dwom roztrzępącom udało się jakoś wymknąć i wleźli na grzbiet szczura, gdzie ich nikt spostrzedz nie mógł.

— Mnie już się ta robota uprzykrzyła — mówił jeden do drugiego — kurcze mam w przednich łapkach, a i tylne mnie bołą. Nie rozumiem, do czego to jest potrzebne; poco ja mam koniecznie grzebać tego szczura? Co mnie to ma obchodzić? Niechby rodzina zajęła się pogrzebem.

— Zapewne — rzekł drugi — już z godzinę pracujemy ciężko, a starzy powiadają, że to może potrwać do nocy. Wiesz co, lepiej wybierzmy się na spacer, mam wielką ochotę spróbować skrzydeł. Już mi się znudziło ciągle chodzić po ziemi.

— Zgoda, lećmy! — zawołał tamten, podniósł rogowate pokrywki, wydobyl skrzydełka prawdziwe, rozwinął je i miał już pofrunąć, gdy usłyszał głos dobrze znany.

— Poczekaście-no chwileczkę — mówiła tuż przy nich sędziwa babcia, której nie spostrzegli. — No, no, nie bójcie się, nie będę was łąła; nie zabraniam wam lecieć na spacer, powiem tylko w kilku słowach, dlaczego-to my grze-

biemy tego szczura. Słuchajno, wnuczku kochany, czy ty pamiętasz, gdzie byłeś, i co się z tobą działo, gdyś po raz pierwszy ujrzał światło dzienne?

— Zdaje mi się, że wydobyłem się z pod ziemi — rzekł młody grabarz.

— A ja jestem tego pewny — mówił drugi — pamiętam, że mi tak strasznie było nudno pod ziemią.

— A cóżecie wy tam jedli? — pytała babcia.

Malcy nie umieli na to odpowiedzieć.

— Aha! żarłoki małe! wyście zjadali mięso żabie.

— Żabie mięso! — powtórzyli ze zdziwieniem dwaj młodzi grabarze.

— A widzicie — prawila dalej staruszka — rodzice wasi pogrzebali żabę, mama złożyła na niej jajka, a gdyście się z nich wykluli, znaleźliście gotowe pożywienie. Widać po was, żeście nie zaznali głodu, bo wyglądacie doskonale. Teraz już wiecie, dlaczego sprawiamy pogrzeb szczurowi: żoneczki wasze poskładają w tym grobie jajka, a dziatwa, która z nich wyjdzie, będzie miała zapas smacznego mięsa. Czyście zrozumieli wszystko?

— Rozumiem — rzekł jeden z malców — nie mam jednak wielkiej ochoty do tej pracy i wolałbym sobie pofrunąć.

— No, no, pofruwajcie sobie trochę, jeszczeście tacy młodzi — powiedziała babcia.

Malcy natychmiast skorzystali z pozwolenia, rozwinęli skrzydełka i pofrunęli wesoło; bujali w powietrzu przez dzień cały i o zmierzchu dopiero powrócili do swojego pagórka.

— Czy robota skończona? — zapytał stary grabarz kaleka, który nie mógł już pracować i zawsze w domu zostawał.

— My nie byliśmy teraz przy robocie — odpowiedział jeden z malców — odbyliśmy bardzo wesołą wycieczkę. — A gdy stary grabarz spojrział na niego surowo, dodał spiesznie: — Babcia nam pozwoliła.

Gromadka robotników powróciła dopiero dnia następnego około południa. Wszyscy byli zmęczeni niezmiernie, bo pracowali bez odpoczynku przez dwadzieścia cztery godziny. Samiczki grabarzy poskładały jajka w grobie szczura, i wkrótce z tego grobu wyszła liczna gromadka młodych owadów, a te prowadziły dalej rzemiosło swoich rodziców i dziadów tak, jak je po nich prowadzić będą ich dzieci, wnuki i prawnuki. Wszyscy z ojca na syna są grabarzami.

M. J. Zaleska.

Objasnij znaczenie wyrazów: roztropny, sędziwy, młokos, czujny, tułów, skrobogryz.

120. ŻOŁĄDŻ I DYNIA.

Pewien chłop, Marek z imienia,
 Patrzył się pełen zdziwienia
 Na dynię, której tak cienka łodyga
 Tak ogromny owoc dźwiga.
 — Widnem jest ¹⁾—rzecze—że Stwórca pobłądził;
 Ja byłbym rzecz tę inaczej urządził,
 Tak na przykład porządkował:
 Byłbym tam w owej gęstwinie
 Po wszystkich dębach porozwieszał dynie,
 Owoc do drzewa stosował.
 Tę zaś żołądż, lichą, drobną,
 Tak do dębu niepodobną,
 Podły ²⁾ pokarm świni,
 Byłbym dał dyni.
 Szkoda, mój Marku, żeś tam w dawne lata
 Nie był przy stworzeniu świata:
 Niejedną radę byłoby się dało,
 I pewno lepiej niżli teraz działa.
 Gubię się w wielkim myśli moich tłumie,
 Zasnąć nie można przy takim rozumie.

¹⁾ Widoczne jest. ²⁾ Lichy.

Kiedy tymczasem pod dębem usiada,
 Kiwa się, chrapie... a wtem żołądż spada

Z tego dębu właśnie,

I tak srodze i okrutnie

Prosto w nos go utnie,

Że aż z bólu wrzaśnie.

— Cóż to jest? — rzecze —

Krew mi z nosa ciecze!

Maleńka żołądż, a tak mi dojadła!

Cóżby to było, gdyby dynia spadła?

Żle coś mówiłem: próżna to otucha

Poprawiać Stwórcę nawet w lichej dyni.

Wie Bóg, co robi, a najlepiej czyni,

Że głupich Marków nie słucha.

Franciszek Morawski.

Jaką wadę ma tu bajka?

Czy to jest opis, czy opowiadanie?

Co to znaczy: „Poznać głupiego po śmiechu jego“?

121. BIAŁOWIEŻA.

Białowieża leży w samym środku puszczy. Jest to ogromna wieś, mająca do 11 wiorst kwadratowych rozległości, zamożna, zamieszkała przez Mazurów, Litwinów i Rusinów. Nazwę swoją zawdzięcza zapewne wieś, jak i cała puszcza, jakiejś białej wieży, która niegdyś musiała się tu wznosić. Kiedy? — Nikt nie pamięta i, o ile mi wiadomo, niema również żadnych śladów piśmiennych ¹⁾.

Chaty w Białowieży są obszerne, porządne, podobniejsze do dworców wiejskich, niż do zwykłych chat wieśniaczych. Lud bogaty i oświecony. Podania tkwią w pamięci tych leśnych ludzi bardzo żywo. W części wsi, leżącej na drodze do Browarska, dochował się starożytny budynek, w którym

¹⁾ Papierów z opisami starymi.

niegdyś trzymano sieci łowieckie. Wysokie i szerniałe zręby jego wyglądają nader poważnie.

Cała wieś Białowieża jest to polny czworobok, otoczony ścianą lasów. Południowa strona stanowi brzeg uroczyska¹⁾, zwanego Browśk. Być może, iż nazwa ta jest skróceniem nazwy Bobrowsk, od bobrów, które dawniej licznie zamieszkiwały puszcę. Obecnie i pamięć o nich zaginęła.

Czarny bór, otaczający Białowieżę, stanowi starodrzew²⁾, wyniosły, ale zdrowy i jędrny. Pod spodem czysto: knieja nie podszyta³⁾, powietrze przesycone balsamem żywicznym. Jest to jedna z najpiękniejszych części puszczy, musi być jednak pilnie strzeżona od ognia, gdyż bór łatwiej podlega pożarom, niż las liściasty. Wracając z zamczyska, widzieliśmy w lesie olbrzymią kłodę, buchającą płomieniem. Ogień wydrążył ją i potworzył sobie wyloty, którymi strzelał wysoko w górę. Zdaleka jeszcze widzieliśmy wśród mroku łunę, jakoby z kuźni w lesie ukrytej.

W puszczy Białowieskiej żyją jeszcze stada żubrów, których już nigdzie więcej w Europie niema.

H. Sienkiewicz.

Zrób rozkład.

122. Mnie wszystko tak cieszy.

Mnie wszystko tak cieszy, co swojskie, co nasze,
I ludzie mi drodzy i mili,
I nie wiem, co miłsze nad wiejskie poddasze?
Nad ptaka, co w krzakach wciąż kwili?
Nad żonę, co w białej len przedzie świetlicy?⁴⁾
Nad ziemię, co zboże mi rodzi?

¹⁾ Uroczysko — rodzaj ogromnego kopca czyli mogiły. Sypano je w czasach przedhistorycznych i tu się zbierano na rady i różne obrzędy. ²⁾ Stare drzewa. ³⁾ Brak krzaków. ⁴⁾ Izba widna z oknem

Nad gwiazdkę, co w czystej kąpię się krynicy?
Nad miesiąc, co z lasu wychodzi?
I nie wiem, co miłsze nad ludzkie wejrzenie?
Co czystsze nad wodę przeczystą?
Co lepsze nad dobre u ludzi wspomnienie?
Co droższe nad ziemię ojczystą?

T. Lenartowicz.

123. JADWIGA.

Młoda dziewczica cudnego lica
Na polskim tronie zasiada:
Lecz białe czoło chyli tęsknica,
Twarzyczka mieni się bladą.
Bo tam daleko, w zagórskim kraju ¹⁾
Wilhelm pozostał kochany,
Według starego przodków zwyczaju
Na oblubieńca jej dany.
Lecz wnuko Piastów, spojrzysz przed siebie
Po starej Lechów krainie!
Zaliż²⁾ głos żaden nigdy do ciebie
Nie szeptał w dumań godzinie:
Oto nad Wisły falą błękitną
Płynie cień Wandy powiewny,
Śnieżyste lilje jak cudnie kwitną
Na złotych kosach ³⁾ królowy!
Ona uciekła w głąb jasnej wody
Przed cudzoziemca objęciem:
Twój Wilhelm piękny, twój Wilhelm młody
Obcej jest ziemi dziecięciem...
Tak do płaczącej w murach Wawelu
Mądra odzywa się rada;

¹⁾ W Austrii. ²⁾ Zaliż — azaliż — czyż. ³⁾ Warkoczach.

Aż wstała w mężnej dumy weselu
 Dziewica drżąca i blada.
 Bo już Jagiełło, książę Litwinów,
 Za świętym czeka jej progiem,
 Aby wśród Polski pobożnych synów
 Przed prawym skłonił się Bogiem.
 A Polska z Litwą w bratnim uścisku
 Za ich przykładem złączone,
 W wielkich chwil szczęściu, w złego uścisku,
 Szły, jak dwie siostry rodzone.

Marja Ilnicka.

Ile lat miała Jadwiga, gdy została królową polską? Dlaczego czcimy jej pamięć? Czy Jadwiga żyła dla siebie i swego szczęścia? Nie myśl, że królem być to wielkie szczęście i chwała, — to wielki trud i obowiązek. Niełatwo być dobrym królem.

124. Koronacja Jadwigi.

Obrząd koronacyjny odbył się już w kilka dni po przybyciu młodej królowej, jak się zdaje, w sam dzień świętej Jadwigi, w niedzielę, 15 października.

Zgromadzili się dnia tego z rana w zamku krakowskim wszyscy dostojnicy koronni, najprzedniejsi panowie świeccy i wszelkie obecne w Krakowie duchowieństwo. W niemałej jego liczbie odznaczał się przybyły z Węgier przewodnik i doradca Jadwigi, arcybiskup strygoński i legat papieski w Polsce, kardynał Dymitr, mający w swoim towarzystwie czanadzkiego biskupa Jana. Duchowieństwu polskiemu przodkowali: arcybiskup gnieźnieński Bodzanta i biskup krakowski Jan Radlica.

Po zmówieniu wstępnej modlitwy i pokropieniu Jadwigi wodą święconą, wyruszył dwór cały w uroczystym pochodzie ku pobliskiej katedrze. Przodem ciągnęli panowie i szlachta świecka, za nimi panowie duchowni: opaci

z pastorałami w infułach, biskupi w szatach pontyfikalnych, arcybiskup polski z arcybiskupem-kardynałem węgierskim. Po nich postępowali dygnitarze koronni z insygnjami władzy królewskiej: koronę niósł zwyczajnie kasztelan krakowski; berło — wojewoda krakowski, jabłko i szczerbiec — inni wojewodowie. Teraz wszystkie te klejnoty spoczywały w skarbcu węgierskim, a przed Jadwigą chyba inne jakieś dzierzono znaki.

Tuż za temi godłami, pod baldachimem złocistym, przez resztę panów i urzędników utrzymanym, szła czternaścieletnia królowa w stroju koronacyjnym, w kapłańskiej albie ¹⁾, tunice ²⁾, dalmatyce ³⁾, w sandałach złocistych, w kapie czyli płaszczu królewskim, z rozpuszczonymi włosami. Przy boku młodocianej królowej znajdowało się kilka niewiast dostojnych, mianowicie jedna i druga z księń i przeoryszek krakowskich. Towarzyszyły wreszcie orszakowi koronacyjnemu tłumy dworzan i szlachty z zapalonemi świecami, a zamykało go liczne grono trębaczy i flectistów, przygrywających ochoczo pochodowi.

Za wnijsciem do kościoła, gdzie w pośrodku na podniesieniu ustawiony był tron królewski, złożono insygnja królewskie na ołtarzu. Królowa, otoczona orszakiem dworskim, pozostała u stopni tronu. Rozpoczęła się msza święta. Przed odczytaniem Ewangelji przystąpiła królowa do ołtarza. Arcybiskup zapytał ją, czy chce zachowywać wszystkie prawa, swobody i przywileje narodu.

Odpowiedź królowej: „Chcę, tak mi, Boże, dopomóż!“ — miała wagę przysięgi. Poczem Jadwiga ukłękła, a arcybiskup w Oleju świętym namazał palec wielki, aby namaścić krzyże i prawe ramię królowej. Zastosowana do te-

¹⁾ Biała długa suknia, wdziewana przez księży pod ornat. ²⁾ Część sukni kobiecej, pokrywająca suknię. ³⁾ Rodzaj stroju uroczystego, bogatego, używanego przy koronacjach.

go suknia koronacyjna odchyliła się z łatwością dokoła ramion.

Skończywszy tę ceremonję, wziął arcybiskup koronę z ołtarza i włożył ją na skronie Jadwigi. Zagrzmiały wszystkie trąby i fletnie, wzniósł się stugłośny okrzyk na cześć nowej królowej. Po odczytaniu Ewangelji odprowadzono ją znowu do tronu, usłanego z kosztownych złotogłówów¹⁾, gdzie Jadwiga usiadła. Aby ciężka, dużymi kamieniami wysadzona korona nie gniotła zbyt długo skroni dziewiczych, podnieśli ją dwaj dostojnicy koronni nieco w powietrze i trzymali ją tak przez cały czas ponad głową.

Jak podówczas w kościele katedralnym, tak dziś przed oczyma naszymi siedzi Jadwiga w okazałości królewskiej na rzeźbie wielkich pieczęci majestatycznych. Widzimy tam w bardzo misternej robocie na tronie, w kształcie gotycko-rzeźbionego ołtarza, o dwóch szerokie rozwartych podwojach czyli niszach, tejże samej struktury, młodocianą, wyniosłą postać dziewczę. Pod rozświetlonym płaszczem królewskim rysuje się smukła kibić w obcisłym, aż pod szyję zapiętym stroju. Wysoka korona na głowie osobiwszym uderza kształtem. Składa się ona naprzód z szerokiej, kamieniami wysadzonej obrączki, z której wysokimi łodygami wystrzelają dokoła lilje rozkwitłe. Pomiedzy każdą parą kwiatów tkwi niższy pręcik liljowy, zakończony pączkiem zamkniętym. Roztworzyste kielichy wyższych lilji unoszą się ponad niemi nadobnym wieńcem u góry.

Jest to może owo „liljami ozdobne“ ubranie głowy, które sławna babka Elżbieta zapisała testamentem Jadwidze. Z pod korony spływają dokoła, według francuskiej onego czasu mody, długie szerokie wstęgi. Pra-

¹⁾ Złotogłów—materya przetykana złotem nitkami.

wa ręka trzyma wysokie berło, rozkwitające podobnie liljowym w górze kielichem. W niszach¹⁾ z prawa i z lewa stoją dwaj aniołowie. Obocza i podnóża tronu ozdobione są herbami głównych ziem polskich. Wiszą takie wizerunki pieczęciowe u pergaminów na jedwabiu zielonym i czerwonym.

W dalszym ciągu mszy, przy ofertorium, zstąpiła królowa z tronu i w szczerozłotem naczyniu złożyła chleb i wino na ołtarzu. Za przykładem królowej każdy z panów ofiarował, co łaska. Poczem wróciwszy na tron, pozostała tam Jadwiga aż do komunji kapłańskiej. Wtedy udała się jeszcze raz do ołtarza i, ukłękawszy w pokorze, przyjęła Ciało i Krew Pańską. Był to ostatni akt ceremonji kościelnej. Na zakończenie ozwał się znów gwarny chór trąb i fletni. Przy ich ciągłym odgłosie wrócił cały orszak koronacyjny tym samym porządkiem w bramy zamkowe. Czekala tam wszystkich świetna w obecności królowej uczta. Jadwiga zasiadła przy niej na przygotowanym u stołu tronie. Goście chwalili sobie w takim razie nad wszystko „obfitość wina i ryb“.

Karol Szajnocha.

125. Ranni na polu pracy.

(Opowiadanie ucznia).

Wzruszył mię bardzo okropny widok, na któryśmy dzisiaj patrzyli. Było tak:

Wyszliśmy ze szkoły, przystanęliśmy na chwilę z ojcem, kiedy nagle w głębi ulicy ukazał się tłum ludzi, spieszenie idących, zafrasowanych, przełękłych, mówiących półgłosem.

Wśród tłumu widać było straż miejską, a za nią dwóch mężczyzn, dźwigających nosze. Głupcy biegli ze wszystkich stron, a tłum zbliżał się ku nam.

¹⁾ Nisza — zagłębienie w ścianie.

Na noszach leżał wyciągnięty człowiek, blady jak trup, z głową zwieszoną na ramię, z rozwichrzonymi i zakrwawionymi włosami, a krew dobywała mu się z ust i z uszu. Przy noszach szła kobieta z dzieckiem na ręku, która wyglądała jakby obłąkana, i co pewien czas krzyczała:

— Nie żyje! Nie żyje! Nie żyje!

Za kobietą dreptał mały chłopczyzna z książkami pod pachą i głośno płakał.

— Co się stało? — zapytał mój ojciec.

— A to mularz — odrzekł ktoś z bliżej stojących — z czwartego piętra spadł przy budowie domu.

Tymczasem ludzie, idący z noszami, stanęli, a wiele osób odwracało oczy, nie mogąc znieść straszego widoku. Wtem ktoś mnie łokciem trącił.

Był to mój kolega, mularczyk, blady i cały drżący. Niezawodnie musiał myśleć o swoim ojcu. I ja pomyślałem także zaraz o nim. Ja przynajmniej, siedząc w szkole, mogę być spokojny, bo wiem, że mój ojciec jest w domu i pisze przy swoim biurku, zdala od wszelkiego niebezpieczeństwa; ale iluż to moich kolegów drzeć musi, wiedząc, że ojcowie ich pracują w tymże czasie na najwyższych rusztowaniach, albo w pobliżu rozpędzonych kół jakiejś maszyny, i że jeden ruch, jeden krok nieostrożny może ich o śmierć przyprowadzić! Zupełnie, jakby byli synami żołnierzy, bijących się na wojnie.

Mularczyk tymczasem patrzył, patrzył i drżał coraz mocniej; spostrzegł to mój ojciec i rzekł:

— Idź do domu, chłopcze! Idź prędko do ojca, przekonaj się, że jest zdrow i cały. Idź, dziecko!

I mularczyk poszedł zwolna, oglądając się za każdym krokiem.

Ale tłum poruszył się znowu, a nieszczęśliwa kobieta przy noszach wołała rozdzierającym głosem:

— Nie żyje! Umarł! Nie żyje!

— Ale żyje! Nie umarł! Nie! — mówili ludzie, żeby ją pocieszyć. Wszakże kobieta nie zważała na to, targając włosy w rozpacz.

Wtem usłyszałem głos oburzony:

— Śmiejesz się? — i w tej chwili zobaczyłem jakiegoś pana z brodą, który patrzył prosto w twarz Franti'ego, a Franti uśmiechał się jeszcze.

Wtedy pan z brodą krzyknął:

— Odkryj głowę, hultaju, kiedy niosą ranionego na polu pracy!

A tłum oddalił się już, i widać było w pośrodku ulicy długą smugę krwawą.

E. Amicis.

Którzy robotnicy najczęściej narażają życie przy pracy?

126. Kochajmy się, bracia.

Kochajmy się, bracia moi!

Niech nam zgoda serca spoi.

Od pałaców w chatki kmieci

— Kochajmy się! — niech głos leci.

Jakaż bieda mi dobodzie,

Gdy z mym bratem żyję w zgodzie?

Gdy z nim smutki i wesele,

Chleb i mienie — życie dzielię?

Kochajmy się tylko wzajem,

Każdy kącik będzie rajem:

Bo gdzie wzrasta miłość, zgoda,

Tam jest szczęście i swoboda.

Sila nie ma ani połowy tej potęgi, co miłość. Każdy czuje się szczęśliwy wśród tych, których kocha. Czy miło być z tymi, którzy nas nie lubią?

127. L A T O.

Bławatki, kąkole zbieleły od słońca,
Gdzieniegdzie się tylko niebieszcza,
A polne koniki we zbożu bez końca
Zwyczajną piosenkę szeleszcza.

Małeńka przepiórka już woła z pod prosa:
„Pójdźcie żąć, pójdźcie żąć! co żywiej,
Bo jeśli w pogodę nie puści się kosa,
To potem się słota sprzeciwi“.

Bóg zapłać, przepiórko, twój głosik kochany
Wesoło przypada mi w ucho,
Pójdź, koso, z komory, pójdź, sierpie, ze ściany,
Bo w chacie wieśniaka już krucho ¹⁾.

Pociescie się, dzieci, chleb będzie, chleb nowy,
Nasz chlebek kochany, dar Boży,
Matuchną upiecze i na stół dębowy
Jak słońce bochenek położy.

Wychodzim na kośbę wesołą gromadką,
Chłopaki, dziewczęta jak róże.
O chwalaż ci, Boże, za nowe, za latko,
Hej, chłopcy, dziewczęta, a nuże!

Brzęk-brzęku, brzęk-brzęku, pospiesznie, a chyłkiem,
Śmiech słychać: spłoszyli zajaca,
I oto się bielą nad rannym posiłkiem
Pod gruszą, co chroni od słońca.

A niebo tak równe, jakby je wygładził,
A słońce tak jasne, choć małe,
A w łąkach tak kwiecia, jak gdyby nasadził,
Czerwone, niebieskie i białe.

T. Lenartowicz.

¹⁾ Brak chleba, ubogo.

Gdzie ludzie więcej pracują w lecie: w mieście, czy na wsi? Jakież są prace wiejskie? Kto w mieście najwięcej odpoczywa? Jakież pożyteczne i przyjemne zajęcia mogliby mieć uczniowie podczas wakacji?

128. Mała żniwiarka.

Lato było, upały. W mieście gorąco i duszno, ale i na wsi jak w gorącym piecu. Słońce pali, bo też to ogień Boży, bardzo potrzebny, żeby wszystko dojrzewało, żeby się przygotował posiłek dla ludzi na długą i ciężką zimę.

Zuzia kąpała się w słońcu, jak ptaszek; w ogromnym kapeluszu cały dzień w ogrodzie, — a za ogrodem pole. Pole żółte od zboża, błękitne od chabrów, a czerwone od maku. Ach, bukiety, bukiety! Tak lubiła je zbierać. Idzie brózdą i zrywa chabry, maki, już nie może objąć, taki pęk ogromny, więc czerwona, spalona powraca na ganek i układa: to dla mamy, to dla babci, to dla p. Jadwigi, a tamten dla siebie.

Jak wesoło, kiedy bukiet jest w pokoju, — ale duży, ogromny!

Raz wybiegła za ogród, jak zwykle na pole, a tutaj żeńcy stoją z sierpami, śpiewają, ścinają kwiaty i dojrzałe zboże i kładą je na ziemi, jak nieżywe.

Zuzi żal się zrobiło i kwiatów i zboża, lecz podobiała jej się praca żeńców. Przecież nie była już taką malutką i wiedziała, że zboże zżąć trzeba koniecznie na chleb dla ludzi. Bez chleba żyć nie można.

Więc się rozweseliła i zaczęła patrzeć, jak żniwiarze pracują. Była tam jedna dziewczyna nieduża; Zuzia przy niej stanęła i widziała, jak żniwiarka ujmowała zboże lewą ręką, prawą błysnęła sierpem, i już garść leży na ziemi. I tak szybko i szybko, coraz dalej.

Zuzia nagle pobiegła co tchu do ogrodu, do mateczki, która siedziała pod drzewem.

— Mamo, ja też żąć będę!

Uśmiechnęła się mama i spojrzała na nią.

— Nie potrafisz, córeczko, to ciężka robota.

— Ach, bardzo łatwa, mamo, widziałam w tej chwili.

— Tak ci się zdaje, Zuziu — sierpa nie utrzymasz.

— Pozwól, mamo, chociaż spróbować, zobaczysz sama; choć chwilkę! choć trochę!

— Popróbuj, Zuziu, skoro masz taką ochotę; nawet jestem rada: przekonasz się, ile to trudu chleb ludzi kosztuje.

— A sierp, mameczko?

— Marysia ma nowy i nieduży, a nie poszła dziś do żniwa, poproś, niech ci pożyczy.

Za chwilę Zuzia z sierpem szła w pole. Taka była kontenta, taka dumna! Ho, ho! i ona żąć zboże potrafi.

Stała na ostatku, przy dziewczynce niebardzo dużej, schyliła się, ujęła garstkę kłosów małą rączką, ale musiała aż przykucnąć, aby je ściąć sierpem.

Żniwiarze się rozśmiali, a Zuzia poczerwieniała, lecz pomyślała sobie, że to tak pierwszy raz tylko.

Ale i drugi ciężko. Siedząc na ziemi, byłoby daleko łatwiej, — chociaż tylko się zdaje, bo i tak ciężko się schylić, a zboże się wyrywa zamiast ścinać, i takie jest nierówne, poszarpane.

Prawda, że to niełatwo, ale się nauczy; zaraz będzie lepiej.

Wzięła większą garstkę, lepiej machnęła sierpem i ciach! — prosto w rękę.

Krew zaczęła kroplami jak deszcz spadać na ziemię, a Zuzia zbladła bardzo, ale się nie rozplakała: wstyd jej było. Dziewczyna, co przy niej żęła, owinęła jej rękę fartuszką i powiedziała, że niebardzo skaleczona. Więc stała,

sama nie wiedząc, co robić: czy iść do mamy — czy jeszcze pozostać. Żąć nie mogła, lecz stała i patrzyła teraz na schylonych żeńców. I oni zmęczeni byli, pot im spływał z czoła.

— Musisz być zmęczona — rzekła Zuzia do dziewczyny, która obok niej żęła.

Dziewczyna się rozśmiała i otarła czoło.

— O, zmęczona, panienko, ale to nic nie szkodzi; choć się człowiek zmęczy przy pracy, to mu miło, kiedy wie, że z niej będzie coś dobrego. A z tego będzie chlebek! Dobrze ludziom, kiedy chleb mają. Oj, dobrze! Toć każdy kocha za to tę matulę-ziemię, co go dała taki piękny; toć za taką łaskę nie żal i pracy dla niej, dla tej naszej karmicielki.

Zuzia słuchała zdziwiona.

— To ty kochasz tę ziemię? — zapytała.

A dziewczyna aż głową pokiwała.

— A jakże jej nie kochać, panieneczko? Toć na niej żyjemy, toć od niej wszystko mamy z woli Boga: ona od wiosny do późnej jesieni karmi nas, i obdarza, i dogadza, a tylko co pod śniegiem troszkę zaśnie na wytchnienie, — więc jakże jej nie kochać? Oj, niewdzięczne to dzieci, co by takiej matuli nie kochały.

Kto najbardziej ziemię kocha? Dzieci miejskie prawie nie wiedzą o tem, że ziemię kochać można, i nie rozumieją tego. A wieśniacy kochają ziemię, jak matkę karmicielkę. Czy lekka jest praca żniwiarza?

129. PIEŚŃ DOŻYŃKOWA.

Otwórz nam, panie, dziedziniec,

Niesiemy ci piękny wieniec,

Plon¹⁾ niesiem, plon!

¹⁾ Zbiór.

Otwórz nam, panie, nowe wierzeje ¹⁾,
Bo się na polu już kłos nie chwieje,
Plon niesiem, plon!

Idzie chmureczka czarna, nie biała,
Idzie gromada, duża, nie mała,
Plon niesiem, plon!

Otwórz nam, panie, szerokie wrota,
Niesiem wianeczek z szczerzego złota,
Plon niesiem, plon!

A wyjdźże, panie, na ten ganeczek,
Przyjm od dziewczyny z plonu wianeczek,
Plon niesiem, plon!

130. NA WODZIE.

I.

Chłopcy postanowili dziś popłynąć na bezludną wyspę. W przeciągu kwadransa zdobyli zapalki, zabrali suchary, makuchy ²⁾, kompas, wydostali ze „schronienia“ łuk, nóż i siekierę-tomahawk ³⁾. Z łódką mieli więcej kłopotu: stała ona w małej zatoce, ocienionej olszyną i wierzbami płaczącymi, przytwierdzona na łańcuchu, zamknięta na kłódkę.

Podczas gdy Piotruś silił się zamek otworzyć, Mieczysław błądził, wystraszony, siedział na dnie łódki i patrzył, jak brat starszy napróżno w zamek stukał, gwóźdź w dziurkę od klucza wsuwał. Chciał nawet skobel oderwać, ale łódź, gwałtownie pchnięta, naciągnęła łańcuch, a kłódka otworzyła się sama. Kołysząc się łagodnie, wypłynęła z zielonej

¹⁾ Wierzeje — wrota z dwóch połów złożone. ²⁾ Makuchy — wyłoczyny z maku. ³⁾ Siekiera indyjska.

pieczary na słońce. Chyży prąd porwał ich natychmiast i uniósł na środek rzeki.

— Wiosło... wiosło... zakładaj na miejsce wiosło!... — krzyczał Piotruś.

Mieczysław chwycił ciężką łopatę i podniósł ją w górę, ale pod ciężarem jej zachwiał się i potoczył do burty ¹⁾; o mało nie wpadł w wodę. Wówczas Piotruś kazał mu zachować się spokojnie, sam wiosło założył i łódź z wielkim trudem zwrócił we właściwym kierunku. Ale z wiosłowaniem poradzić sobie nie umiał: łopaty za głęboko w wodę pograżał, łódź zwolna posuwała się naprzód.

Mieczysław siedział, jak skamieniały, stopniowo jednak się ośmielał.

— Mój Boże, jak to już daleko jesteśmy od brzegu, a naokoło, jak okiem rzucić, tak jasno, i woda pluska; słyszysz, jak ona pod deskami szeleści i łódź naszą łaskocze?... Sądzę, że od tego można dostać morskiej choroby.

— Głupiś, siedź cicho! Nie szanuję cię: przekonałem się, że jesteś tchórz! Jaka tam morska choroba na rzece! Lepiej zaczerpnij wody czapką i daj mi się napić, gdyż wiosła wypuścić nie mogę, rozumiesz przecie?

— Rozumiem... doskonale rozumiem.

— Tylko nie przechyl łódki i nie wpadnij do wody. Wiesz co: przesun się na sam dziób ²⁾, tam łódź zawsze mniej się kołysze!

Mieczysław ostrożnie powędrował na kolanach na wskazane miejsce, dostał wody, zaniósł bratu i sam się napił.

Tak mu się podobało w dziobie statku u burty, że już tam pozostał. Zwiesił rączkę nad wodą i bawił się, bryzgając dokoła perłowymi, mieniącymi się kroplami.

— Piotrusiu, ja cię kocham okropnie!... Tu wszystko

¹⁾ Burtę — krawędź statku lub łodzi.

²⁾ Dziób — przednia część statku.

takie ładne... Patrz: ryba! doprawdy ryba z ogonem... — wołał co chwila z zachwytem.

Piotruś rzucił wiosła i wytarł spotniałe czoło. Nęciło go zobaczyć rybę, ale czuł jednocześnie, że nie mógł zostać „samopas statku”. Najmniejsze niedbalstwo mogło spowodować rozbiecie. Więc obejrzał się tylko za siebie, na przeciwny brzeg, gdzie na stoku wzgórza wśród zieleni parku białiał ich dom. Jaki on teraz był inny! a jaki śliczny! U samej wody siedział Cezar i żałośnie poszcze kiwał, porząszając długimi uszami.

— Szkoda, żeśmy go nie zabrali. Byłby nam się przydał na polowaniu.

Stało się. Wracać już było za daleko. Błyszcząca lazuruwa szyba pochłaniała ich, jak przepaść. Drobne żyłeczki prądu i migotliwa łuska płytkich fal ogarniały ich ze wszęch stron.

II.

Łódź kołysała się ruchem miarowym, jak swobodnie puszczone huśtawka. Zielone brzegi uciekały w dal. Góra białe chmury karawaną dążyły ku słońcu. Między dwoma przestankami błękitów ukazała się nagle upragniona wyspa tajemnicza i chyżo zbliżyła się ku nim do ślizkiej kryształowej toni. Można już było rozpoznać pojedyncze drzewa jej lasu, ogniste pnie i konary niebieskawych sosen, blade kolumny brzóz z żółtawymi liśćmi i brunatnymi wiciami gałązek, ciemne, kędzierzawe kopuły¹⁾ olszyn. Bliżej, u samej wody, kołysane wiatrem, chwiały się smukłe, pozłociste i jak trzcina drżące zarośla. Miały listki kiściaste, podługne i popielate.

— Patrz, Mieczysiu: napewno „rokita“!

— Więc to jest rokita?! Jaka cudna!

„Rokito, rokito, co ci oczko podbito...”

¹⁾ Tutaj: sklepienie, utworzone z gałęzi.

Zaśpiewał Mieczys i dygnął jej tak ładnie, że o mało łódki nie wywrócił.

— Ostrożnie, niezgrabiaszu! Rozbijesz statek! Cała sztuka w tem teraz, żeby wylądować. Będę wiosłował, kierował, a ty łap i skacz na brzeg z łańcuchem.

— Co łap?

— Co się da.

— Doprawdy, jesteś dziwak. Mam łapać, kiedy nie wiem, co.

— A więc dobrze! Daj mi spokój!...

Piotruś zaczął manewrować łodzią, uderzając jednym wiosłem, to drugim; nagle silne wstrząśnienie zachwiało statkiem. Mieczys upadł na dno jak długi, Piotruś zleciał wtył ławki.

— Co się stało? pewnie skała podwodna!

Starszy chłopiec podniósł się, ale natychmiast przysiadł i oczy zasłonił. Uczuł w nich silny ból od słonecznego blasku, i wydało mu się, że pędzą z szaloną szybkością, gdy tymczasem stali na miejscu, a tylko wartki¹⁾ prąd kłębił się i pianą przelewał mimo łodzi.

— Ławica! — zawołał znacząco Piotruś. — Siedliśmy na mieliźnie.

— A co!? A ty mówiłeś łapaj! Co tu łapać, kiedy jeszcze nic niema, prócz nieba i wody?

— To nic, tu płytko.

— Więc co? Mówisz zagadki, a tu przecież i o moje życie chodzi.

— Tak, ale ty nic nie rozumiesz! Mielizna nie jest rozbieciem okrętu. Wyspa jest blisko, możemy się uratować, zbudowawszy tratwę z ławek i wiosel.

— Doskonale.

— Wcale nie. Najprzód spróbujmy łódkę zepchnąć

¹⁾ Szybki, bystry.

z mielizny; tak wszyscy robią. Siedź i pilnuj rudła ¹⁾, a ja zdejmę buty!

— I ja zdejmę buty.

— Zdejm, a tylko uważaj i łap, za co się da, gdy się zbliżymy do wyspy.

III.

Wody miał po kolana; była ciepła, czysta, a płynęła tak wartko, że muł, poruszony na dnie, uciekał z pod stóp, jak kłębuszki dymu, unoszone wiatrem. Piotruś miał wielką ochotę zatrzymać się dłużej w tem miejscu, zaledwo jednak dotknął łodzi, gdy, porwana prądem, popłynęła dalej. Mieczyś, rzuciwszy rudel, musiał go wciągnąć do łódki. Gdy wreszcie znaleźli się na miejscu, ogarnął ich nagle cień, zaszeleściły gałęzie, a dziób łodzi znowu o coś potracił, przy czem czapka Mieczyśia upadła na dno.

— Trzymaj!... łapaj!...

Dzieci wyciągnęły ręce, ale wszystko uciekło im z pod palców.

Prąd omijał wyspę, zaczerniało ostatnie wysokie podmywisko z pochyloną nad wodą garbatą wierzbą, w głębi zaiskrzył się od słońca obszar otwartej rzeki. Piotruś stanął na przodzie łodzi, zebrał siły i wpił się palcami w zielone warkocze starej czarownicy.

Pęd rzucił go na dno, ale chłopak wierzby nie puścił, łódka pochyliła się, fale zawrzały u burty i przycisnęły statek do samego brzegu. Mieczyś pomógł bratu zaczepić łańcuch o pień wierzby, poczem klapnął ją po zmurszałym ²⁾ grabie i rzekł pieszczotliwie:

— Pocziwa!

Wacław Sieroszewski.

Jacy byli ci chłopcy?

¹⁾ Rudel—ster. ²⁾ Spróchniały.

131. P O W Ó D Z.

Smutny to widok!... Szarpiąca fala
Zalewa wioski i pola,
Drzewa wyrwa, chaty rozwała —
Gorzka, och, gorzka swawola!

Jak sięgnąć okiem, woda i woda,
Spieniona, brudna, zmacona,
Ni się w niej przejrzy słońca pogoda,
Ni też gwiazdeczka złocona.

Zalane chaty, — ponad topielą
Strzech tylko widać poszycia,
Wązkim się pasem ścian skrawki biela,
I nigdzie dźwięku, ni życia.

Na resztkach chaty pies płynie głodny,
Słucha, lecz nikt go nie woła...
Boże, daj prędzej błękit pogodny,
Boże, zbudź życie dokoła!

Zofja Zacharkiewiczówna.

132. F I G I.

Pewien ogrodnik posłał p. Buffonowi, znakomitemu naturalistcie ¹⁾, dwie piękne figi, jako wspaniały okaz pierwszych fig, dojrzałych w Paryżu.

Mały Zano, któremu polecono odnieść figi, nigdy nie widział tego owocu. Wziął figę z koszyka, oglądał ją, podziwiał i... zjadł.

Pan B., widząc w koszyku dużo liści i jedną figę, domyślił się prawdy.

¹⁾ Uczony badacz natury.

— A druga figa? — zapytał.

— Druga?... ja nie wiem... — odpowiedział chłopak przeżony, ze łzami w oczach.

— Zjadłeś ją! Pierwsze figi! Chluba ogrodu! Owoce, godne królewskiego stołu! A ty, nicponiu, pozwoliłeś sobie wziąć jedną! Jakżeś to zrobił? Jakżeś to zrobił? — mówi pan B. zirytowany.

Wystraszony chłopczyną z płaczem bierze drugą figę i, patrząc w oczy panu B., kładzie ją w usta:

— Tak zrobiłem, proszę pana...

133. Młodość Jagiellonów.

I.

Jeszcze była noc głęboka, rozświecila ją tylko gwiazdy, iskrzące się na przezroczystym niebie, i śnieg na ulicach i dachach, od srogiego mrozu stężały; jeszcze ubogi wyrobnik zapominał we śnie o zimie i pracy, milczały dzwony kościołów, a już na krakowskim zamku w dwóch oknach przez zamrożone drobne szybki migotało słabe światło.

W rogu długiej i wysokiej izby, na której nagich ścianach krzyż Zbawiciela, kropielnica srebrna i dyscyplin kilka wisiało, z łóżka żelaznego powstał był mąż, blisko czterdziestoletni; skrzesał ognia, zapalił żółtą woskową świecę, ubrał się co prędzej w czarną odzież kapłańską, potarł palce o stężoną święconą wodę, namazał nią czoło, odmówił z pokorą i gorliwością krótką modlitwę, a stanawszy w środku komnaty, krzyknął wielkim głosem:

— Dzieci, wstawajcie! Niech będzie Bóg pochwalony.

W mgnieniu oka z pod ściany przeciwległej ozwały się głosy młode, pełne, i odpowiadały prawie razem: — „Na wieki!“ — a czterech dziarskich chłopaków, powstając co żywo na nogi, jęło się do ubioru. Najstarszy z nich mógł

mieć lat 15, najmłodszy lat 10; spali pokotem¹⁾, kolejną starzeństwą; dębowa podłoga, skóry niedźwiedzie, kozuchy zwinięte w trąbkę, łożem, posłaniem, przykryciem, wezgłowiem²⁾ im były. Pozdrowili z uszanowaniem kapłana, sobie nawzajem dobrego dnia życząc; przebaknąwszy coś o wznowionym mrozie, owinęli nogi szmatami, grube skórznie³⁾ na wierzch wciągnęli, odzież spodnią parcianą⁴⁾ przewiązali rzemiennym pasem, a potem z kolei szli do wielkiej marmurowej miednicy, pod oknem w ścianie umocowanej. Tam każdy podawał głowę pod leżącą się za odkręceniem śrubki zimną wodę, zanurzał twarz i ręce w obmarzłym naczyniu, tarł kark i uszy płynącymi bryłami lodu, poczem podskakując wesoło, biegał po izbie, by mu prędzej oschły włosy, twarz i ręce, i wyszła z nich kurząca się para.

— Dosyć tego — zawołał kapłan, widząc, że najstarszy do psot się bierze i najmłodszemu kawałek lodu na kark za koszulę chce wpuścić — dosyć; kozuchy na się i do pacierza.

Chłopcy, nie odrzekłszy ni słowa, wzięli natychmiast leżące na posłaniach zwinięte kozuchy, włożyli je na siebie i ukłękli na środku izby, obrócenie twarzami ku krzyżowi. Klął przed nimi kapłan, wszyscy złożyli dłonie i odmówili głośno i wyraźnie Modlitwę Pańską, Pozdrowienie Anielskie, Skład wiary, Dziesięcioro przykazań, zanucili pieśń Bogurodzica, a powtarzając słowo po słowie za kapłanem, modlitwę przed tron Przedwiecznego zaniesli.

II.

Wnet wszedł służbowy pacholik, a zabierając się do spiesznego uprzątnięcia izby i do rozpalania ognia na ogromnym kominie, oznajmił, że król pan przed wyjazdem na łowy śniadać z królewiczami przybędzie.

¹⁾ Jeden obok drugiego na podłodze. ²⁾ Poduszka. ³⁾ Skórznie — buty. ⁴⁾ Z grubego płótna.

Bo te chłopcy tak rano budzone, w zimnej izbie na twar-dem posłaniu śpiące, tak surowo chowane i tak posłuszne, byli to starsi synowie króla polskiego, Kazimierza Jagiellończyka: Władysław, Kazimierz, Jan i Aleksander, a kapłan, wychowanie ich prowadzący — Jan Długosz.

Zastawiono w srebrnych naczyniach litewski kapuśniak z wędliną i zrazy koronne z kaszą. Na pierwszym miejscu było kosztowne nakrycie dla króla, obok podobne dla Długosza; przy nich gąsiorek¹⁾ wódki i jasne kołaczki²⁾, a na końcu stołu — cztery jednakie miski iłżeckie³⁾, łyżki drewniane i po kawale razowego chleba. Stali książęta jak wryci przy tych nakryciach swoich, czekając, rychło król wejdzie; smaczny i ciepły zapach potraw rozchodził się po izbie, apetyt mieli niezmyślony, lecz czekali w milczeniu.

Klementyna Hoffmanowa.

Czy dziś tak chowają rodzice synów? Zastanówcie się, czem dzi-siejsi ludzie różnią się od tamtych podług tego opowiadania. Ilu synów miał Kazimierz Jagiellończyk? Kto ich wychowywał? W jaki sposób? Kto był Długosz?

134. NAJPRACOWITSZY.

Kmiecie z pewnej wsi zamierzali podać prośbę do króla Zygmunta Augusta. Napracowawszy się wielce nad samą prośbą, jeszcze większy mieli kłopot, jaki tytuł nadać królowi; byli to bowiem ludzie prości, którzy nigdy ani samego króla, ani jego dworu nie widzieli.

Gdy się tak frasują i głowę łamią, stary kmieć rzekł:

— Dajmy królowi ten przymiot, który jest najlepszym przymiotem w człowieku.

Rada w radę — jedni chcieli go tytułować najbogatszym, drudzy najmożniejszym, inni najpotężniejszym, ale zawsze wydawało im się, że ani bogactwo, ani możność, ani potę-

¹⁾ Duża butelka. ²⁾ Pieczywo. ³⁾ Wyrabiane w Iłży.

ga nie są najlepszymi przymiotami człowieka. Nakoniec starzec jeden rzekł:

— Nazwijmy go najpracowitszym, bo prawdziwie, kto jest pracowitym, ten wart więcej, aniżeli wszyscy bogacze i mocarze tego świata.

Rada trafiła do przekonania wszystkim, napisali więc na prośbie: „Do najpracowitszego króla naszego“ — i jeden z nich zaniósł ją do Krakowa, na zamek królewski.

Gdy król w obecności panów i senatorów prośbę odebrał i tytuł przeczytał, wielce się ucieszył, lubo panom wydało się to obrazą.

— Nie zgrzeszyli — rzekł — poddani nasi, gdy mi ten tytuł napisali. Proszę, panie kanclerzu, prośbę ich spełnić i to prędko. Zaiste żadnego snąć króla tak nie uczczono, jak ja dzisiaj uczczony zostałem.

Tytuł ten słusznie zresztą należał się Zygmuntowi Augustowi, gdyż istotnie był to król bardzo gorliwy w wypełnianiu swoich obowiązków. Pomimo wątłego¹⁾ zdrowia na obrady sejmowe pilnie uczęszczał; nieraz chorym będąc, gdy nie mógł iść, z łóżem do izby sejmowej²⁾ wnosić się kazał, a w ostateczności senatorów i posłów do sypialni swojej powoływał, żeby mu zdawali sprawę z narad i uchwał³⁾ sejmowych. Nie żałował też trudu na podróże po rozległym państwie litewsko-polskiem dla załatwienia ważnych spraw i łagodzenia zatargów.

Z „Upominku“.

Jaka jest wada, przeciwna pracowitości?

Wytłumacz przysłowia: „Bez pracy nie będzie kołaczy“, „Pańskie oko konia tuczy“, „Nie ma chleba ości, gdy się kto przepości“, „Kijem tego, co nie pilnuje swego“.

135. Lew i zwierzęta.

Gdy się wszystkie zwierzęta u lwa znajdowały,

Był dyskurs⁴⁾, jaki przedmiot w zwierzu doskonały.

¹⁾ Słabego. ²⁾ Radzono, sejmowano; sejm — rada. Postanowienia. ⁴⁾ Dyskurs — rozmowa.

Słoń roztropność zachwalał; żubr mienił powagę;
 Wielbłądy—wstrzemięźliwość; lamparty—odwagę;
 Niedźwiedź—moc znamienita; koń—ozdobną postać;
 Wilk—staranie przemyślne, jak zdobyczy dostać;
 Sarna—kształtną subtelność ¹⁾; jelen—piękne rogi;
 Ryś—odzienie wytworne ²⁾; zając—ręce nogi;
 Pies—wierność; liszka ³⁾—umysł w fortele ⁴⁾ obfity;
 Baran—łagodność; osieł—żywot pracowity.
 Rzekł lew, gdy się go wszyscy o zdanie pytali:
 — Według mnie ten najlepszy, kto się najmniej chwali.

I. Krasicki.

Co to znaczy: pyszałek?

Kto się łatwiej doskonali, człowiek pyszny, czy skromny?

136. Urszulka Kochanowska.

Już temu dawno, bardzo dawno, bo 300 lat z górą, kiedy żyła Urszulka Kochanowska.

Rodzice jej mieszkali w ładnej wiosce Czarnolesiu, w ziemi Sandomierskiej. Byli to bardzo zacni ludzie. Ojciec Urszulki, Jan Kochanowski, był najslawniejszym poetą swego czasu. Małenka Urszulka też umiała już mówić do wiersza i to tak, sama z siebie, chociaż nie miała jeszcze trzech lat.)

Było to dziecko śliczne, a dobre jak aniołek, rozkosz całego domu i największa pieśczoć i pociecha ojca. Z wesołą, uśmiechającą się twarzą biegała po domu, śpiewając, wyciągając do ojca rączki, kiedy zbliżył się do niej.

Pewnego razu przyjechał do Czarnolesia Jan Zamoyski, wielki hetman ⁵⁾ i kanclerz ⁶⁾, przyjaciel Stefana Batorego i pierwsza w kraju po królu osoba.

¹⁾ Wymukłość. ²⁾ Bardzo piękne, wyszukane. ³⁾ Lis. ⁴⁾ Fortel — podstęp. ⁵⁾ Najwyższy dowódca w dawnej Polsce. ⁶⁾ Najwyższy urzędnik królewski.

Po serdecznych przywitaniach i rozmowie prosił Kochanowskiego, by mu dzieci swoje pokazał. Matka namawiała Urszulkę, aby sama poszła przywitać hetmana jakim ładnym wierszykiem. Opowiadała Urszulce o nim różne rzeczy: jaki to możny pan i bogaty, jakie ma śliczne pałace i zamki, jak jest szanowany i ceniony przez króla, a jaki dobry, jak dzieci kocha, ale sam nie ma ani jednego, choć bardzo pragnąłby syna. Urszulka jakby tego wszystkiego nie słuchała, tylko obiecała być grzeczną. Matka wzięła ją za rękę i przyprowadziła do Zamoyskiego.

Kiedy ją hetman ujrzał, wyciągnął do niej ręce i zawołał: — A czemużście mi prędzej nie pokazali tego aniołka! — Wziął Urszulkę na kolana i pieścił ją czule. Ona mu w oczy patrzała, potem oglądała drogie jego suknie, dotykała rączką pięknych pierścieni i klejnotów, a gdy jej Zamoyski spytał, czy to piękne, odpowiedziała:

Pięknie, cudnie i bogato,
 Jak u nikogo na świecie,
 Ale gdybyć Bóg dał dziecię,
 Dałbyś wszystko za to.

Hetman zdumiał. — Któż cię takich wierszyków nauczył? — zapytał. — Nikt — odpowiedziało dziecię — ja sama z siebie mówię wierszyki. — A to ja nie będę szukał innych dzieci — mówił hetman — jeno sobie będę miał Urszulkę; daruję twemu ojcu te wszystkie śliczności, a ciebie wezmę do Krakowa.

Ale ona rzekła:

Nie, jam dziewczyna,
 Tobie trzeba syna;
 Mnie weźmie ktoś inny:
 Aniołek niewinny;
 Ja poproszę Boskiej Matki
 Dla ciebie o zdrowe dziatki.

Rozrzewniony ¹⁾ hetman ucałował mądrą dziecinę i oddał matce z życzeniem, aby ją Bóg zdrowo chował.

II.

W jakiś czas potem znowu zjechali się goście do Jana Kochanowskiego, a on staropolskim zwyczajem gościnnie ich podejmował. Gdy wszyscy się bawili, ojciec przywołał Urszulkę, pocałował ją w główkę i mówił: — Słowiczku mój, odezwij się nam. — Urszulka oparła się na ramieniu ojca i mówić zaczęła ślicznie, ale bardzo smutnie.

Wszyscy goście z zadziwieniem jej słuchali, ale ojciec bardzo się także zasmucił jej słowami, oddał dziecinę matce i zamyślił się głęboko.

Wieczorem goście się rozjechali, dzieci spać poszły. Matka, okrywając Urszulkę, dostrzegła, że główka jej i ciało bardzo rozpalone. Dobra dziewczeczka zachorowała. Matka niezmiernie się przestraszyła, całą noc nie spała i siedziała przy Urszulce, której coraz było gorzej. Mówiła słowa bez ładu, bez związku, a rodziców i siostr nie poznawała.

Przystawiono jej pijawki do główki, okładano zimnemi, mokremi chustami, dawano różne lekarstwa — nic nie pomagało. Urszulka coraz większą miała gorączkę, leżała bez przytomności, chwilami szeptała sobie jakieś wierszyki, to znów, obracając się do matki, całowała jej ręce i mówiła:

Nie płacz, matko, proszę,	Twoja luba córka
Ja idę do nieba	Oblecze się w piórka,
Na czyste rozkosze,	Z aniołkami siedzie.
Mnie zazdrościć trzeba.	Matko, źleż ci będzie

Mieć swego aniołka?

Potem zaczęła płakać i przywołała siostry; żegnała się z niemi, zwłaszcza z najmłodszą Hanusią, żegnała się ze służbą, ze wszystkimi. Matkę i ojca pociągała do siebie, całując im ręce i mówiąc żałośnie: — Już ja wam służyć nie będę; już nie zasiądę mego miejsca za stołem: muszę jechać

¹⁾ Wzruszony, rozczulony.

w ciemną i nieznaną drogę, muszę pożegnać wasz dom na zawsze.

Przez trzy dni choroba się wzmacniała, czwartej nocy nad ranem Urszulka zawołała głośno: — Jezus, Marja, Józef! — umilkła i skonała, a jej czysta duszyczka poszła prosto do nieba.

Oj, smutno było w Czarnolesiu po śmierci Urszulki! Zapłakany ojciec chodził i powtarzał sobie żałośnie: — „Już niema wdzięcznej dziewczeczki mojej, ujął ją sen żelazny, twardy, nieprzespany“.

Ten wielki smutek i żal po śmierci Urszulki wypowiedział w pięknych wierszach, a tak żałosnych, że się na płacz zbiera, kiedy się je czyta. Nazywają się Treny.

E. Estkowski.

Jak się nazywa człowiek, który pisze piękne wiersze? Jakich znasz poetów? Kogo uważamy za największego poetę polskiego?

137. TREN VIII.

Wielkieś mi uczyniła pustki w domu moim,
Moja droga Orszulo ¹⁾, tem zniknięciem swoim:
Pełno nas, a jakoby nikogo nie było:
Jedną maluczką duszą tak wiele ubyło.
Tyś za wszytki ²⁾ mówiła, za wszytki śpiewała,
Wszytkiś w domu kąciki zawždy ³⁾ pobiegała;
Nie dopuściłaś nigdy matce się frasować,
Ani ojcu myśleniem zbyt głowę psować ⁴⁾,
To tego, to owego wdzięcznie obłapiając ⁵⁾
I onym swym ucielnym śmiechem zabawiając.
Teraz wszytko umilkło, szczere pustki w domu,
Niemasz zabawki, niemasz rozśmiać się nikomu;
Z każdego kąta żałość człowieka ujmuje,
A serce swej pociechy darmo upatruje!

Jan Kochanowski.

¹⁾ Tak pisał Kochanowski. ²⁾ Wszytki — mówiono zamiast wszystkich. ³⁾ Zawsze. ⁴⁾ Łamać, psuć. ⁵⁾ Obejmując.

138. Trybunał¹⁾ lubelski.

Miasto Lublin należy do najpiękniejszych miast polskich. Otaczają go malownicze i żyzne okolice, domy ma piękne, ulice szerokie, starożytne kościoły i wiele zabytków przeszłości.

W ratuszu np. jest wielka sala, w której od czasów Stefana Batorego odbywały się sądy czyli trybunały. Dziś jeszcze pokazują w niej krzyż z odwróconym do ściany Chrystusem i z napisem łacińskim: „Będę sądził sprawiedliwość waszą” — i takie opowiadają o nim podanie!

Uboga wdowa wytoczyła sprawę bogaczowi, który zagarnął jej cały majątek. Sędziowie dobrze wiedzieli, że wdowie stała się krzywda, ale bogacz sypnął złotem i sprawę wygrał. Gdy odczytywano ten wyrok, biedna wdowa nie chciała wierzyć własnym uszom, a wkońcu, uniesiona gniewem, na cały głos wyrzekła:

— Żeby mię djabli sądzili, sprawiedliwszy wydaliby wyrok!

Ale sędziowie udali, że nie słyszą tych wyrazów, i rozjechali się do domów. Pozostali tylko na miejscu pisarze.

Noc zapadła, pisarze składali papiery, gdy na ulicy dziwny dał się słyszeć hałas: karety zajeżdżają przed trybunał, na salę wchodzą sędziowie, wszyscy strojni, zbrojni, o czarnych ognistych oczach i zwiechrzonych czuprynach, z pośród których wyglądają małe rożki, a z pod sukni za każdym widać długi ogon. Przybyli zasiadają na sędziowskich krzesłach, rozpierają się, zaczynają sądzić.

Pisarze potruchleli²⁾, z miejsca się ruszyć nie mogą.

Wtem djabeł, który zasiadł na najwyższym miejscu, każe powtórzyć sobie sprawę wdowy. Wystąpiło zaraz dwóch djabłów, niby adwokatów, na środek: jeden ze strony wdowy przedstawia rzecz całą, drugi broni bogacza. Wszyscy

¹⁾ Sąd. ²⁾ Przerazili się, zdrętwieli ze strachu.

siedzący w krzesłach słuchają z uwagą, potem zaczynają się naradzać między sobą.

Ale niedługo to trwało. Szatan, siedzący na najwyższym miejscu, wezwał jednego z prawdziwych pisarzy, kazał mu usiąść za stołem, wziąć pióro i pisać, co mu podyktuje. Biedny człowiek, nawpół umarły ze strachu, posłusznie spełnił rozkaz, a djabeł słowo po słowie dyktował mu swój wyrok. I według djabelskiego sądu nie bogacz, ale pokrzywdzona wdowa miała słuszość.

Wówczas to ukrzyżowany Pan Jezus, wiszący na ścianie sali, widząc, iż szatani sprawiedliwsi są od ludzi-chrześcijan, że zgrozy twarz zasmuconą odwrócił do ściany.

Djabli wyrok podpisali, wycisnęli na nim pieczęć, położyli na stole i znów z wielką paradą opuścili salę.

Wtedy dopiero pisarze, ochłoniwszy ze strachu, uciekli na miasto i tam opowiedzieli, co się stało.

Nazajutrz, gdy sędziowie przybyli znów do trybunału, znaleźli na stole ów djabelski wyrok, a na ścianie spostrzegli Chrystusa z odwróconą twarzą.

I tak do dziś dnia pozostał.

Jak sędzia powinien sądzić? Dlaczego sprawiedliwość jest konieczną?

139. Wilk i baranek.

Wilk i baranek, zdjęci¹⁾ pragnieniem, Stanęli jakoś nad jednym strumieniem;

Wilk żłopał u góry wyżej,

Baran zdaleka pił niżej.

Wilk, szczerząc zęby na jagnię młode:

— Baranie — mówi — macisz mi wodę! —

Baran, na takie złakłszy się zdanie,

Z pokorą rzecze: — Wielmożny panie!

Nie mogę tobie macić tej wody,

¹⁾ Przejęci, dotknięci.

Co z pod nóg twoich do mych ust płynie.

— A to ty — huknął — pogański synie¹⁾,

Beczałeś na mnie z swojej zagrody

Już przeszło temu, jeśli nie więcej,

Osiem miesięcy! —

A baran na to: — Lecz pan widzi przecie,

Że jeszcze wtedy nie byłem na świecie.

— To brat twój — rzecze — musi być nie inak.

— Alem ja tylko jedynak.

— Czy ty, czy brat twój, czy tam kto inny,

Cały wasz naród dla mnie złoczyńny.

Darmo! nie ujdiesz śmierci. —

Zgrzytnął i rozdarł jagnię na ćwierci.

Franciszek Dyjonizy Książnin.

Czy to jest postępowanie sprawiedliwe? Jakich ludzi można porównać z tym wilkiem? Nauka Chrystusa i sumienie każe opiekować się słabym. Kto gnębi słabszego, jest dzikim barbarzyńcą, choćby był uczonym i posiadał wszelkie talenty.

140. Miłosierny Samarytanin.

Pewien rabin zapytał raz Jezusa: — Nauczycielu, co mam czynić, aby dostąpić żywota wiecznego? — A Jezus odpowiedział: — Co napisano w zakonie? — On rzekł: — Miłuj Pana Boga twego ze wszystkiego serca swego, a bliźniego twego, jak siebie samego. — A Jezus rzekł mu: — Dobrześ powiedział, czyni to, a żyć będziesz. — Ale on chciał się usprawiedliwić i zapytał: — A któż jest mój bliźni? — Na to Jezus odpowiedział:

— Człowiek jeden, idąc z Jerozolimy do Jerycho, wpadł między zbójców, ci zranili go i nawpół umarłego zostawili. Szedł tą samą drogą kapłan, a ujrzawszy go, minął; potem Lewita²⁾ przeszedł koło niego; lecz Samarytanin³⁾, który go spostrzegł, ulitował się nad nim, wlał wina i oliwy na rany

¹⁾ Zamiast: synu. ²⁾ Kapłan z pokolenia Lewi. ³⁾ Samarytanie odłączyli się od Żydów i uważani byli za obcych.

jego i obwiązał je, a potem włożywszy go na bydlę swoje, zawiózł do gospody i pielegnował; odjeżdżając zaś, zostawił gospodarzowi pieniędzy, aby miał i dalszą o nim pieczę¹⁾. Któryż z tych trzech okazał się bliźnim owego, który wpadł między rozbójników?

A on rzekł: — Ten, który uczynił nad nim miłosierdzie.

A Jezus rzekł mu: — Idź i czyn podobnie.

Ks. Serwatowski.

Co znaczy ta przypowieść?

141. JARMARK.

I.

W ostatnim tygodniu wakacji wybrali się wszyscy na jarmark.

Jarmark to uroczystość. Mieszkańcy miast wielkich tego nie rozumieją, bo dla nich codziennie jarmark w każdym sklepie, ale wieśniak — czego nie kupi na jarmarku, na co tam nie popatrzy, tego już nie zobaczy i nie dostanie na wsi. To też jarmarki bywają w miasteczkach co tydzień, ale większe przypadają raz na miesiąc albo i jeszcze rzadziej, więc ludność zbiera się zdaleka, aby kupić i sprzedać, co komu potrzeba.

Nasza gromadka pojechała wozem, na którym usłano wygodne siedzenie. Kazio całą drogę powoził i śpiewał, Zosia mu wtórowała. Wesoło jej było pod tem jasnym słońkiem, choć w miasteczku ścisk, wrzawa, kurz i błoto, że precisnąć się trudno przez ulicę.

Bo czego tutaj niema? Konie, krowy i ludzie, to jeden tłum zbity, — a tu gęgają gęsi, tam kwiczą przeraźliwie świny i prosięta; kury zachowują się dosyć poważnie, o ile nie zaczepiają ich niegrzecznie, lecz nietrudno o wypadek najpoważniejszej kwoce: tu ją polano wodą, niewiadomo za co, a może i nie wodą, — tam upuszczono na nią jakieś dragi; — ludzie są gburowaci i niezgrabni.

¹⁾ Staranie, opiekę.

A tam znów martwy towar: narzędzia rolnicze: kosy, sierpy, grabie, widły, motyki, łopaty, statki gospodarskie, kobiałki ¹⁾ i kosze; przyodziewek: buty, chusty, perkaliki, stroje różnobarwne; wstążki powiewają z wiatrem; błyszczą obrazki w pozłocistych ramach; paciorki, świecidełka nęcą oczy dziewcząt, które patrzą na nie ze szczerem zachwytem.

Ale niewiele można kupić takich skarbów!

Nie brak i spożywczych zapasów: chleb, bułki i kukiełki ²⁾, cukierki, jakieś ciastka i pierniki, owoce i jarzyny, — masło, jaja i sery. A tam garncarz rozłożył kruchy towar: misy, garnki i rynki, piszczące kogutki i figlasy ³⁾. Tam żelazne wyroby — któżby wyliczył wszystko?

I porządek jakiś dziwny, „przeplatany“.

II.

Władzio co chwila upatruje miejsca, żeby przystanąć i szkicować ⁴⁾ typy i sceny. To mu się wszystko przyda do przyszłych obrazów. Teraz usiadł na jakimś wozie i rysuje. Jedni się śmieją z niego, drudzy patrzą z ciekawością, lecz on na to nie zważa: co chwila coś nowego go pociąga, czego nie widuje w Warszawie.

Zosia i Kazio z zapalem kupują; takby chcieli obdarzyć wszystkich swych przyjaciół, z którymi rozstaną się wkrótce. Andzia im towarzyszy i kupuje także, ale chciałaby skończyć z tem co prędzej i powrócić do domu. Nie mówi tego, lecz w duszy żałuje, że przyjechała na jarmark. Co tutaj ciekawego i co za przyjemność? Zaduch, kurz, tłok, i poco na to patrzeć? Czy to piękne?

— Nietylko piękne rzeczy poznać warto — perswaduje ⁵⁾ jej Władzio. — To bardzo zajmujące.

Władzio pewno ma słuszość, ale cóż — Andzia woli być w ogrodzie, niż w zakurzonej, spracowanej ciżbie ⁶⁾. Pomagałaby ludziom chętnie, lecz zdaleka.

¹⁾ Kosze z łyka plecione. ²⁾ Bułki, obwarzanki. ³⁾ Cacka. ⁴⁾ Rysować ogólny zarys. ⁵⁾ Przekłada, tłumaczy. ⁶⁾ Tłum.

Zosia inaczej czuje: rozmaitość ją bawi, zgiełk podnieca wesołość, lada drobnostka pobudza do śmiechu. Tutaj chłopci targują krowę, która patrzy na nich wielkimi oczyma, jakby chciała wyrozumieć, co ją czeka; tam gospodyni siadła obok stołka, który jej ktoś odsunął; innej kaczka z ręki uciekła i maszeruje pod nogami ludzi; jedna cieszy się, druga wyrzeka.

W koszyczku Zosi aż się mieni od paciorków, obrazków i wstążek; Kazio wybiera co lepsze koziki, rzemieńne pasy, biczyska i sznurki, znalazł także kilka książeczek, wydał wszystkie pieniądze i jeszcze pożyczył od Władzia.

Ba! kupowałby on i droższe rzeczy, gdyby tylko miał za co.

A tymczasem spotkał dwu towarzyszy i razem obchodzą cały jarmark dookoła: oni najlepiej pokażą mu wszystko, co dla nich tu zajmujące i ciekawe; Kazik dzieli ich wesołość i zachwyty.

— To są *prawdziwi* ludzie — mówi Władzio — nie po przebierani, jak w mieście. Szkoda, że wracać trzeba.

— Co ja jestem? — pyta Andzia sama siebie, siedząc cichutko na trzęsącym wozie, który szybko pomyka drogą. Wszyscy rozmawiają swobodnie, wesoło, śmieją się, zadowoleni z nowych wrażeń, a ona nie znalazła tam nic przyjemnego.

Smuci ją to i chciałaby brak serca dla jarmarku wynagrodzić troskliwością o rodzeństwo: wybrała najgorsze miejsce, szal ciepły oddała Zosi, serdaczek Jankowi, piastuje sprawunki Kazia, dosyć ciężkie, i przyrzeka Władziowi, że po powrocie do Warszawy będzie podług jego wzorów szyla przez całą zimę stroje ludowe, chociażby dla lalek, lecz z zachowaniem wszelkich cech odróżniających w ozdobach, barwie i kroju.

Jeżeli nie jest dobrą, będzie się starała być chociaż pożyteczną.

Jakie były upodobania każdego z tych dzieci? Które ci się najbardziej podoba? Co to jest jarmark? Czy byłeś kiedy na jarmarku i jeżeli byłeś, co na nim widziałeś?

Napisz w zdaniach: wrzawa, hałas, zgiełk, wrzask, szwargot, krzyk, harmider.

142. WRÓBEL.

Wróbel pstry, iż był jeden pomiędzy szaremi,

Ledwo się dotykał ziemi,

Tak był zhardział; rozumiał bowiem, iż nad niego

Piękniejszego

Natura wydać nie zdoła

Nietylko wróbla, ale i sokoła.

Gdy więc wszystkimi gardził, rzekł mu jeden z szpaków:

— Kto jest pierwszym wśród wróbli, nie jest pierwszym
[z ptaków.

I. Krasicki.

Jaki był ten wróbel?

Wymień wyrazy podobnego znaczenia co: zrozumiął.

143. WALENTY WĄS.

Walenty Wąs był sobie chłop, jakich wielu, tylko że chwał¹⁾, jakich mało.

Stefan Batory zwołał szlachtę na wojenkę, a Walenty wskok bieży do swego dziedzica.

— Wielmożny panie, weźmij mię z sobą na tę potrzebę²⁾—rzecze. — Mam ci ja zdrową rękę, a jak mi dacie jaką taką szablę, nie pożałuję trudu, a skropię nieprzyjaciela, jak się patrzy.

¹⁾ Zuch. ²⁾ Wojna.

Podobało się to dziedzicowi, jednakowoż odpowiedział:

— Dobrzeby to było, mój Walenty, ale co to będzie z twojem gospodarstwem, a żoną?

— Wielmożny panie, pierwsze wezwanie królewskie na obronę kraju, niż żona i gospodarstwo. Jużbym nie wytrzymał w domu i muszę, jako drudzy, iść na wojnę.

— Tęgi z ciebie człek — rzecze dziedzic — pójdziesz sobie do stajni i wybierz konia dziarskiego; znajdzie się i szablica, będzie co na drogę i do torby włożyć.

Pokłonił się Walenty Wąs panu do kolan i pobiegł co żywo do stajni, a nie minęła godzina, już siedzi na ognistym koniu i na wojenkę jedzie. Wąs mu się najeżył, czapka przekrzywiła, a szablisko brzęczy o żelazne strzemię.

Król Batory pędzi przed sobą nieprzyjaciela, za królem ciągnie rycerstwo, żołnierze, a Walenty jest między tymi, co z samego przodu lecą. Nieprzyjaciel uchodzi, aż zatrzymał się w wielkiem mieście, opasanem murem grubym, a wysokim.

— Tu się nie damy — powtarzają sobie — za murami nie nam i król Stefan nie zrobi.

Otoczył król Stefan miasto, ale mury grube, trudno je będzie zdobyć.

Suną zewsząd królewscy wojacy pod mury, a Walenty Wąs między piechotą idzie z toporem w rękę i zapaloną pochodnią.

— Hej, nie kryjcie się — krzyczy — za murami, ale wychodźcie w pole, jak się patrzy, bo was jak lisów z nory wykurzymy.

Lecz żołnierze nieprzyjacielscy na tę mowę nie zważają, nabijają strzelby, armaty i palą do wojsk królewskich. Świsnęły kule raz, drugi i setny, aż jedna dojechała Wąsa w prawą rękę. Zachwiał się na minutę, ale wnet gorszym gniewem się zapalił.)

— Ha! — krzyknie — czy myślicie, że tylko jedną mam rękę!

I skoczy naprzód, położy pochodnię pod wrota, chwyci topór lewą ręką i rąbie wrota na drzazgi, żeby się lepiej zajęły, — aż buchnęły wreszcie płomienie. Próżno nieprzyjaciół broni się i strzela, rąbie, spycha z wałów i kłuje, nasze wojska nie ustępują, wałą w płonące blanki¹⁾ i wdzierają się na nie. Wąs z ręką przestrzeloną wszędzie pierwszy.

Aż poddało się miasto i ustała bitwa. Król Stefan między szeregami jeździ na siwym koniu, dziękując najprzód Panu Bogu za zwycięstwo, a potem żołnierzom swoim za waleczność. Nagle przystanął przed Walentym Wąsem i spojrzął nań jasnym wzrokiem.

— Widziałem cię — powiada — podczas bitwy zawsze pierwszego pomiędzy drugimi; widziałem, jak cię kula uderzyła, a raniony szedłeś naprzód i bramę podpaliłeś. Jak się nazywasz?

— Walenty Wąs.

— Szlachcic, bratku?

— Chłop, miłościwy panie.

— Odtąd jesteś szlachcicem, jak ja królem, boć żaden lepiej od ciebie ziemi swojej bronić nie może.

Walenty ze wzruszenia i przemówić nie mógł, więc tylko nisko skłonił się królowi, który tak dalej mówi:

— Kto ma siłę i odwagę bronić swego kraju, kto za niego krew przelewa, nie żałując jej dla ojczyzny, szlachetną ma duszę, więc szlachcicem jest. Takich mi właśnie rycerzy potrzeba. Herb²⁾ i ziemię ci nadam po skończonej wojnie.

Tak mówił król Batory, a rycerstwo zawołało wielkim głosem:

¹⁾ Blanki — palisada, grube belki, któremi obwarowywano miasto.

²⁾ Znak szlachectwa.

— Niech żyje król Batory! Niech żyje brat nasz, Walenty Wąs, dzielny rycerz i obrońca kraju!

Co to znaczy: szlachcic, mieszczanin, chłop? Czem się zajmowała dawniej szlachta, czem mieszczanie i czem chłopci? Co to znaczy: stany?

144. Wesele Jana Zamoyskiego.

Każdy naród cześci pamięć zasłużonych mężów, których życie powinno być dla nas przykładem. Do takich mężów należy Jan Zamoyski. Służył on krajowi głową i ramieniem, t. j. walczył w jego obronie i prowadził go mądrą radą.

Życie upłynęło mu w boju i pracy, nie miał czasu dla siebie i nie myślał nigdy o własnych przyjemnościach. Gdy trzeba było gromić nieprzyjaciół, szedł zawsze pierwszy, nie żałując zdrowia, nie szczędząc własnych pieniędzy, dzieląc z wojskiem wszystkie trudy obozowe, chłód i głód nieraz, rany i zmęczenie. A gdy nie było wojny, myślał o tem, czego kraj potrzebuje, co dla niego zrobić można. Prócz wielu innych rzeczy, własnym kosztem założył w mieście swoim Zamościu Akademię czyli szkołę wyższą, aby młodzież polska miała się gdzie kształcić na rozumnych ludzi i kochających kraj obywateli.

Król Stefan Batory bardzo cenił Zamoyskiego, ufał jego radom, wdzięczny mu był za pomoc w rządach i, chcąc okazać, jak go szanuje i kocha, dał mu za żonę własną synowicę, Gryzeldę Batorównę. Żebyśmy mieli wyobrażenie, jak wówczas odbywały się weselne gody, posłuchajmy opisu tej uroczystości przez współczesnych świadków.

Na weselu był król, królowa Anna Jagiellonka, wielu książąt i posłów cudzoziemskich, senatorowie i biskupi. Tydzień trwały uroczystości i obrzędy, a przez drugi tydzień pan młody w swoim już zamku wyprawiał przenosiny. Podczas tych przenosin były na Rynku krakowskim „gonitwy“, to znaczy, iż rycerze walczyli z sobą tępą bronią, dla

okazania siły i zręczności; a potem „maszkary“, czyli pochód masek w malowniczych i oryginalnych kostjumach¹⁾. Król z królową i dwór cały patrzyli z okien na to widowisko.

Najpierw jechał na wozie pozłocistym jeden z możnych panów przebrany za Murzyna, z całym dworem w bardzo kosztownym stroju, a 8 trębaczy, też w murzyńskich szatach, trąbiło, stojąc na wozie.

Dalej szedł stoń ogromny, na którym była wieża, a z niej wyrzucano sztuczne ognie i rakiety.

Potem ukazał się wóz, ciągniony przez 24 godziny: 12 godzin były to dzieci białe ubrane, idące z prawej strony, a z lewej szło 12 w czarnych sukniach, usianych srebrnemi gwiazdami; wszystkie miały na głowach zegarki. Na wozie siedział Saturn, pogański bóg czasu, z siwą brodą i kosą w ręku, a za wozem szło Słońce i Miesiąc;—wszystko to połączone srebrnymi łańcuszkami dla okazania, że stanowi jedną całość.

Następnie wyjechał wóz, ciągniony przez 3 orły, osłonięty białym obłokiem (z waty i bawełny). Na wozie siedział Jowisz, pogański władca nieba i piorunów, i rzucał błyskawice. Skutkiem tego zapalił się obłok bawełniany, i sam Jowisz uciekać musiał.

Teraz ukazała się najwspanialsza część pochodu: na Rynku stanęła brama tryumfalna, a z niej zaczęło występować wojsko: piechota, trębacze, chorągwie, jazda i rycerze różnych pułków, giermkowie²⁾ i chorążowie³⁾, dalej trzy wozy wojenne, oznaczające trzy lata wojny, na nich wieziono podobieństwo zamków i miast zdobytych, zbroje i łupy wielkie. Ziemia Inflancka występowała w postaci kobiety z wieńcem zielonym na głowie, — potem wóz olbrzymi w cztery białe konie, otoczony niewolnikami i więźniami

¹⁾ Ubiorach. ²⁾ Młodzieniec, noszący oręż za rycerzem. ³⁾ Nie-sący chorągiew.

z ostatniej wyprawy, — wreszcie muzyka. Dokoła szły kobiety, niosąc lampy, w których płonęły wonności,—straż pochodu puszczała na cisnący się tłum strugi wody, zaprawionej pachnidłami.

Długo jeszcze ciągnął się ten wspaniały korowód¹⁾,—dopiero z zapadnięciem nocy rozeszli się znużeni i zachwyceni widzowie, i opustoszał znów krakowski Rynek, świadek odwieczny tylu chwil wielkich, pięknych i szczęśliwych.

Kto był Jan Zamoyski? Co o nim wiesz? Dlaczego szanujemy jego pamięć?

145. WESELE.

Od zapiecka do zapiecka
Idzie droga mazowiecka,
Od komina do komina
Na skrzypeczkach Stach wyrzyna!

Równem polem granie leci,
Wyszły na próg ze wsi dzieci;
Równem polem, niskim gajem:
— Kasię dzisiaj za mąż dajem!

— A któraż to panna młoda?
— Buzia u niej jak jagoda,
Gorset cudnie wyszywany,
Wianek rutą²⁾ przewijany.

— A i któryż to pan młody?
— Ustąp z drogi! Nie mąć wody!
Trzos³⁾ skórzany, ręka w biodra,
A u czapki wstążka modra!

¹⁾ Pochód. ²⁾ Roślina polna, używana przez dziewczęta na wianki. ³⁾ Trzos—worek skórzany nakształt pasa, do pieniędzy.

Na basetli Roch wygrywa,
 Śliczna druchna cienko śpiewa,
 Klaszczą swatki i z paradą
 Drabiniastym wozem jadą.

M. Konopnicka.

Co znaczą wyrazy: ślub, wesele, oczepiny?

146. Inwalid¹⁾ i skrzypek.

Pewnego wieczora w ogrodzie wiedeńskim biedny inwalid grał na skrzypcach, a wierny pies jego trzymał kapelusz, do którego kiedy niekiedy ktoś z przechodniów rzucił kilka groszy. Ale czas był brzydki, spacerujący spieszyli do domu, i pieniędzy w kapeluszu zebrało się niewiele.

Jakiś pan, elegancko ubrany, słuchał i ze współczuciem przyglądał się smutnej i wychudłej twarzy staruszka. Gdy ten, zmęczony, położył skrzypce na kamieniu i, ukrywając twarz w dłoniach, zapłakał, ów pan zbliżył się, dał mu złotą monetę i rzekł:

— Pożycz mi, proszę, skrzypiec.

Inwalid dał skrzypce, nieznajomy nastroił je starannie i powiedział:

— Bierz pieniądze, a ja będę grał.

I zaczął grać.

Przechodnie, których uderzył wygląd i talent artysty²⁾, stawali i słuchali. Ilość ich wzrastała. Wkrótce nie tylko miedź i srebro, ale i złoto sypać się zaczęło do kapelusza, który pies teraz z trudnością mógł utrzymać. Ktoś z publiczności zaproponował staruszkowi, aby wsypał pieniądze do torby. Kapelusz znów się napełnił.

¹⁾ Inwalid — stary lub kaleki żołnierz. ²⁾ Człowiek, znający jedną ze sztuk pięknych i władający nią doskonale.

Artysta zagrał melodję narodową, której wszyscy słuchali z odkrytymi głowami. Gdy skończył, położył skrzypce na kolanach inwalida i zniknął w tłumie.

— Kto to jest? — pytano zewsząd.

— To znany skrzypek! — zawołał ktoś z tłumu — trzeba, żebyśmy teraz spełnili nasz obowiązek względem starego żołnierza.

Jeszcze sypnęły się datki. Staruszkowi znów popłynęły łzy z oczu, ale teraz były to łzy wdzięczności i ukojenia.

Przekł. Z. S.

Jak nazwiesz tego artystę?

147. Nasza szkapą.

I.

Naszą szkapę niezmiernie kochaliśmy. Jak tylko zapamiętam, na świecie zawsze był ojciec, matka i szkapą. Felka potem dopiero bociany przyniosły, Piotrusia także, ale szkapą należała do rzędu tych istot, które są zawsze. Są, bo są. Wyobrazić sobie po prostu nie mogłem ani jej początku, ani też końca. Szkapą należała do nas, a my do niej; ani my od niej, ani ona od nas nie mogła się odłączyć. Było to tak naturalnem, że m zgoła nie pojmowałem innego porządku rzeczy. Kogoby nam brakło w naszej gromadce, toby brakło, ale nigdy szkapy. Toć to była cała nasza uciecha.

Kiedy ojciec do domu wracał, wybiegaliśmy — gdzie! aż na pół drogi, byle prędzej szkapę zobaczyć. Co który miał, to jej niósł i do pyska wtykał: kawałek chleba, ziemniak, znalezione w podwórzu skórkę cytryny.

I szkapą nas kochała bardzo. Zdaleka już rżała ku nam i przyspieszała kroku, strzygąc radośnie uszyszma; a kiedyśmy ją po szyi, po bokach klepali, rozumiała wybornie tę pieszczotę i, zwiesiwszy łeb swój ciężki, skubała nas po wło-

sach, po kurtkach. Piotruś zwłaszcza był jej ulubieńcem: po prostu rżała na ojca, żeby go wziął z sobą.

II.

Kiedy ją ojciec wyprzęgał, zaczynała się dopiero heca¹⁾. Natychmiast Felek wskakiwał na jej grzbiet kościsty, od starego chomąta obdarty, i podczas kiedy szkapa zanurzała swój łeb ogromny w głębinach uwiązane go u jej karku worka z chudą sieczką²⁾, on, przyklękawszy na jedno kolano lub stanawszy na jednej nodze, wywijał czapkę i krzyczał:

— A to jest sławny jeździec z sutereny, co nigdy nie traci miny. Nazywa się Feliks Mostowiak, herbu³⁾ gnat! Je chudy, ale chwat! Kto da więcej?...

Na to: — Kto da więcej? — wybuchaliśmy tak piekielną wrzawą, że aż ludzie wybiegali z oficyn.

Po Felku gramolił się na szkapę Piotruś, aleśmy go ledwie podsadzić mogli, tak go przeważała rozdęta brzuszyna. Szkapę z Piotrusiem oprowadzaliśmy w tryumfie po podwórzu, nie dając jej spokojnie sieczki owej spożyć, a Felek znów wywijał czapkę i wrzeszczał:

— A to jest Piotruś, herbu szczur! Ma dwie łaty i osiem dziur! Dwóch zębów nie ma na przedzie i na szkapie je dzie!... Kto da więcej?...

Skąd on tu „Kto da więcej“ przyczepił, nigdy nie odgadnąć nie mógł. Felek sam utrzymywał, że to już tak jedno do drugiego pasuje. I znów wybuchaliśmy szatańską wrzawą, jakby nas nie trzech, ale ze trzydziestu było.

— Przypatrza się, moi ludzie — mówiła, stojąc we drzwiach, tłusta sklepikarka — co też te bestje chłopaki Mostowiaków wyprawiają z tą kobyłą! A toć to czyste małpy z „menazierji“.

I chwytła się za boki, trzęsąc się od śmiechu, aż jej oczy w tłustej twarzy zupełnie zginęły.

¹⁾ Przedstawienie, widowisko. ²⁾ Rznięta słoma. ³⁾ Dawny znak rycerski.

— O, batem! batem! — skrzeczała ojcu, albo: „powiem mamie“, albo: „powiem szkapie“. Tej pogrożki nie lekceważyliśmy¹⁾ bynajmniej, i często gęsto dostał Piotruś jakiś kasek, szczególnie od Felka, byle tylko „nie powiadał szkapie“.

Nie mogliśmy bowiem znieść, kiedy patrzyła na nas smutnie jednym okiem, podczas kiedy na drugim, ślepem i zbiełałem, powieka o siwej rzęsie podnosiła się i opadała zwolna, jak gdyby z wyrzutem.

— Słysz, Wicek — mawiał Felek. — Co ta szkapa takiego w tem ślepiu ma, co tak świdruje?... A tobym ci wołał, żeby mnie ojciec paskiem przemierzył, niż kiedy ona tak patrzy... Do samego ci „honoru“ człowiekowi sięga...

III.

Szkapę czyściliśmy codziennie. Ale nigdy nie obeszło się przytem bez bijatyki o szczotkę i zgrzebło. Cośmy jej wtedy sierści nadarli! cośmy naplatali grzywę! Stała jednak szkapa cierpliwie, zmrużywszy zdrowe oko, i tylko kiedy niekiedy machała wypętlonym²⁾ ogonem, jakby się oganiała od baków.

Zaraz po Wielkiej Nocy zaczynało się pławienie szkapy. Jeszcze woda zimna była jak lód, a my już zawijamy porciecia i dalej do rzeki. Jaki to był tryumfalny pochód! Chłopaki z całej ulicy chcieli z nami lecieć, aleśmy ich odpędzali biczem.

Dopieroż szkapę wodą chlustać, dopieroż jej pęciny³⁾ i boki wycierać, dopieroż jej wygwizdywać, jakeśmy to u ojca słyszeli. Największa bieda była, kiedy szkapa, dla uwolnienia się od nas i naszej opieki, kilka kroków w wodę dalej poszła.

— Utopi się! Utopi! — wrzeszczał Piotruś i aż siniał i przysiadł na ziemię, obu się rękami brzucha własnego

¹⁾ Nic sobie z czego nie robić. ²⁾ Pozbawiony włosów, spłowiały. ³⁾ Dolna część nogi.

trzymając. Brnęliśmy tedy po nią i za ogon ku brzegowi
ciągnęli, poczem zziąłani, zmęczeni, wracaliśmy do domu,
szkapa naprzód, my za nią, mokrzy, ociekający wodą, jak
topielcy.

M. Konopnicka.

Jak można powiedzieć zamiast: szkapa?

148. DWA ŻÓŁWIE.

Nie żałując sił własnych i ciężkiej fatygi ¹⁾,
Dwa żółwie pod zakładem poszły na wyścigi.
Nim połowę do mety drogi ubieżeli,
Spektatorowie ²⁾ poszli, sędziowie zasnęli.
Więc rzekła im jaskółka: — Lepiej się pogodzić:
Pierwej niżeli biegać, nauczcie się chodzić.

I. Krasicki.

Jaka myśl zawarła w tej bajce?

Co znaczy spektator?

149. STEFAN CZARNIECKI.

Ni z soli, ni z roli, lecz z tego, co boli,
Zasłynął Czarniecki w narodzie;
Na trudy wytrwały, wśród szczęścia wspaniały,
Odważny w chwil ciężkich przygodzie!
Choć w dworku drewnianym, pod dachem słomianym,
W bielonej komnacie się rodził,
Po bojów plon krwawy, do zwycięstw i sławy
Książętom i panom przewodził.
Jak w mrozach północy wziął pierwszy hart mocy
Wśród chwały zwycięskich zapasów ³⁾;
Tak ufny i wierny, miłością pancerny ⁴⁾,
Nie ugiął się w trwodze złych czasów.
A w służbie ojczyzny nic rany, nic blizny,
Nic postrzał nie boli go srogi:

Choć strugą krew płynie, on pyta jedynie,
Czy Polska złamała swe wrogi ¹⁾.
I kiedy kraj cały wśród krwawej nawały ²⁾
Pod szwedzką się chyli przemocą,
On ducha nie traci: ukrzepia współbraci,
Aż łaska zstąpiła z pomocą.
Od Jasnej to Góry, jak słońce z za chmury
Błysnęła nadzieja i wiara;
A męstwo i siła wraz z niemi wróciła,
Odwaga wróciła się stara.
I rycerz wytrwały w tryumfie już chwały
Zgromione rozpędza precz wrogi;
A kiedy w pogoni kord zadrział mu w dłoni,
Toń morska nie zwróci go z drogi.
Lecz ciężkie to czasy, i krwawe zapasy
Wzywają do domu rycerza,
A wiek go nie łamie, nie nuży się ramię,
I serce młodzieńcze uderza.
Wtem, kiedy zwycięski przez trudy, przez klęski,
Stawiszczą gród stary zdobywa,
Twarz blednieć zaczyna, i widzi drużyna,
Że głowa pochyla się siwa.
Więc smutni go męże, złożywszy oręż,
Do chaty wieśniaczej unoszą:
A króla posłowie na słomy wezgłowie
Hetmańską buławę ³⁾ przynoszą.
Wśród śmierci już cienia błysk smutny spojrzenia
Z pod drżącej mu strzelił powieki;
Wtem zarżał koń wrony ⁴⁾, bohater strudzony
Snem cichym zadrzemał na wieki.

Marja Ilnicka.

Z kim walczył Stefan Czarniecki? Opowiedz, co wiesz o nim. Czy
można go nazwać bohaterem?

¹⁾ Trudu. ²⁾ Spektator—widz. ³⁾ Walka. ⁴⁾ Zbrojny.

¹⁾ Pod Monasterzyskami, gdzie kula rozerwała mu podniebienie.
²⁾ Najazd, zalew. ³⁾ Znak władzy hetmańskiej. ⁴⁾ Czarny, kary.

150. Szturm do Częstochowy.

Ledwie zabłysło na niebie, rozpoczęła się walka: pierwsze zagrały działa ¹⁾ szwedzkie. Nieprzyjaciół nie myślał zrazu uczynić w murach wyłomu, by przezeń do szturm się rzucić; chciał tylko przerazić, zasypać kulami kościół i klasztor, wzniecić pożary, podruzgotać działa, pobić ludzi, rozszerzyć trwogę.

Na mury klasztorne wyszła znów procesja, bo nie tak nie ukrzepiało walczących, jak widok Przenajświętszego Sakramentu i spokojnie z nim idących zakonników. Działa klasztorne odpowiadały grzmotem na grzmot, błyskawicą na błyskawicę, ile mogły, ile ludziom sił i tchu w piersi starczyło. Ziemia też zdawała się trząść w posadach. Morze dymu rozciągało się nad klasztorem i kościołem.

Co za chwile, co za widok dla ludzi, którzy nigdy nie patrzyli w krwawe oblicze wojny! Ów huk nieustający, błyskawice, dymy, wycia kul, rozdzierających powietrze, straszliwy chichot granatów, szczekanie pocisków o bruki, głuche uderzenia o ściany, dźwięk rozbijanych szyb, wybuchy pękających kul ognistych, świst ich skorup, chrobot i trzaskanie dyłowań ²⁾, chaos, zniszczenie, piekło!

W czasie tego ani chwili spoczynku, ani oddechu dla wpół zduszonych dymem piersi, coraz nowe stada kul, a wśród zamieszania głosy przerażające w różnych stro-
nach twierdzy, kościoła i klasztoru.

— Pali się! wody! wody!

— Na dachy z bosakami... ³⁾ płacht więcej!

— Wyżej dział, wyżej!... Ognia!...

Około południa dzieło śmierci wzmoгло się jeszcze. Zda-
wać się mogło, że gdy dymy opadną, oczy szwedzkie ujrzą

¹⁾ Armaty. ²⁾ Dyl — gruba tarcica, deska, bal. Dyłowanie — po-
most z dyłów. ³⁾ Bosak — rodzaj siekiery.

tylko stos kul i granatów ¹⁾ na miejscu klasztoru. Kurzawa wapienna ze ścian, obitych kulami, wzbijała się i, miesząc się z dymami, przesłaniała świat. Wyszli księża z relikwiami egzorcyzmować ²⁾ owe tumany, aby nie przeszkadzały obronie.

Huk dział stał się przerywany, ale tak gęsty, jak oddech zdyszanego smoka.

Nagle na wieży ozwały się trąby wspaniałą harmonją pobożnej pieśni. Płynęła z góry ta pieśń, i słyhać ją było naokół, słyhać wszędy, aż na baterjach ³⁾ szwedzkich. Do dźwięku trąb dołączyły się głosy ludzkie, i wśród ryku, świstu, okrzyków, łoskotu, grzechotania muszkietów ⁴⁾, rozlegały się słowa:

Bogu Rodzica, Dziewica,

Bogiem sławiona Maryja!

Tu wybuchnęło kilkanaście granatów; trzask dachówek i krokwi, a potem krzyk „wody!” — targnął słuchem i — znów pieśń płynie dalej spokojnie:

U Twego Syna, Hospodyna

Ziści nam, spuści nam!...

H. Sienkiewicz.

Co dało się zwycięstwa obrońcom Częstochowy?

Co to jest oblężenie, szturm, dział, dyl, bosak, bateria, muszkiet, egzorcyzm?

151. Kartka z raptularza ⁵⁾.

A za tego króla Jana,

Co to po łbach bił pogana,

Przyszły posły i rozjemce:

— Ratuj, królu! giną Niemce!

¹⁾ Pociski armatnie, rodzaj kul, prochem napełnionej. ²⁾ Egzor-
cyzm — zażegnawanie, wypędzanie złego ducha. ³⁾ Bateria — szereg
dział, ustawionych w jednej linii. ⁴⁾ Muszkiet — rodzaj strzelby.
⁵⁾ Raptularz — zeszyt do notatek dorywczych.

Turek na nas następuje,
Szyjom naszym miecz gotuje,
Naszym wieżom—księżyc w nowiu¹⁾,
Naszym dziatkom—chrzest z ołowiu.

— Jak zdobędą Wiedeń stary,
Krwawo poczną uczyć wiary,
I postawią ciężkie stopy
W samem sercu Europy.

— My siłami niemieckimi
Nie obronim naszej ziemi,
Zginiem—knechty²⁾ i rycerze...
Ratuj, królu-bohaterze!

Król się porwał rozgniewany:
— Wara—krzyknął—bisurmany!³⁾
Na to słońce, co nam świeci,
Trząść z buńczuków⁴⁾ waszych śmieci!

Miecz mi dajcie!... Hej, trębacze,
Niech otrąbion kraj obaczę!
Niech się Polska moja ruszy,
Mocnej dłoni, wielkiej duszy!

Niech husarja skrzydła bierze⁵⁾,
Niech stalowe lśnią pancerze,
Niech szablice błysną w ręku,
Luzak⁶⁾ z koniem, koń w obłęku⁷⁾.

Za trzy doby hufce ruszą,
I nie spoczne, klęę się duszą,
Aż oczyszcze dom sąsiada
Od szarańczy, co nań spada. —

¹⁾ Znak wiary mahometańskiej. ²⁾ Knecht — piechur niemiecki.
³⁾ Niewierni, pogardliwa nazwa mahometan. ⁴⁾ Buńczuk — ogon-
koński, na drążku zawieszony, służył za chorągiew Turkom i Tata-
rom. ⁵⁾ Rycerze polscy, zwani husarzami, nosili skrzydła u ra-
mion. ⁶⁾ Luzak—sługa obozowy, ciura. ⁷⁾ W zaprzęgu,—obłęk—rzecz
wygięta w łuk.

Posłyszała Polska króla:
Koń u żłobu uszy stula,
Rycerz ostrzy miecz stalowy:
— Kraju miły! bądź mi zdrowy!

Trąbią trąby w strony świata,
Głos po polu z wiatrem lata,
Szumi Wisła niespokojna,
Bory szumią: — Wojna! Wojna!

Za trzy zorze i trzy noce
Polska wiara¹⁾ Turków grzmoce,
Aż się szcerbi kosa śmierci
Na buńczukach z końskiej sierci...

Grzmiać harmaty, świszczą kule,
Z dziwem stają obce króle,
Wyciągnęli długie szyje,
Patrzą—jak to Polak bije.

Biały koń się prze pod Janem
Po tem polu, krwią zalaniem,
Strzał tureckich błyski chwytą
Na wzniesione w skrach kopyta.

Łysa-Góra²⁾ we mgłach stoi,
Noc z niej schodzi w czarnej zbroi,
Kładzie rękę na powieki
Nie do świtu, lecz na wieki.

Turek włosy targa w brodzie,
Król rumaka boki bodzie...
— Hej! na obóz! Naprzód wiara! —
Poszła koniom z nozdrzy para.

Jak grom lecą, jak grom wala,
Dziw, że świata nie obalą,

¹⁾ Wierni żołnierze. ²⁾ Kahlenberg pod Wiedniem.

Dziw, że się utrzymać mogą:
Koń kopytem, mąż ostrogą.

— Naprzód!

Wzięli namiot wroga.

Co miecz puścił, bije trwoga...

A po świetle okrzyk leci:

— Niechaj żyje król Jan Trzeci!

M. Konopnicka.

Stało się to w r. 1683.

152. Wydra pana Paska.

Drapieżne to zwierzątko, dość już dzisiaj rzadkie, poluje nie tylko na ziemi, lecz w wodzie, co ułatwia jej budowa nóg i ciała. Zgrabne, zwinne i sprytne, przeważnie żywi się rybami. Pozwala się oswoić, jak to widzimy z Pamiętników Jana Chryzostoma Paska¹⁾, szlachcica polskiego, który tak opisuje swoją wydrę:

„Najpierw ze mną sypiała w pościeli, a była tak ocheć dożna, że nie tylko w pościeli źle nie uczyniła, ale nawet pod łóżkiem nic, lecz poszła do jednego miejsca, gdzie jej stawiano skorupkę. Po drugie—stróż z niej był taki: w nocy Panie zachowaj do łóżka przystąpić; chłopcu ledwie pozwoliła z butów zzuć, a potem już się nie ukazuj, bo narobiła wrzasku takiego, że się musiałem obudzić, choćbym najtężej spał. W dzień rozwaliwszy się gdzieśbądź, tak spała, że choć ją na ręce wziął, to oczu nie otworzyła. Tak bestja konfidowała²⁾ człowiekowi! Surowej ryby, surowego mięsa nie chciała jeść, nawet kiedy w piątek lub w post uwarzono jej kurczę albo gołębia, a nie włożono pietruszki, nie chciała jeść. Rozumiała też, jak owo i pies: „nie daj ruszać!“ Kie-

¹⁾ Żył za czasów Jana Kazimierza, w w. XVII-ym. ²⁾ Ufała.

dy mnie kto poszarpnął za suknie, a rzekłem: „rusza“, — to skoczyła z krzykiem przeraźliwym, szarpała za suknie, za nogi, równo z psem, którego też jednego kochała i od niego wszystkiego się nauczyła. Innych psów nie lubiła; jak który do izby przyszedł, zaraz go wycięła, choćby był i najroślejszy chart.

Przyjechał do mnie pan Stanisław Ożarowski. Miał z sobą charcicę piękną i rzecze do syna: — „Trzymaj tę charcicę, żeby wydry nie zjadła“. Ja mówię: — „Nie turbuj się waś, nie da sobie to zwierzątko krzywdy uczynić, choć małe“. A on rzecze: „Co? waś żartujesz, ta charcica wilka się chwytą, liszka¹⁾ jej tylko raz ziewnie“²⁾. Jenó cośmy o czemciś poczęli mówić, aż wydra znowu wstała, co mi się układała była pod nogami, idzie cicho po podławiu i zaszła charcicy z tyłu; kiedy ją wytnie przez łydkę, charcica skoczy do drzwi, wydra za nią, gdy już widzi, że niema gdzie uciec, skoczyła na stół, chcąc w okno uderzyć, aż ją Ożarowski uchwycił za nogi.

W drodze wielka z nią była wygoda. Kiedy w post jadę gdziekolwiek mimo rzeki, stawu, a wydra była, to i sieci nie trzeba. Zsiadłszy z woza, zawołam: „Robak, hul, hul!“ — to poszła i wyniosła ryby, jakie ta woda miała, jedną po drugiej, aż było dość. Jużem tak nie przebierał, jak w domowym stawie, ale co przyniosła, to bierz, oprócz jednej żaby, bo i te często nosiła. Natenczas i ja i czeladź mieliśmy się dobrze, a czasem i gość się pożywił, jak się to trafia, stojąc w jednej gospodzie z kilkoma gośćmi. Takie z nią tylko w drodze było uprzykrzenie, że gdzieś jechał, wszędzie się dziwiono, i ludzie kupami schadzali się, właśnie jakby to było co z Indji przywiezionego“.

Król Jan III, dowiedziawszy się o tej wydrze, prosił usilnie pana Paska, aby mu jej ustąpił. Z wielkim żalem roz-

¹⁾ Lis. ²⁾ Piśnie.

stał się szlachcic z ulubionem zwierzątkiem i odesłał je do Wilanowa. Nie miał z niej jednak pociechy Sobieski, bo włóczącą się po ogrodzie ktoś zabił dla kosztownej skórki.

Do jakich zwierząt wydra należy? Czem się żywi? Czy przynosi jaką korzyść człowiekowi? Czy dużo jest tych zwierząt?

Jak można inaczej powiedzieć zamiast: ochędożna, wrzask, gdzie-bądź, uwarzono, najroślejszy, liszka, jeno, staw?

153. MARCIN KĄTSKI.

Wśród smutnej doli za króla Sasa ¹⁾,
Wśród nędz powodzi —

Nagle po kraju pierwsza radosna
Wieść się rozchodzi:

Znowu Podole i Ukrainę
Polsce zwrócono,

I w Karłowicach oddać Kamieniec
Postanowiono.

Przyjechał Kątski ²⁾. Wita go wściekły
Turecki aga ³⁾.

Dyplomatycznie ⁴⁾ gniew i nienawiść
W sercu przemaga.

Przy oglądaniu twierdzy wstępują
Do ciemnych lochów,

Gdzie pod ścianami czernieją beczki
Drzemiących prochów.

Ogląda Kątski z oficerami
Groźne piwnice —

Śledzą go pilnie dzikie, płonące
Turka żrenice.

¹⁾ Augusta II. ²⁾ Do Kamieńca. ³⁾ Aga—dowódca piechoty tureckiej. ⁴⁾ Układnie, podstępnie.

— No, chwała Bogu, — rzecze generał —
Zwycięża wiara —

Znowu powrócisz do swoich panów,
Warownio stara. —

Słyszac te słowa, zaśmiał się Turek...
Trzask... jasność blade...

Na beczkę prochu z ręki pohańca
Lont ¹⁾ nagle pada.

Zdrętwieli wszyscy na groźny widok,
Kątski się wzdryga,

A w mroku z głuchym, ponurym szmerem
Światelko miga.

Ku wyjściu bieży w strasznym popłochu
Pobladła świta... ²⁾

Nagle generał ku beczce skoczy
I za lont chwytą.

Trzyma go w dłoni, choć ogień kasa,
Do kości parzy,

I stąpa dalej z głową wzniesioną
W głąb korytarzy.

Zbladł mściwy aga. Spuścił żrenice
I wbił je w ziemię,

I szepnął cicho: — Giaurze ³⁾ przekłety,
Lew w tobie drzemie.

Leon Rygier.

154. Dworskie łowy.

Jak żyję na tym świecie, nic podobnego nie widziałam
i już podobno nie zobaczę; jakie te łowy były wspaniałe!
Wyjechaliśmy o godzinie dziewiątej z rana; aniby nikt nie

¹⁾ Lont—sznur napojony materiałem palnym,— służy do zapalania armat. ²⁾ Orszak. ³⁾ Pies niewierny; tak nazywali Turcy chrześcijan.

zliczył mnóstwa sań i koni, nasze jednak były najpiękniejsze i zaraz za królewskimi jechały. Królewicz ¹⁾ w myśliwskim stroju zielonym aksamitnym nadzwyczaj pięknie wyglądał. Pojechaliśmy daleko, daleko, za kościół Święto-Krzyski: tam między Szulcem ²⁾ i Ujazdowem, zsunawszy się z góry, na której leży cała Warszawa, jest równe pole ³⁾, zwykle zbożem zasiewane; to pole książę Radziwiłł ogrodzić kazał, i to ogrodzeniem przesłiczem, z herbami i napisami. Wpółśród tego pola wystawiono zieloną altanę żelazną, na wszystkie strony otwartą, rogatkami żelaznymi przeciw dzikiemu zwierzowi obronioną; wewnątrz jak na dole tak w górze zielonym aksamitem była wybita, a dno przednimi krzyżakami ⁴⁾ wysłane. Tam wszedł król z królewiczem dla przedniejszych panów było miejsce koło altany, niedźwiedziami zasłane, a dla dam i reszty panów amfiteatr, z obu stron ogrodzony; przyległe góry zupełnie okryte były ciekawym ludem. Tem piękniejszy był widok, iż zostawiający plac wolny koło altany, dalej wysadzono drzewami ulic kilkanaście; wysokie sosny wizerunek ⁵⁾ prawdziwego lasu przedstawiały.

Ledwieśmy przyjechali i zasiedli miejsca swoje, kiedy za danym znakiem z rogów i trąb myśliwskich z miejsc, gdzie zwierzęta trzymali strzelcy księcia Radziwiłła, puszczo-
no osiem łosiów, trzy niedźwiedzie, wilków dwadzieścia pięć i dwadzieścia trzy dziki. Psy wyuczone napędzały zwierza przed altanę. Ani podobieństwo opisać tego ryku, tej psów i dzikiego zwierza zajądłośc, krzyku niewiast, tej całej wrzawy. Król, strzelając z altany, sam ubił trzy dziki; pod wystrzałami królewicza padło kilkanaście zwierza,

¹⁾ Karol, ks. kurlandzki, syn Augusta III. ²⁾ Solec. ³⁾ Dziś Łazienki. ⁴⁾ Krzyżak — gatunek lisa, który ma na grzbiecie pręgi w kształcie krzyża. ⁵⁾ Obraz.

a niedźwiedzia jednego wziął na oszczep ¹⁾, co jest rzadkiej siły i zręczności dowodem; skórę jego będę miała pod nogi! Przeciągnęła się ta zabawa aż do czwartej po południu; rozdawano mięsiwa, ciasta i różne rozgrzewające napoje. Strzelców i strażników księcia Radziwiłła było 84, w barwę jego suto przybranych, ze strzelbą i dzidami. Prawdziwie każdy z łatwością mógł poznać, że bogaty i wspaniały książę królowi swemu ucztę i zabawę wyprawia. Bardzo wiele wierszy łacińskich i polskich napisano na to polowanie.

K. Hoffmanowa.

Jak się dzisiaj zapatrujemy na takie zbytkowne zabawy? Czy to było prawdziwe polowanie? Jaki jest cel rzeczywistego polowania? Czy wielki dowód odwagi strzelać z poza żelaznej kraty?

155. Jak to na Góralach.

Nasi karpaccy bracia górale
Siedzą w dolinach, co się zwą hale ²⁾;
Pod modre niebo góry się jeżą,
Śniegi tam zimą i latem leżą.
W nizinach szumią wody rozliczne,
Przy wodach bujne łąki przesłiczne;
Po skałach ciemne świerki się chwieją:
Jak zajrzysz ³⁾, góry w mgłach błękitnieją,
Tak ci tam rażno, tak nic nie trzeba,
Jakbyś naprawdę trafił do nieba!
Chłodne strumienie lecą w doliny,
Szumią po dołach, huczą jak młyny.

¹⁾ Oszczep — tu znaczy dźwąg z widłami żelaznymi, używany przy polowaniu. ²⁾ Hale — łąki wśród gór (w Tatrach). ³⁾ Gdzie okiem sięgniesz.

Kędys przed chatą, w ciemnym wąwozie
 Wesoły góral beczy na kozie,
 Cygan włóczęga brzęczy na drumli ¹⁾,
 A pies przy nogach, dziwiąc się, skomli.
 Nad Morskiem Okiem, nad stawem cichym,
 Jest wielka góra, co się zwie Mnichem;
 Kiedy w powietrzu ma się na burzę,
 To góra we śmie, jak mnich w kapturze.
 Ach, na góralach takie śliczności,
 Że się przypatrzeć naszej piękności:
 Za byłem góral w kawowej guni ²⁾,
 Śpiewając, biegnie z toporkiem w dłoni.
 Przez lato w górach barany pasie,
 A zwierza strzela w zimowym czasie.
 Góral nierady w dolinę schodzi:
 Z tak pięknej ziemi wyjść się nie godzi.

T. Lenartowicz.

Czy widziałeś kiedy góry? Jakże góry są w Polsce?

156. Wycieczka na Zawrat.

(Z dziennika Janka).

I.

Widziałem Zawrat! widziałem Morskie Oko! Wszyscy mówią, że już nic piękniejszego niema w Tatrach, a ja myślałem, że na całym świecie niewiele musi być piękniejszych rzeczy.

Było nas sześciu na wycieczce: my dwaj z ojcem, dwóch młodych ludzi ze szkół krakowskich i dwóch profesorów. Mieliśmy z sobą sześciu górali: trzech do niesienia rzeczy i trzech przewodników.

¹⁾ Drumla—proste narzędzie muzyczne, na którym gra się ustami. ²⁾ Gunia, cuha—sukmana góralska biała lub brązowa.

Przez Boczań i Królową Halę doszliśmy do Czarnego Stawu, ale przewodnicy nam powiedzieli, że jesteśmy tu dopiero na pierwszym piętrze naszej drogi, a dwa następne będą trudniejsze do przebycia.

Zaczęliśmy się więc piąć na drugie piętro po stromej, urwistej drodze, aż znów zatrzymaliśmy się na skale trawą porosłej a przewodnik Tatar, wskazując ręką w dół, powiedział:—Zamarzły Staw!—I zobaczyliśmy w głębi, wśród dzikich skał niewielkie jeziorko, prawie całkowicie pokryte lodem i śniegiem, tak, że pośrodku tylko świecił okrąg wody. Wszystko tu dokoła wygląda dziwnie ponuro. Na ciemnych, granitowych skałach płaty śniegu, ostre turnie ¹⁾ sterczą ze wszystkich stron jak mury jakiejś straszliwej fortecy.

— Gdzież my tu pójdziemy dalej?—zapytał ojciec—nie widać żadnej drogi.

— Droga się znajdzie — odezwał się Tatar, a Roj dodał wesoło: — Jenó niech się nie boją, my tu już dużo panów przeprowadzili bez wypadku, i ich, da Bóg, wyprowadzimy.

Mówiąc to, skinął na Tatara, i obaj poszli żwawo naprzód, a my wszyscy za nimi. Po chwili stanęliśmy u stóp ogromnej skały, w której był wielki wyłom, jakby szeroka szczyrba. To była niby droga, ale co za droga!

— A więc to tam pójdziemy? — zapytał ojciec, trochę niespokojny — ależ to jak na piec włożyć?

— Jenó niech się nie boją — powtórzył Roj — prościuteńko po tych piargach ²⁾ pójdziem aż na górę, tam, gdzie skała rozłamana, to Zawrat.

II.

Uszykowaliśmy się w następującym porządku: przodem szedł Tatar, podpierając się ciupagą ³⁾ i zręcznie postępując

¹⁾ Nagie szczyty skał. ²⁾ Piargi — drobne, sypiące się kamienie w górach. ³⁾ Ciupaga — laska z toporkiem żelaznym.

po kamykach; za nim profesor, dwaj młodzi uczniowie, potem Roj, podtrzymując drugiego profesora, trochę mniej odważnego, i wskazując mu ciupagę, gdzie można lepiej nogę oprzeć. Ślimak stanął przy ojcu, a mnie puścił przodem, mówiąc:

— Młodszy pan niech idą sami, ino śmiało, ciupażkę niech trzymają mocno, my już ze starszym panem zdążymy za nimi.

Cóż to za paradny był pochód! Górale jak kozy wdrapywali się pod górę, oglądając się ciągle, czy wszyscy idą w porządku, podtrzymując każdego, kto tylko zachwiał się przypadkiem, wskazując ciupagami, gdzie należy stawać. Mnie z początku kamyki usuwały się pod nogami, i ciągle mi się zdawało, że się stoczę na dół razem z nimi, ale Ślimak powtarzał raz po raz: — Ino śmiało! ino śmiało!

Więc puściłem się śmieiej równym krokiem, nie spuszczać z oka Roja, który szedł przede mną. Anim się obejrzałem, kiedyśmy wydostali się na górę i zobaczyli tuż przed sobą Zawrat, podobny do bramy, na oścież rozwartej.

Ale nie byliśmy jeszcze u kresu ¹⁾ drogi: przed nami sterczał głaz potężny, na który nawet górale wdrapać się nie mogą tak łatwo. To próg Zawratu. Musieliśmy go obejść z boku i, podtrzymując się rękami i nogami, pięliśmy się pod górę, coraz wyżej, coraz wyżej, aż stanęliśmy na samym szczycie, w samej bramie Zawratu.

Każdy odetchnął głęboko, ale nikt nie miał czasu narzekać na trudy, bo wszyscy chórem zawołali:

— Ach, jak tu ślicznie! jak ślicznie!

Przed sobą ujrzelśmy szeroką, otwartą przestrzeń i wszystkie piękności gór. W dolinach łąki się zielenią, migają jeziora; a na niebie rysują się wspaniałe wirchy ²⁾, które najpiękniej wyglądają, kiedy wszystkie ich kształty rozróżnić można.

M. J. Zaleska.

¹⁾ Końca. ²⁾ Szczyty.

Czy łatwo jest chodzić po górach? Po co wspinamy się na szczyty gór?

Objasnij wyrazy: hala, piargi, ciupaga, wirch.

157. POZDROWIENIE.

Z ponad wiślanych leci fal
Wiosenny, chłodny wiatr,
Leci ku mojej ziemi w dal,
Ku śnieżnym szczytom Tatr.
Wichrze! nad wzgórze, pola nieś
Me pozdrowienie stąd,
Rodzinną moją pozdrów wieś
I dunajcowy prąd.
Przydrożne wierzyby, smreków ¹⁾ las,
W ogródkach każdy kwiat,
I wszystkie łąki pozdrów wraz,
I ludzi z wszystkich chat.
I do tych śnieżnych skał się zwróć,
Ku stawom, halom gnaj,
I pozdrów mi po tysiąc kroć
Mój cały górski kraj.

K. Tetmajer.

Jakie uczucie ten wiersz wyraża? Czy górale bardzo kochają swój kraj?

158. O R Z E Ł.

Orzeł, królem ptaków zwany, należy do najwspanialszych drapieżników. Ma ciało silnie zbudowane, głowę dużą i dobrze ukształtowaną. Dziób mocny i długi, górna szczęka opatrzona u nasady ²⁾ żółtawą błoną, t. zw. wosków-

¹⁾ Świerk górski. ²⁾ Osada dzioba w kościach głowy.

ką, w której pomieszczone są otwory nozdrzy: szczeka ta jest silnie zakrzywiona haczykowato. Oczy wielkie, żywe, głęboko osadzone. Skrzydła szerokie i długie, niektóre bowiem z lotek sięgają aż do końca ogona, a ten jest średnio długi, szeroko i równo ścięty. Nogi silne, aż do palców opierzone. Palce cztery, z których trzy zwrócone naprzód, jeden wtył; szpony wielkie, ostre i silnie zakrzywione.

Największym i najsilniejszym z europejskich gatunków jest orzeł przedni, dosięga bowiem od 80 do 95 centymetrów długości. Szyja i kark tego ptaka są rdzawe lub płowe, reszta upierzenia białawo-brunatna, ogon najczęściej biały, ciemno-brunatnym pasem zakończony. Ubarwienie jednak tego orła jest zmienne, niektóre osobniki są całkowicie ciemno-brunatne.

Orzeł jest pospolity w okolicach górzystych, przebywa także w lasach. Najbardziej lubi się osiedlać w miejscowościach, obfitujących w skały strome i niedostępne. Obrawszy sobie pewną okolicę, przez bardzo długi czas trzyma się jej uparcie. Żyje parami, parami też zwykle poluje na zdobycz.

Lot orła jest piękny i majestatyczny, chód atoli niezręczny. Ptak ten ma wzrok doskonały: z wielkiej wysokości spostrzega zdobycz i, upatrzawszy ją sobie, spuszcza się na dół po linii spiralnej¹⁾, zataczając coraz mniejsze koła. Na łup rzuca się nagle i z wielką siłą wpija węń potężne szpony. Napada zające, kuny, jagnięta, lisy i t. p., a także różne ptaki. Połyka wraz z mięsem pióra, włosy, kopyta i t. d. Części te nie zostają strawione, lecz zbijają się w żołądku orła w mniejsze lub większe masy kuliste, które później zostają zrzucane; to samo spostrzegamy u sów i innych ptaków drapieżnych.

¹⁾ W kształcie śruby lub ślimaka.

Orzeł zakłada gniazda w puszczech leśnych na wierzchołkach drzew najwyższych, w górach zaś najczęściej na szczytach skał niedostępnych; gniazdo buduje z gałęzi i chróstu, wyściełając je porostami, drobnymi gałązkami i t. p. Jest ono dosyć płytke, ale średnica¹⁾ jego dosięga od jednego do dwóch metrów, więc dochodzi stosunkowo do olbrzymiej wielkości.

Młode pisklęta, okryte gęstym szaro-białawym puchem, są bardzo niedołężne, przez dłuższy czas pozostają w gnieździe, a oboje rodzice przynoszą im pokarm i otaczają je wielką pieczołowitością.

Zrobić rozkład i opowiedzieć. Zwrócić uwagę na dokładność opisu. Znaleźć wyrazy przeciwnego znaczenia, co: silnie, duży, dobrze, długi, górny, żywy, głęboki, szeroki, koniec, naprzód, ostry, biały, zmienny, pospolity, piękny, dół, nagle, olbrzymi, młody, pieczołowitość.

159. Orzeł i żóraw.

Witaj — rzekł orzeł — żórawiu, z podróży,
Twój powrót cieszy i wiosnę nam wróży;
Usiądź, żórawiu, na bliższych zagonach,
Powiedz, coś widział w cudzoziemskich stronach.
Ci, co tak daleko lecą,
Zwykle korzystają nieco;
I z twojej pewnie będziem mieli łaski
Nowe poprawy, nowe wynalazki:
Jak żywność chować,
Gniazda budować,
Wroga unikać,
Jak się czubić... i jak zmykać...
— Stój — przerwie żóraw — stój, stary gaduło!
Cóż ci się we łbie usnuło,
Że się każdy trudzi lotem,
By was uczyć za powrotem?

¹⁾ Linja, łącząca przeciwległe brzegi okręgu koła.

Przeleciałem cudze kraje,
Bo tak nasze chcą zwyczaję,
A nie po to, by się męczyć,
Wszystko śledzić, siebie dręczyć;
Lecz mądrzej chodzę, rezolutniej ¹⁾ krzyczę,
To umiem, tego uczyć ci się życzę,
A poznasz wkrótce, że te wasze baśnie...

— Nie kończ! — orzeł wrzaśnie —

Niech cię sępy ²⁾ porwą w sztuki

Za te myśli i nauki;

Niech na nieszczęście do swych gniazd nie wraca,
Kto pamięć o nich na chwilę utracą;

Kto niebaczny ³⁾ na przykłady,

Przynosząc z sobą pozbierane wady,

Zbiór tylko cudzych śmieszności nam stawil —

O jakże wiele jest u nas żórawi!

Aleksander Fredro.

Komedjopisarz polski w. XIX-go.

Kogo oznacza orzeł, kogo żóraw? Jakie jest znaczenie tej bajki?

160. Króliki starego Macieja.

Maciej ogrzał się słońcem, zakończył pacierze
I już się do swojego gospodarstwa bierze.
Wyniósł traw, liścia, usiadł przed domem i świsnął.
Na ten świst rój królików z pod ziemi wytrysnął:
Jako narcyzy, nagle wykwitłe nad trawę,
Bielą się długie słuchy, pod nimi jaskrawe
Przeświecają się oczki, jak krwawe rubiny ⁴⁾,
Gęsto wszyte w aksamit zielonej darniny.
Już króliki na łapkach stają, każdy słucha,

¹⁾ Śmieiej. ²⁾ Ptaki drapieżne, żywiące się padliną. ³⁾ Nie-
zważający. ⁴⁾ Drogi kamień czerwonej barwy.

Patrzy: — nakoniec cała trzódka białopucha
Bieży do starca, liśćmi kapusty znęcona,
Do nóg mu, na kolana skacze, na ramiona.
On sam biały jak królik, lubi je gromadzić
Wkoło siebie i ręką ciepły ich puch gładzić;
A drugą ręką z czapki proso w trawę miota
Dla wróblów. Spada z dachów krzykliwa hołota.

A. Mickiewicz.

Dlaczego króliki garnęły się do starego Macieja? W jaki sposób
należy postępować ze zwierzętami, żeby je oswoić? Do czego tu poeta
porównywa uszy królików? ich oczy? darninę?

161. Huta żelazna w nocy.

I.

Huta żelazna w Dąbrowie, widziana w pogodną noc
księżycową, robi tak potężne wrażenie, że z żadnym innym
widokiem porównana być nie może. Trzy piece, rzędem
za sobą stojące, tworzą jakby jedną całość. Zdaleka, w kłę-
bach pary, zdaje się ona być ogromną basztą wielkiego
zaczyska. Okalające ją budowle — to jakby tu i owdzie
pozostałe zręby po wspaniałych gmachach, dopełniających
szkielet rycerskiego grodu. Szeroki kanał, napełniony wo-
dą, otacza mury od strony północnej. Szukasz mimowolnie
zwoodzonych ¹⁾ mostów, po których zbrojne hufce wjeżdża-
ły do tego bajecznego zamku. Tumany mgły układają się
w fantastyczne obrazy: złudzone oko widzi w nich wojska
skrzydlatych postaci, smoki potworne. A całe zaczysko
żyje, chociaż z za gęstych dymów i par życia tego widzieć
niepodobna; żyje, bo jęczy, pryska, dzwoni, szczeka, jakby
poza tajemniczemi osłonami odbywały się tam zapasy ol-
brzymów. I wygląda jak słup ofiarny, palący się przez
wieki, ciągle, nieustannie. To nie jeden zamek, to sto

¹⁾ Które można podnieść.

zamków, tysiąc zamków, wszyscy rabusie znieśli tu ślady swych zbrodni, by je zniszczyć w piekielnem ognisku.

Nagle, od wschodniej strony zaczyna padać deszcz iskier, deszcz ten zamienia się w ognistą kaskadę¹⁾; cały gmach drży, huczy, wstrząsa się, jak gdyby ziemia pochłonać go miała. Trwa to chwilę. Potem przychodzi uspokojenie: ofiara nasyciła potwornego smoka, — spoczywa on pozornie, bo ot! wybuchnął całą rzeką ognia, którą nagle zionął od północy. Rzeka płynie nieprzerwanym prądem, wzbiera, rozlewa się; płomień liże stopy olbrzyma, a olbrzym znów drży, znów szarpie swe wnętrzności i wybucha w górę taką kolumną ognia, że horyzont wkoło zabarwia się czerwono, światło księżyca blednie, i lekkie, mgliste postaci uciekają spłoszone. Potwór wyłania się z oparów i dymów, czar znika... Tak, to tylko huta, wielka fabryka żelaza, nie zjawisko zaczarowane, — a jednak czarowne, po tysiąc razy czarowne!...²⁾.

II.

Druciarnia jeszcze ciekawszy przedstawia widok. Żelazo, doprowadzone do odpowiedniej cienkości, nawijane bywa na rodzaj motowidła i wyrzucane następnie w formie wielkich wieńców ognistych, które stygną, czekając na zacierające je wózki.

Huta drży, jęczy, dudni, parska. Wieńczą ją w górze płomienie i światła elektryczne, a tu z jej wnętrza wydobywa się naraz tysiąc ognistych węzłów, jakby błyskawic, przerywających powietrze. Biegają one świetlanymi zygzakami w różnych kierunkach. Domyślić się łatwo, że to drut rozpalony. Tak, to drut; a wśród ciemności nie widać robotnika, który dla ostudzenia pochwycił zwój i biega

¹⁾ Wodospad. ²⁾ Huta dąbrowska od tego czasu dużo straciła uroku przez zasypanie okalającego ją od północy stawu i przez wzniesienie budowli, które zasłoniły widok na zlew żelaza.

z nim, skręcając na motowidle¹⁾. Dojrzysz tylko nie płomienną, jak wije się, kurczy, posuwa; za nią druga, dzieściata, setna, we wszystkich kierunkach, załamując się w zygzaki; jest to jakby szalony taniec błyskawic, który się kończy wielkim ognistym kołem. Kół przybywa, padają z brzękiem na ziemię, zamieniają się w olbrzymie cierniowe wieńce, odrzucane na bok z lekceważeniem; na ich miejsce przyjść muszą nowe ogniste zwoje, aż i te szernieją kolejno.

Obok znów inna praca. Tu jakąś czarodziejską mają układać księgę. Karty jej zsuwają się z hałasem z walcowni²⁾, olbrzymie, ogniste, jak wszystko, co z tego pieca wychodzi. Karta za kartą pada na ziemię, podnoszą je robotnicy obcęgami i podkładają pod wielkie nożyce, aby im nadać odpowiednie rozmiary. Nożyce, które lekko i łatwo krają te rozpalone arkusze, są poruszane siłą olbrzymiej maszyny parowej, bo przecinane kartki to żelazne blachy; sądzę, że nawet czarodziej Twardowski nie podjąłby się spisywać swych dziejów na tej rozpalonej księdze, a jednak zręczni robotnicy doskonale radzić sobie umieją z jej pojedynczymi arkuszami.

Ale jest jeszcze trzeci budynek. Na pozór ciemno tam, i nie widać śladu pracy ludzkiej. Nagle z wnętrza czarnego potwora wysuwa się szereg gadów olbrzymich: pełzają nisko, to kurcząc swe olbrzymie cielska, to wydłużając je naprzód, czołgają się w jednym szeregu, długie, ziejące gorącem, bo całe rozpalone.

To tylko szyny rozpalonego żelaza, które siłą pary wypycha z walców; ale szyny, blachy, druty stanowią razem całość tak wspaniałą, że nawet oswojone z tym widokiem oczy dąbrowieckich mieszkańców z zachwytem patrzeć nań zwykły.

Z. Bukowiecka.

¹⁾ Paleczka do nawijania przędzy. ²⁾ Walcownia — fabryka, wyrabiająca blachy.

162. SKARBNIK.

(Opowiadanie górnika).

I. Górnicy wierzą, iż każda kopalnia ma swojego skarbnika, t. j. ducha skarbów podziemnych, który czuwa nad swem bogactwem i pracującym w państwie jego ludem. Być może nawet, iż wszystkie kopalnie zostają pod władzą jednego skarbnika, o którym też opowiadają wiele podań. Przytaczamy z nich niektóre.]

„Skarbnik wygląda jak zwyczajny człowiek, tylko że jedną nogę ma z końskim kopytem; tego każdy nie spostrzeże, a jeszcze w kopalni, gdzie jest ciemno. Czasem to on tylko mignie, jak niebieski ognik, albo zapuka w piętro; a to już zły znak: gdzie skarbnik puka, tam *pewnikiem* ¹⁾ numer ²⁾ się zrabuje ³⁾).

Skarbnik bardzo często pomaga górnikom, jeśli sobie z nich którego upodoba.

Raz było tak. Kuje górnik i kuje, aż mu pot oczy zalewa, a tu wciąż zamiast węgla kamień dostaje. i jednej porządnej bryty nie wyłamał. Wtem z pod ściany wyłazi żaba, wielka ropucha, jak te, co w kapuście siadają. Jak świat światem, żab w kopalni nie bywa; to też górnik widzi, jako to jest jakaś nieczysta siła,—nie mówi nic, a *no* czeka. A tu żaba do niego ludzkim głosem skrzeczy i przykazuje, że ma tu a tu dziurę wierceć. Prochu ani dynamitu kłaść nie każe, a dziura sama i bez prochu wystrzeliła i odwalila okrutny kawał węgla. Nie mógł go na wózek włożyć, ale jak żaba podsadziła się pod bryłę, tak bryła *hoc!* i już jest na wózku; aż się potem na górze dziwowali, skąd taką dużą bryłę wyrąbał. Tak on *tedy* górnik pięknie żabie dziękuje, a ona mu znów mówi, gdzie wierceć dalej; ale

prochu to wcale nic nie *trza* było brać, bo góra i tak puszczą. Tak pracowali z żabą razem przez cały miesiąc. Jak przyszedł *geldtag* (dzień wypłaty), to żaba mówi do górnika: „Weź taczki i jedź po pieniądze: powinni ci dać taczkę pełną, a po wypłacie przyjdź z taczką na szyb ¹⁾“. Górnik się pięknie skłonił żabie i tak zrobił, jak kazała. Potem wtoczyli taczkę na szalę, a żaba powiada: „Dziel“. Tak on tak dzielił (a były wszystkie pieniądze jednakowe): „To mnie, to tobie, to mnie, to tobie“,—bo już był z tą żabą *spoufały* ²⁾, to jej nawet nie *dwoił* ³⁾. Aż tu na końcu został jeden pieniądz; tak górnik, niewiele myśląc, a po sprawiedliwości postępując, oddał go żabie. A ona tak powiada: „Jakoś jest człowiek sprawiedliwy, a na grosz nie chciwy, iż się rzetelnie ze mną podzieliłeś i jeszcze ten ostatni pieniądz mi oddałeś, tak ja ci wszystko daruję; będziesz miał tego *srybla* na całe życie, tylko pamiętaj, żebyś już więcej nie pragnął, pod ziemię nie schodził, bo cię spotka nieszczęście“. Wszystkie pieniądze zsypał skarbnik, to jest niby ta żaba, do taczki, a potem zniknął“.

II.

„Był znów raz młody chłopak. Na początek dali mu w kopalni taką robotę, że ładował węgiel na wózki. Ładował—to i ładował, choć do sądnego dnia, ale skarbnik upodobał go sobie i ulitował się nad nim. Chłopak był bardzo grzeczny, przyjemny, a do kopalni tak przystał, że pierwszy do niej zjeżdżał i ostatni wychodził, a na węgiel patrzył, jakby na własne dziecko.“

Ulitował się więc skarbnik, i *jak nie stanie* raz przed nim i nie powie: „Chodź za mną!“ A był ubrany jak zwyczajny sztygar⁴⁾, i chłopak myślał *se*, że to sztygar, i po-

¹⁾ Na pewno. ²⁾ Część kopalni. ³⁾ Zawali.

¹⁾ Rodzaj studni, prowadzącej w głąb kopalni. ²⁾ Poufały. Nie mówił: wy, tylko ty. ⁴⁾ Sztygar — starszy górnik, kierujący robotami.

szedł za nim. A skarbnik, to jest niby ten sztygar, pyta: „Masz olej w lampce?“ — Mam. — „A chleb masz?“ — Mam. — „To chodź, pokażę ci kopalnię“. I poszli. Doszli do nowego numeru, a tu ściana się rozstępuje, i weszli w sam środek pokładu węgla. I szli tak pokładem, szli i szli, a sztygar pokazywał, gdzie jaka robota, gdzie węgiel najgrubszy, gdzie jaka woda, szli i szli, a chłopak myślał, że dzień cały chodzi, bo wystarczyło mu chleba i oleju w lampie, ale ładny to był dzień, ho! ho! takich dzionków niewiele człowiek naliczy. Nareszcie skarbnik wprowadził chłopca na podszynie¹⁾ i dał mu kartkę ze swoim podpisem, jako mają mu na górze wypłacić za cały czas, co on był pod ziemią; ale przykazał też, aby nie ważył się nigdy do kopalni wracać. Chłopak poszedł i kartkę oddał; tak *starszyna*, widząc, że skarbnik podpisał, dalej szukać, kiedy taki a taki robotnik jest zapisany. Szukają, a szukają i z *ledwością* znaleźli, jako on przed rokiem węgiel na wózki nakładał; tak *dopiero* chłopak poznał, *co sobie* okraglutki rok pod ziemią siedział. *Starszyna* okrutnie się *dziwowali* i nie wierzyli chłopcu, ale jak zaczął im opowiadać: tak i tak, gdzie co widział, gdzie węgiel najgrubszy, gdzie kopać trzeba, gdzie woda zaleje, tak zmiarkowali, że to nie jest cygaństwo, *ino* rzetelny skarbnika podpis, i za cały rok pieniądze mu wypłacili. A jakże wypłacić nie mieli, kiedy sami na tem *sprofitowali*²⁾, bo wiedzieli, gdzie czego szukać pod ziemią? Ale chłopak pół roku tylko wytrzymał, potem tak go bez węgla *cniło*, taką do niego miał ciekawość, że *nijak i nijak* obejść się bez kopalni nie mógł. Aż raz nie wytrzymał i poszedł do kopalni. Ale *ino* co się spuścił, *ino* co z szali³⁾ wysiadł, a tu w szybie małuśki kamuszek w samą głowę go trafił. Małuśki był, ale z wielkiej wysokości spadł, to i na miejscu zabił“.

Z. Bukowiecka.

¹⁾ Miejsce, którędy się wychodzi z kopalni. ²⁾ Sprofitowali — skorzystali. ³⁾ Winda.

163. GÓRAL.

Góralu, czy ci nie żal
Odchodzić od stron ojczystych?
Świerkowych lasów i hał,
I tych potoków srebrzystych,
Góralu, czy ci nie żal?

Góral na lasy spoziera
I łyzy rękawem ociera,
I rzekł: — Ha, darmo, kiej trzeba,
Dla chleba, panie, dla chleba!

Góralu, wróć się do hał¹⁾,
W chacie zostali ojcowie,
Gdy od nich pójdiesz w dal,
Co z nimi stanie się, kto wie?
Czy ci tych starców nie żal?

A góral jak dziecko płacze:
— Och, może ich nie zobaczę!
Ha, darmo, panie, kiej trzeba,
Dla chleba, panie, dla chleba!

I poszedł z grabiami i kosą,
W guńce starganej i boso,
Precz poszedł w doliny, w dal —
Góralu, żal mi cię, żal!

M. Bałucki.

Jeśli widziałeś druciarza, to opisz jego ubiór. Czy to wszystko jedno góral i górnik?

164. Góral i górnik.

(Porównanie).

Sądząc według podobieństwa wyrazów: góral i górnik, możnaby mniemać, iż życie tych ludzi upływa w warunkach przynajmniej zbliżonych, a ich zajęcia są bardzo po-

¹⁾ Hale — pastwiska w górach.

krewnie. W rzeczywistości jednak jest wcale inaczej, i wspólne pochodzenie tych wyrazów nie zbliża do siebie bynajmniej górala i górnika.

Zastanówmy się chwilę nad każdym z nich z osobna.

Góral — to mieszkaniec gór. Życie jego zastosowane być musi do natury, która go otacza i żywi. Jest ona zwykle piękna i wspaniała, lecz najczęściej uboga. Na znacznej wysokości nie dojrzewa zboże, niema licznych i wielkich osad ludzkich. Więc górala nie wyżywi.rola, wydająca najczęściej owies i kartofle, niema blisko ogniska pracy fabrycznej i handlu. Ale zato na pięknych halach bujnie rośnie soczysta trawa, która pozwala mu wypasać stada krów i owiec, i oto jest podstawa jego bytu. Z konieczności pasterstwo stać się musi głównem zajęciem górala, dopomaga on sobie jedynie rolnictwem, z biedy wychodzi nieraz na pracę w niziny, ale do gór tęskni bardzo i powraca, jak tylko może. Potrzeby ma niewielkie, bo o zbytnią wygodę nie dba, więc poprzestaje na małym, a trudzić się nie lubi. Jest dość leniwy do pracy ciężkiej. Zato kocha piękno i lubi je widzieć koło siebie: malowniczo buduje chatę, rzeźbi ją i zdobi, zdobi chętnie strój i sprzęty, ma dużo artystycznego poczucia ¹⁾. Oswojony od dzieciństwa ze stromemi ścieżkami, wdziera się na nie zręcznie, nie drży wobec przepaści i śmiało krąży nad nią. Piękne widoki pobudzają go do wesołości, nie lubi się troszczyć o jutro, żyje chwilą obecną, zadowolony z losu swego i szczęśliwy.

Jakże odmienne jest życie górnika! Gór często nie zna on wcale, i nie na wyniosłości prowadzi go praca, ale w głąb ziemi, w czarne, wilgotne otchłanie, którym wydiera skarby, ludzkości potrzebne. Zamiast jasnego słońca, pięknych krajobrazów, widzi przed sobą w czarnej, zamkniętej przestrzeni drobne światelka towarzyszy pracy.

¹⁾ Poczucie piękna.

I nic więcej. Nad nim sklepienie, dokoła ściany, czarne i wilgotne, i cisza, przerywana łoskotem narzędzi, dobywających węgiel, sól lub kruszec. Tutaj pracować musi bez światła, powietrza, narażony każdej chwili na śmierć lub kalectwo.

I tak ciężka i smutna praca nie zapewnia mu dobrobytu: skromnie wynagradzana, pozwala zaledwie na liche utrzymanie, — dziwnem więc nam zdawać się musi, że górnik przywiązuje się do swego zawodu ¹⁾. Jest on odważny i dumny, niebezpieczeństwem gardzi i poleca się Bogu: czuje się czemś wyższem od zwyczajnych ludzi, wie, że nie każdy zdolny jest do takiej pracy. Ma poczucie żołnierza podczas wojny.

Widzimy więc, jak bardzo różnią się od siebie tak bliscy mianem ludzie. Życie górala łatwiejsze, piękniejsze, lecz czyż posępna i surowa postać górnika nie budzi w nas głębszego szacunku i gorętszej sympatji? Wszakże łatwo ocenić, który z nich pożyteczniejszy?

165. Pod Raszynem ²⁾.

Pod Raszynem, pod Warszawą
Idą nasi w bitwę krwawą.
Osiem tylko ich tysięcy,
A czterekroć wroga więcej.

Na koniku siwym jedzie
I ułanów swoich wiedzie
Dzielny, mężny i bez troski
Książę Józef Poniatowski.

Pod Raszynem grają działa,
Idzie w ogień wiara śmiała,

¹⁾ Stała praca, zajęcie. ²⁾ Bitwa z Austryjakami 1809 r.

Od poranku aż do zmroku
Nie ustąpi wrogom kroku.

Aż złamała ich ta siła,
Co jak chmura świat nakryła.
Brakło naszych dwóch tysięcy,
Lecz wróg stracił trzykroć więcej.

Tam Godebski Cyprjan zginął,
Który w legjach ¹⁾ włoskich słynął,
Sławny pieśniarz, rycerz śmiały,
Poległ w boju, pełnym chwały.

Jan Sawa.

166. BUTY.

(Wspomnienie legionisty).

Jużeśmy mieli wyżej dwóch tysięcy ludzi, kiedy jeszcze mundurów, koszul i trzewików nawet nam nie dostawiono. Często żołnierze, aby się z koszar za dnia wychylić mogli, w kołdry się swoje owijali. Miejscowi obywatele byli nam przychylni i pomagali bielizną, lecz to miasteczko, gdzieśmy stali, było małe i ubogie.

Był tam urzędnik cywilny ²⁾, który nas bardzo żałował i ze swej strony przedstawiał położenie nasze. Słowem w ciężkich dość obrotach mieliśmy przynajmniej współczucie mieszkańców. Ale nam materialnej pomocy brakło i to aż rodziło obawę, aby kto o dezercji ³⁾ nie pomyślał.

W takim stanie rzeczy postanowiono nas do Metz ⁴⁾ przenieść. Dla ułatwienia marszu przysłano jakieś kurteczki,

¹⁾ W legjonach czyli oddziałach. ²⁾ Cywilny — nie wojskowy i nie duchowny. ³⁾ Dezercja — ucieczka z wojska. ⁴⁾ Twierdza na granicy Francji.

któreby później pod mundury służyć mogły, dostarczono zaś płóciennych spodni i trzewików tyle tylko, co ledwie dwom częściom obułyby nogi — i tak nam przejść do Metz polecono podczas zimowej pory i ostrej gruzy ¹⁾ na drogach.

Ponieważ część koszar i służby mnie powierzona była, tedy ja ich prowadzić miałem. Tymczasem ledwie zebrali się na placu — już narzekanie powszechne.

Wyszedłem przed front — udaję się do mnie: „My posi!...“

Wezwałem najbliższego ze skarżących się i kazałem, aby mię rozzuł. Zaczem rzekłem mu:

— Wzuj moje buty, mam jedno i daję ci je, lecz pełń swoją powinność!

Zakomenderowałem i, sam przed frontem boso idąc, wprędce od gruzy do krwi nogi pokaleczyłem.

Żołnierze buty moje odebrali towarzyszowi, lecz ich nie przyjąłem. A natomiast zebrałem skrzypków, dudziarzy i wszystkich, których po koszarach grających widziałem, rozkazałem, aby grali, i nietylkośmy nasz marsz pomyślnie zaczęli, ale po dniach kilkunastu w Metz bez dezertersów stanęli.

J. Drzewiecki.

167. Pogrzeb księcia Józefa Poniatowskiego.

Z pomiędzy bojów i gradów ognistych,
Wierna swej sprawie, nieodstępna znaków ²⁾,
Szła wolnym krokiem do siedlisk ojczystych
Garstka Polaków.

Skoro lud spostrzegł, jak wzdęte wiatrami
Białe z czerwonym proporce ³⁾ migają,

¹⁾ Gruza — zamrznięte błoto. ²⁾ Znaki — tutaj znaczy: chorągwie, sztandary. ³⁾ Chorągwie.

Wstrzęsło się miasto ¹⁾ radości głosami:
„Nasi wracają!”

Niedługa radość! Każdy pyta chciwie:
— Kędyż jest wódz nasz, dzielny, okazały,
Co nam tak długo przywodził szczęśliwie
Na polu chwały?

Już go nie widać na czele tych szyków,
Których był niegdyś duszą i ozdobą;
Okryte orły, zbroje wojowników
Czarną żałobą.

Już go nie widać wpośród huców dzielnych.
Gdzież jest?... Czy słyszysz żal wszystkich głęboki?
Patrzaj, złożone na marach ²⁾ śmiertelnych
Rycerza zwłoki.

Te mary, ten wóz, spoczynek po znoju,
Lud wdzięczny łzami oblewa rzewnemi;
Ciagną go wierni towarzysze boju
Pierśmi własnemi.

Idzie za trumną koń jego waleczny,
Z schyloną głową, czarną niosąc zbroję.
— Idź, koniu, smutnie! już pan twój bezpieczny,
Zamknął dni swoje!

Patrz, przed świątynią przy światłach gasnących
Porywa młodzież z wozu ciężar drogi
I wnosi wpośród grzmotu dział bijących
W wieczności progi.

¹⁾ Warszawa. ²⁾ Nosze dla zmarłych.

Modły kapłanów, braci twoich łkania
Wznoszą się tam, gdzie mieszka Bóg przedwieczny;
Ach, przyjm ostatnie te ich pożegnania,
Wodzu waleczny!

Dzieliłeś z nami ciężkie utrapienia,
Wielkie ofiary, prace bez nagrody,
I zamiast słodkich nadziei ziszczenia —
Gorzkie zawody.

Posąg twój będzie lud otaczał mnogi,
Ten napis twarde zachowają głazy:
„Tu leży rycerz, co walczył bez trwogi
I żył bez skazy“ ¹⁾.

Tu żołnierz, pełen rycerskiej ochoty,
Zaostrzy oręż o krawędź twej tarczy,
Pewien, że przez to nabywszy twej cnoty,
Tysiącom starczy.

J. U. Niemcewicz.

Jakim żołnierzem i wodzem był książę Józef Poniatowski? Gdzie zginął?

168. MOGIŁA KOŚCIUSZKI.

Kościuszko umarł w Szwajcarji 15 października 1817 r. Zwłoki jego złożono w grobach królewskich na Wawelu i zaczęto zaraz rozmyślać, jakim pomnikiem uczcić pamięć zmarłego wodza, tak drogą dla całego narodu polskiego. Widok odwiecznych mogił Krakusa i Wandy nasunął myśl wzniesienia mu podobnego grobowca.

W trzy lata po śmierci Kościuszki, w rocznicę jego zgonu odbył się uroczyste obchód usypiania trzeciej mogiły

¹⁾ Bez plamy.

pod Krakowem, na wzgórzu Św. Bronisławy. Dzień był pogodny, niebo bez chmur, jasne, w oddali rysowały się wyraźnie Tatry. Całe miasto Kraków, okoliczne wioski i goście ze stron dalszych zajęli wzgórze pobliskie. Z obu stron Wisły brzegi czerniały od ludu, który grzmiącym okrzykiem powitał zbliżający się wóz czterokonny, opleciony wieńcem dębowym; na wozie stała skrzynia z ziemią z pod Racławic i szczątkami poległych tam rycerzy. Za wozem postępowało duchowieństwo, biskup, senatorowie, Akademia, profesorowie i młodzież, uczniowie, uczennice, cechy z chorągwiami, wieśniacy w malowniczych strojach i lud nieprzeliczony.

Wśród uroczystej ciszy poświęcono miejsce, przeznaczone na mogiłę; jeden z towarzyszy broni, przyjaciel Kościuszki, wygłosił piękną mowę o życiu i czynach zmarłego, potem zagrzmiały działa i broń palna. Przy tych dźwiękach pieśni bojowej złożono, jako fundament pomnika, na ziemi racławickiej i kościach rycerzy marmurową skrzynię z opisem tej uroczystości, życia Kościuszki i jego portretem.

Prezes senatu zawiózł pierwsze taczki ziemi i przykrył nią święte pamiątki, potem senatorowie, starcy, urzędnicy i dostojnicy państwa ubiegali się o pierwszeństwo złożenia choćby garstki ziemi na mogiłę. Wożono ją taczkami, noszono w polach sukien albo w ręku. I rosła góra wielka, jak cześć ludu, który w niej wypowiadał swe uczucia.

Urządzeniem i uporządkowaniem nasypu zajęły się następnie gminy, co kilka dni zmieniając się kolejno.

W następnym roku księżna Czartoryska przysłała w czarnej marmurowej urnie ¹⁾ ziemię z pod Maciejowic, którą z odpowiednimi napisami złożono również w kopcu.

Budowę kopca ukończono ostatecznie w r. 1860-ym.

¹⁾ Naczynia, służące niegdyś do przechowywania popiołów zmarłych.

169. Dąb umierający.

— Sto lat przeżyłem na tej pięknej ziemi;
Rosły drzewa i nikły przed oczyma memi.
Widziałem wkoło kwiaty, znowu śniegi, lody,
Przetrwałem burze, przeżyłem pogody —
Mówił dąb konający. Na to rzecze kwiatek:
— Prawda, że pięknych doczekałeś latek,
Lecz którem się też cieszysz najbardziej wspomnie-
niem? —

Dąb. — Tem, gdy strudzonych osłaniałem cieniem.

St. Jachowicz.

170. S E N.

I.

Widziałem ogromne pole... To była niby wiosna i skowronki śpiewały i niebo było takie jasne, czyste... A na polu, jak okiem zajrzeć, jeden był tylko człowiek. Widziałem go doskonale: twarz miał ogorzałą, głowę odkrytą, ręce ciemne, spracowane; odziany był w siermięgę lnianą, a nogi to miał bose. Ten człowiek orał. Dwa siwe woły moloźnie ¹⁾ pług ciągnęły, ale oracz, chociaż pot miał na czole, zgarbione plecy, śpiewał przecież pieśń, od której zdawało się, że mu sił przybywa.

Śpiewał w tej pieśni o czarnej ziemi, którą orał, a którą potem zasieje dobrem ziarnem. Śpiewał, jak cała niwa zazieleni się młodem zbożem, jak potem kłosa zaszumią, jak kosą ją zetnie, cepami wymłóci, jak potem chleb będzie z tej pracy... Śpiewał, jak ten chleb spożywać będą ludzie i jak nabiorą sił do innej pracy. A kiedy tak śpiewał, to i pług łatwiej szedł w ziemię, i woły raźniej szły, i samemu oraczowi prostowały się plecy schylone... A śpiew

¹⁾ Z trudem.

jego łączył się z pieśnią skowronka coraz, coraz bardziej, tak że już potem rozróżnić nie mogłem, co było głosem ptaka, a co głosem człowieka.

II.

Nagle wszystko się jakoś zaćmiło, zmieszało razem, jakiś wicher przeciągnął polem i poniósł tumany piasku. Kiedy wreszcie opadła kurzawa, zobaczyłem, że drogą jedzie rycerz. Ten rycerz miał zbroję, błyszczący pancerz, kolczugę¹⁾, złożoną z drucianych ogniwek, i rękawice żelazne; w jednej ręce trzymał miecz, a w drugiej uzdę. Hełm okrywał mu głowę, na piersiach miał złocistą blachę. Koń rycerza także pokryty był zbroją i stapał zwolna, rażno parszcząc. Rycerz jechał chwilę w milczeniu, a potem zaczął śpiewać. Głos jego był jakby szcęk żelaza i szum skrzydeł wielkich ptaków. Śpiewał o bojach, o zamku swoim, który ochraniać trzeba przed najezdnikami, o krzywdach biednych rolników, gnanych w jasyr²⁾, o pożarach i klęskach. A potem śpiewał o zdobyczy bojowej, o sławie. A kiedy tak śpiewał, zdawało mi się, że słyszę okrzyki i wrzawę, i głosy trąb, i bicie w bębny, i wołanie o pomoc. Aż wszystko nareszcie zagłuszyły dzwony. A kiedy dzwony zaczęły bić, rycerz zdjął hełm z głowy, a ja ze zdziwieniem ujrzałem, że to był ten sam oracz, tylko jakby zmieniony nieco, w wojennym rynsztunku.

I biły dzwony daleko, szeroko, sławiąc rycerza i jego wielkie męstwo, aż nareszcie jeden z dzwonów pękł, zrobił się huk ogromny, a ja upadłem na ziemię i taki wspinały obraz zobaczyłem, że coś dziwnego się dzieje.

III.

Było zupełnie ciemno, ale w tej ciemności słyszałem stuk taki, jakby ktoś kuł w ziemi. Potem błysnęło świa-

telko, i zobaczyłem wielkie podziemie, którego ściany, podparte grubymi belkami, błyszczały odbłaskiem różnych kruszców: tu złoto, tu srebro, tam miedź czerwona, ale najwięcej żelaza. A w pośrodku człowiek schylony kuje i kuje te ściany, a światła coraz przybywa, a z kruszczu dobytego rosną domy, kościoły, wieże—całe miasto. Już podziemia wcale nie widać, już do tego miasta płyną z dala okręty, a człowiek kuje i kuje. Ale nie jest to już kruszec surowy, który dobywa. On teraz kuje różne kółka, sprzężyny, a przy tej pracy śpiewa. Śpiewa o bogactwie, dobytym z wnętrza ziemi, o morzach dalekich, o miastach wspinałych, o narodach, które jedne drugim podają owoce swej pracy. A w miarę jak śpiewał, z głosem jego łączył się huk maszyn, świst pary, łoskot toczących się wozów, plusk wioseł, zgrzyt pił i brzęk pieniędzy.

A kiedy człowiek ten podniósł głowę od swego warsztatu, zobaczyłem, że to znów był ten sam oracz, o którym mi się na początku śniło.

IV.

Takem się tem zadziwił, że aż oniemiałem. A kiedy znów przyszedł do siebie, zobaczyłem wielką, sklepioną⁴⁾ komnatę, a w niej mnóstwo książek. Nietylko w szafach i na stołach, ale nawet na ziemi leżały. Ściany tej komnaty ozdobione były ślicznymi obrazami; stały też tam posągi i popiersia z marmuru i bronzu. Tak byłem olśniony przepychem tej komnaty, że dopiero po chwili ujrzałem siedzącego nad wielką księgą człowieka. Czarno był odziany, na głowie miał płaską aksamitną czapeczkę, wkoło siebie szkła powiększające, flaszeczki, cyrkle i różne drobne narzędzia, których użytku nie znam. Naraz cudna muzyka rozbrzmiała w tej pięknej komnacie. Był to głos jakby organu, ale

¹⁾ Zbroja z kółek żelaznych. ²⁾ Niewola tatarska.

⁴⁾ Ze sklepieniem zamiast sufitu.

łączyły się z nim inne, słodkie dźwięki nieznanym mi instrumentów. Wtedy człowiek podniósł głowę i zaczął śpiewać. Śpiewał o tem, co piękne i dobre na świecie, co mądre i sprawiedliwe. Śpiewał o wielkich mężach, co zbudowali komnatę, malowali obrazy, napisali księgi, wyrzeźbili posagi i dobyli cudne dźwięki z narzędzi muzycznych. A kiedy śpiewał, robiło się coraz jaśniej w komnacie owej, aż w najwyższym blasku ujrzałem twarz jego... Był to jeszcze raz ten sam oracz, tylko że twarz jego była blada, a oczy paliły się ogromnem światłem. Krzyknąłem z zadziwienia i — obudziłem się nagle.

M. Konopnicka.

Dlaczego ten oracz, rycerz, rzemieślnik i uczony mieli jedną i tę samą twarz? Co ten sen ma znaczyć?

171. Historia o dobrym synu.

I.

Ubogi wieśniak miał syna wyrostka, dobrego, pracowitego chłopaka.

Pewnego dnia poszedł wieśniak orać pole daleko od chaty, bo aż za gęstym lasem położone. Odchodząc z pługiem, powiedział synowi, że będzie przed sobą nacinał korę na drzewach, i to chłopcu oznaczy drogę, gdy do ojca z obiadem pójdzie.

Kiedy słońko wysoko już wzbilo się na południe, chłopak wziął dwojaki z obiadem, kawał chleba za pazuchę i ruszył żwawo przez las.

Idzie, idzie, a ogląda się po drzewach, żeby nie zbłądzić.

Aż tu w środku najgęstszego lasu ślady na drzewach zginęły.

Jasiek stanął i ogląda się wkoło, wreszcie przeżegnał się i ruszył wprost przed siebie. A tu las gęsty, coraz trud-

niej iść, krzaki mu podarły ubranie, gałęzie twarz i ręce podrapały. Nareszcie zaszedł w taką gęstwinę, że już ani kroku naprzód postąpić nie mógł.

— Mój Boże! co ja tu pocznę? — biadał chłopak — ojciec tam głodny, czeka na obiad, a to już dawno po południu.

Gdy tak rozmyśla, spojrzy na stronę, aż tu widzi dom ogromny, ukryty do połowy pod gałęziami drzew. Wchodzi więc śmiało na schody, ale zaledwie drzwi uchylił i zajrzał do środka, zadrżał ze strachu. W izbie około stołu siedziało dwunastu ludzi. Wszyscy mieli długie brody i wąsy, straszne oczy, a noże za pasem i miecze u boku.

Jasiek, przerażony, poznał odrazu, że to są zbójcy, o których nieraz słyszał, że się w tym lesie ukrywają. Już chciał zmykać od drzwi, ale kiedy przypomniał sobie głodnego ojca, zebrał się na odwagę i zapytał pokornie o drogę, któraby go wyprowadziła z lasu. Na to odezwał się najstarszy ze zbójców:

— Już ty stąd, mój chłopcze, nie wyjdiesz, zostaniesz u nas, bo właśnie potrzebujemy posługacza. Biedy nie będziesz miał, ale pracować musisz. Codzień posprzątasz izby, rozpalisz ogień na kominie, a drzwi zamykaj dobrze na tę oto żelazną zasuwę i nie otwieraj nikomu, tylko nam. Ale przedewszystkiem nie waż się otwierać tych drzwi na łyeczko zamkniętych, bo cię nieszczęście spotka.

II.

Zbójcy chwilę jeszcze zabawili i ruszyli do lasu, a Jasiek usiadł w kącie i zaczął płakać.

— Co ja pocznę biedny sierota? Jak się tu wydostać z tego lasu? Co też tatulo powie, że mu obiadu nie przyniosłem? On tam głód mrze przeze mnie.

Wtem oczy jego przypadkiem zwróciły się na owe drzwi, łyeczkiem związane. Ciekawość go wzięła zobaczyć, co się za nimi znajduje. Obejrzał się dookoła, rozwiązał łyeczko i drzwi otworzył.

Ujrzał stajnię bardzo piękną, a przy żłobie ślicznego, karego konia. Koń, zobaczywszy Jaska, odwrócił głowę i odezwał się ludzkim głosem:

— Siadaj na mnie, chłopcze, i weź te trzy jabłka, które leżą na oknie, a będziesz wolny i szczęśliwy.

Jasiek bez namysłu pochwycił jabłka, skoczył na konia i popędzili przez las.

Kiedy wyjechali już z boru, Jasiek obejrzał się za siebie z przerażeniem zobaczył, że zbójcy gonią za nim.

— Nie lękaj się niczego — rzekł wtedy koń — rzuć tylko za siebie jedno jabłko.

Jasiek posłuchał, i wnet z jabłka powstał bór gęsty i ciemny.

Rozbójnicy przedarli się przez las, i już, już dopędzali chłopca, ale ten rzucił drugie jabłko, i rzeka szeroka rozlała się pomiędzy Jaśkiem i rozbójnikami.

Zbójcy rzucili się z końmi w wodę, przepłynęli i znów puścili się w pogoń.

Wtedy Janek ostatnie jabłko rzucił o ziemię i w tej chwili buchnął z tego miejsca płomień szeroki, niepodobny do przebycia. A koń przemówił do Janka:

— No, jesteśmy już uratowani. Widzisz to wielkie miasto, gdzie wieże kościelne? Idź tam, udaj się do zamku królewskiego i przyjmij jakąkolwiek służbę. Kiedy zaś będziesz potrzebował pomocy, przyjdź tu oto do tego zielonego gaju i gwizdnij trzy razy, a wnet się ukaże.

Gdy dojechali nad brzeg zielonego gaju, zsiadł Janek z konia, pożegnał go i ruszył do miasta, do zamku królewskiego.

Wszedł na podwórze i spytał, czy nie potrzebują kogo do służby. Odpowiedziano mu, że właśnie potrzeba ogrodniczka do pomocy. Tego samego dnia jeszcze Janek wziął się do pracy przy królewskim ogrodzie.

Nieraz odtąd, kopiąc lub podlewając kwiaty, wdychał

sobie cicho. Tęskno mu było do ojca i chaty rodzinnej, ale o powrocie nawet myśleć nie mógł, bo nie wiedział zupełnie, w którą ruszyć stronę, a w tym kraju, gdzie był, nikt mu drogi wskazać nie umiał.

III.

Tak przeszło parę lat. I zdarzyło się, że wybuchła wojna. Król z wojskiem ruszył przeciw nieprzyjacielowi. Jasiek radby też poszedł na wojnę, ale mu nie pozwolili, bo nawet broni porządnej nie miał.

Gdy wojsko wyruszyło z miasta, usiadł Janek pod piecem i smutnie się zadumał nad swoją niedolą.

Nagle zerwał się z radością, klasnął w dłonie i pobiegł do gaju. Tam gwizdnął po trzykroć, i wnet ukazał się kary rumak osiodłany, a do siodła przymocowana była cała zbroja rycerska. Jasiek ubrał się w zbroję, dosiadł rumaka i popędził na pole bitwy.

Tymczasem wojska królewskie już ustępowały przed nieprzyjacielem, król włosy sobie rwał z rozpacz, mnóstwo żołnierzy leżało bez życia, inni zabierali się do ucieczki.

Wtem zjawia się rycerz na dzielnym rumaku, cały okryty zbroją, błyszczącą od złota i drogich kamieni. Rycerz ten zbiera żołnierzy wkoło siebie, zachęca do odwagi i sam pierwszy rzuca się na nieprzyjaciół, zwycięża ich i zmusza do ucieczki.

Nieprzyjaciele zwyciężeni, a dzielny rycerz, raniony w rękę, przywiedziony został do króla. Król, wdzięczny za pomoc, sam zajął się rycerzem i owinał mu rękę swoją chustką. Wreszcie zapytał:

— Czego żadasz, dzielny rycerzu, za ocalenie tego kraju, mów, czego chcesz, czego pragniesz, a wszystko spełnię.

— Królu mój i panie! — rzekł rycerz, przyklękając — nic nie pragnę i nie żądam, dość dla mnie szczęścia,

żem ojczyznę od nieprzyjaciół uwolnił i ciebie, o królu, ocalił.

Mówiąc to, rycerz powstał, skoczył na konia i zniknął.

IV.

Wesoło i radośnie było na zamku królewskim, gdy powróciły zwycięskie wojska.

O niczem nie mówiono, tylko o dzielnym rycerzu i dziwiono się, gdzie tak nagle zniknął.

Jasiek-ogrodniczek słuchał wszystkiego, uśmiechał się, ale nic nie mówił i o nic nie pytał.

Na drugi dzień rano ogrodnik przyszedł budzić Jaśka i zobaczył, że ten ma rękę owiniętą chustką z wyszytą koroną królewską.

— Skąd to masz? — krzyknął z gniewem — pewno ukradłeś!

— Nie gniewajcie się, panie, król sam mi ją darował, tłumaczył się Jasiek.

— To być nie może, chodź do króla, tam się usprawiedliwisz.

Przyprowadzono Janka przed króla, a ten, obejrawszy chustkę, przyznał, że to ta sama, którą wczoraj owinął rękę nieznanemu rycerzowi. Pojąć tylko nie mógł, skąd ją dostał biedny ogrodniczek.

Jasiek poprosił króla o godzinę czasu, a wytłumaczył się ze wszystkiego. Król pozwolił, a on pobiegł do zielonego gaju, przybrał się w zbroję, dosiadł swego konia i popędził do zamku królewskiego.

Gdy stanął przed bramą, zatrąbił po trzykroć w złocistą trąbkę, a straż zaraz dała znać królowi, że dzielny rycerz już się ukazał.

Król kazał bramę otworzyć i czekał na podwórzu z całym dworem.

Rycerz wjechał w podwórze i zatrzymał się przy kró-

lewskim tronie; zeskoczył z siodła, przyklęknął przed królem, podniósł przyłbicę¹⁾ i odsłonił twarz, a wszyscy krzyknęli z podziwem:

— To Jasiek, ogrodniczek!

Król uradowany podniósł go z ziemi, uściskał i wprowadził do zamku. Przy uczcie na pierwszym miejscu posadził go koło siebie.

V.

Niedługo też odbyło się wesele Jaśka z córką królewską, a zaraz potem Janko królewicz, który już dawno wyznał przed królową i przed całym dworem, że jest synem chłopca, i opowiedział im swoje przygody, — prosił o pomoc w wyszukaniu ojca.

Wszyscy chętnie zgodzili się na to i ruszyli w drogę. Janek z królową, swą żoną, jechał naprzód, a wciąż wołał: „Prędzej! prędzej!”

Jechali długo przez lasy i pola, mijali góry i rzeki, aż nareszcie wjechali do puszczy, gdzie stał dom zbójców, i zobaczyli, że zostały z niego tylko zgłiszcza²⁾.

Gdy zaś wjechali na pole za lasem, zobaczyli starego chłopca, który szedł za pługiem i ziemię orał.

Królewicz poznał w nim ojca. Serce mu zabiło z radości. Zeskoczył z konia, padł przed starcem na kolana i zawołał:

— Ojcie mój! ojcie drogi! czy nie poznajesz syna?

— Jasiek! mój syn kochany i opłakany! moje dziecko jedyne! — krzyknął radośnie starzec, wyciągając spracowane ręce.

Wtedy zbliżyła się królowna. Biedny chłop nie wie-

¹⁾ Przyłbica—część żelaznego hełmu, którą można spuszczać na twarz lub podnosić. ²⁾ Spalone szczątki.

dział, jak powitać żonę syna, piękną jak kwiat, jak słonko jasną; ale ona sama przystąpiła i w rękę go pocałowała.

Syn zabawił u ojca kilka dni, odwiedził grób matki i długo, serdecznie modlił się za jej duszę. Wyjeżdżając, chciał ojca zabrać z sobą do swego zamku, ale staruszek pokręcił głową i rzekł:

— Nie dla mnie zamki i pałace królewskie. Urodziłem się w tej chacie i w niej też umrę. Ty wracaj, mój synu, i panuj szczęśliwie, — ja cię błogosławię. Jedźcie z Bogiem, a mnie zostawcie z tą pociechą, że ty żyjesz i jesteś szczęśliwy.

Syn odjechał, ale przedtem prosił ojca, żeby go choć odwiedził, i starzec przyrzekł mu to.

Kiedy biedny chłopiec zajechał do zamku wózkiem w jednego konia, cały dwór, król i królowa czekali na niego w podwórzu, wszyscy dworzanie kłaniali mu się z uszanowaniem. A starzec zdjął czapkę i poszedł naprzód do kaplicy, gdzie długo modlił się o szczęście syna.

Odtąd Janek co rok odwiedzał starego ojca, choć daleka to była podróż.

VI.

Kilka lat upłynęło. Raz, jadąc do domu, Janko zbłądził nocą w puszczy i dopiero nadedniem wydostał się na pole.

Właśnie było to pole jego ojca. Na zagonie stały dwa siwe woły przy pługu, ale oracza nie było.

Król zsiadł z konia i z radością dostrzegł ojca, siedzącego pod drzewem, a przy nim stały dwojaki ze śniadaniem.

Prędko pobiegł król-Janko w tę stronę, ale jakże się zmartwił, kiedy zobaczył, że ojciec jego siedzi nieruchomy i błądy.

Rzucił się przed nim na kolana, pochwyił zimną rękę i mówił, okrywając ją pocałunkami:

— Ojcie kochany! obudź się, przyjdź do siebie! To ja, syn twój, Jasiek!

Ale starzec już się nie obudził więcej.

Król-Janko zapłakał gorzko, na własnych rękach prze-
niósł zwłoki ojca na cmentarz wiejski i pochował go obok matki.

Na grobie postawił piękny pomnik i często odwiedzał go i modlił się za rodziców.

Na miejscu zaś chaty wystawił zamek i zamieszkał w nim.

Długo, długo panował król-Janko nad krajem swoim, kochany i szanowany przez poddanych. Żył długo i szczęśliwie, bo miał błogosławieństwo Boskie i ojcowskie.

Z powieści ludowych M. G.

Czy to baśń, czy powiastka? Wytłumacz, dlaczego?

Różnica między wyrazami: koń, szkapa, rumak. Czy to wszystko jedno Janek i Jasiek?



A04880
116251

SPIS RZECZY.

	Str.		Str.
1. Wezwanie. <i>W. Pol</i> . . .	1	20. Płynie Wisła, płynie! <i>CN.</i>	31
2. Bardzo dawno. <i>CN.</i> . . .	2	21. Jak to na Mazowszu. <i>T. Lenartowicz</i> . . .	34
3. W kraju króla Gwoździka. <i>Deotyma</i> . . .	6	22. Krakowiacy . . .	35
4. Historia ziemi. <i>A. Witkowski</i> . . .	9	23. Marjacka wieża. <i>E. Wasilewski</i> . . .	37
5. Lech. <i>Z. Zacharkiewiczówna</i> . . .	10	24. Podziemny zamek . . .	38
6. Gniezno. <i>CN.</i> . . .	11	25. Bolesław Chrobry. <i>M. Ilnicka</i> . . .	40
7. Przeszło tysiąc lat temu. <i>W. Przyborowski</i> . . .	12	26. Poranek na statku. <i>CN.</i>	41
8. Modlitwa . . .	16	27. Polska. <i>W. Pol</i> . . .	43
9. Kościółek wiejski. <i>CN.</i>	17	28. Paweł Cholewa. <i>Z. „Kmiotka”</i> . . .	43
10. Jezus naucza na górze. <i>Ks. Serwatowski</i> . . .	18	29. Chłopek. <i>K. Brodziński</i>	46
11. Dzieńek na wsi. <i>T. Lenartowicz</i> . . .	19	30. Chleb i szablą. <i>I. Krasicki</i> . . .	46
12. Bartoszek. <i>M. Brzeziński</i>	20	31. Szklanka wody . . .	47
13. Przepiórka . . .	23	32. Wieczorynka u Ewuni. <i>CN.</i> . . .	47
14. Jesień. <i>T. Lenartowicz</i>	24	33. Łzy nieużyteczne . . .	50
15. Sąd krasnoludków. <i>M. Konopnicka</i> . . .	24	34. Dziennik Marysi. <i>CN.</i>	51
16. Pierwszy snop. <i>El.</i> . . .	27	35. Myszka, kot i kogut. <i>St. Trembecki</i> . . .	53
17. Czem są rośliny dla człowieka. <i>M. Brzeziński</i> . . .	28	36. Matka. <i>Z. Zacharkiewicz</i>	55
18. Dwa pługi. <i>St. Jachowicz</i> . . .	29	37. Ze wspomnień córki Mickiewicza. <i>M. Górecka</i> . . .	56
19. Dworek. <i>T. Lenartowicz</i>	30	38. Stara piosnka . . .	58
		39. Bolesław Krzywousty rycerzem. <i>J. I. Kraszewski</i>	59

	Str.		Str.
40. Chrystus i dzieci. <i>M. Konopnicka</i>	61	64. Cztery prządk. <i>M. J. Zaleska</i>	102
41. Zima u krasnoludków. <i>M. Konopnicka</i>	62	65. Lny nam kwitną. <i>M. Konopnicka</i>	106
42. Zima. <i>T. Lenartowicz</i>	64	66. Leśniczówka. <i>H. Sienkiewicz</i>	107
43. Choinka. <i>Z. „Latarenki“</i>	66	67. W polu. <i>T. Lenartowicz</i>	109
44. Kolęda	68	68. Na grobach. <i>CN.</i>	110
45. Śpiewak zimowy. <i>B. Dyakowski</i>	68	69. Wiosna. <i>T. Lenartowicz</i>	111
46. Żółw i zając. <i>Fr. Kniaźnin</i>	70	70. Kazimierz Wielki. <i>J. U. Niemcewicz</i>	112
47. Chałat. <i>W. Gomulicki</i>	71	71. Podanie o założeniu Warszawy. <i>Z. Bukowiecka</i>	114
48. W zimowy wieczór. <i>Z. Zacharkiewiczówna</i>	74	72. Powązki. <i>CN.</i>	115
49. Polowanie na wilki. <i>K. W. Wójcicki</i>	75	73. Kalina. <i>T. Lenartowicz</i>	117
50. Wilczki. <i>I. Krasicki</i>	79	74. Podanie o djabie Borucie	117
51. Zając	80	75. Pies i pszczoły. <i>Fr. Morawski</i>	119
52. Ochrona. <i>W. Kosiakiewicz</i>	81	76. Pies złodziej	120
53. Niepiśmienny. <i>L. Kondratowicz</i>	82	77. Szare kaczątko. <i>J. Chrząszczewska</i>	121
54. Konik zwierzyński. <i>J. Chociszewski</i>	84	78. Cicha noc. <i>R. Zmorski</i>	124
55. Tatarzy. <i>B. Bielawski</i>	86	79. Białe bez. <i>Z. Szymanowska</i>	124
56. Flisaki	87	80. Skowronok i dzwonek. <i>W. Pol</i>	126
57. Legenda o skowronku. <i>M. Gawalewicz</i>	87	81. Zwycięstwo nad sobą	127
58. W pałacu liljowym. <i>Z. Urbanowska</i>	88	82. Niedziela. <i>L. Kondratowicz</i>	129
59. Słowik. <i>K. Gliński</i>	93	83. Anusia	130
60. Taniec kwiatów. <i>Z. Andersena</i>	94	84. Koledzy. <i>CN.</i>	130
61. Nasze kwiaty. <i>M. Konopnicka</i>	97	85. Gil i słowik. <i>A. Naruszewicz</i>	132
62. Brzoza. <i>CN.</i>	98	86. Szewczak. <i>CN.</i>	133
63. Rubelek Tesi. <i>A. Odyniec</i>	99	87. Talar i czerwony złoty. <i>I. Krasicki</i>	135
		88. Andzia	135
		89. Furman i motyl	140
		90. Mój przyjaciel Garonne. <i>E. Amicis</i>	140

	Str.		Str.
91. Lampa i uczony. <i>St. Jachowicz</i>	142	116. Walka węża z jaszczurką. <i>B. Dyakowski</i>	185
92. Miłość prawdy. <i>CN.</i>	142	117. Królestwo grzybów. <i>J. Chrząszczewska</i>	187
93. Kto silniejszy. <i>CN.</i>	143	118. Osina. <i>Or-Ot</i>	190
94. Lew i mysz. <i>F. Kniaźnin</i>	146	119. Pogrzeb szczura. <i>J. Zaleska</i>	191
95. Kominiarczyk. <i>Amicis</i>	147	120. Żołądz i dynia. <i>Fr. Kniaźnin</i>	194
96. Jałmużna myśli. <i>M. K.</i>	149	121. Białowieża. <i>H. Sienkiewicz</i>	195
97. Zabawy szkolne Mickiewicza. <i>J. Treliak</i>	150	122. Mnie wszystko tak cieszy. <i>T. Lenartowicz</i>	196
98. Pani Twardowska. <i>A. Mickiewicz</i>	153	123. Jadwiga. <i>M. Ilnicka</i>	197
99. Zielona panienka. <i>M. Świdorska</i>	157	124. Koronacja Jadwigi. <i>K. Szajnocha</i>	198
100. Paweł i Gaweł. <i>A. Fredro</i>	161	125. Ranni na polu pracy. <i>Amicis</i>	201
101. List z Gdańska	162	126. Kochajmy się, bracia	203
102. Jurata, królowa Baltyku. <i>J. Warnkówna</i>	163	127. Łato. <i>T. Lenartowicz</i>	204
103. Staruszka. <i>Z. Andersena</i>	165	128. Mała żniwiarka. <i>CN.</i>	205
104. Litwa. <i>W. Pol</i>	167	129. Pieśń dożynkowa	207
105. Sen Giedymina. <i>CN.</i>	169	130. Na wodzie. <i>W. Sieroszewski</i>	208
106. Jeleń. <i>B. Dyakowski</i>	171	131. Powódź. <i>Z. Zacharkiewiczówna</i>	213
107. Czyj jest las? <i>W. Gomulicki</i>	173	132. Figi	213
108. Jezioro w lesie. <i>H. Sienkiewicz</i>	175	133. Młodość Jagiellonów. <i>Kl. Hoffmanowa</i>	214
109. Król puszczy. <i>Z. Brehma</i>	176	134. Najpracowitszy. <i>Z. „Upominku“</i>	216
110. Pieśń myśliwska. <i>L. Kondratowicz</i>	178	135. Lew i zwierzęta. <i>I. Krasicki</i>	217
111. Obiad św. Huberta. <i>B. Dyakowski</i>	179	136. Urszulka Kochanowska. <i>E. Estkowski</i>	218
112. Lis i kozieł. <i>A. Mickiewicz</i>	181	137. Tren. <i>J. Kochanowski</i>	221
113. Lisiecia. <i>Z. Brehma</i>	182	138. Trybunał lubelski	222
114. Zmyślność dzieciółów. <i>B. Dyakowski</i>	183	139. Wilk i baranek. <i>Fr. Kniaźnin</i>	223
115. Nasz las. <i>J. Chrząszczewska</i>	184		

Str.	Str.
140. Miłosierny Samarytanin. <i>Ks. Serwatowski</i> . . . 224	155. Jak to na Góralach. <i>T. Lenartowicz</i> . . . 249
141. Jarmark. <i>CN.</i> . . . 225	156. Wycieczka na Zawrat. <i>M. J. Zaleska</i> . . . 250
142. Wróbel. <i>I. Krasicki</i> . 228	157. Pozdrowienie. <i>K. Tet-</i> <i>majer</i> 253
143. Walenty Wąs. <i>Z. „Upo-</i> <i>minku”</i> 228	158. Orzeł. 253
144. Wesele Jana Zamoys- skiego 231	159. Orzeł i żóraw. <i>Fredro</i> 255
145. Wesele. <i>M. Konopni-</i> <i>cka</i> 233	160. Króliki starego Macieja. <i>A. Mickiewicz</i> . . . 256
146. Inwalid i skrzypek . . 234	161. Huta żelazna w nocy. <i>Z. Bukowiecka</i> . . . 257
147. Nasza szkap. <i>M. Ko-</i> <i>nopnicka</i> 235	162. Skarbnik. <i>Z. Buko-</i> <i>wiecka</i> 260
148. Dwa żółwie. <i>I. Kra-</i> <i>sicki</i> 238	163. Góral. <i>M. Batucki</i> . 263
149. Stefan Czarniecki. <i>M.</i> <i>Illicka</i> 238	164. Góral i górnik. <i>CN.</i> . 263
150. Szturm do Częstochowy. <i>H. Sienkiewicz</i> . . . 240	165. Pod Raszynem. <i>J. Sa-</i> <i>wa</i> 265
151. Kartka z raptularza. <i>M.</i> <i>Konopnicka</i> 241	166. Buty. <i>J. Drzewiecki</i> . 266
152. Wydra p. Paska . . . 244	167. Pogrzeb ks. Józefa. <i>J.</i> <i>Niemcewicz</i> 267
153. Marcin Kątski. <i>L. Ry-</i> <i>gier</i> 246	168. Mogiła Kościuszki . . 269
154. Dworskie łowy. <i>KL.</i> <i>Hoffmanowa</i> . . . 247	169. Dąb umierający. <i>St.</i> <i>Jachowicz</i> 271
	170. Sen. <i>M. Konopnicka</i> . 271
	171. Dobry syn. <i>M. G.</i> . . 274

Spis rzeczy podług treści.

1. Proza opowiadająca.

Obrazki historyczne, obrazki z ży-	
cia sławnych ludzi, obyczajowe,	
z podróży, z życia zwierząt i t. p.	
Poranek na statku. <i>CN.</i> . . . 41	
Ze wspomnień córki Mickie-	
wicza. <i>M. G.</i> 56	
Bolesław Krzywousty ryce-	
rzem. <i>J. I. Kraszewski</i> . 59	

Śpiewak zimowy. <i>B. Dya-</i> <i>kowski</i> 68	
Konik zwierzyński 84	
Zabawy szkolne Mickiewicza.	
<i>J. Tretiak</i> 150	
Jeleń. <i>B. Dyakowski</i> . . . 171	
Król puszczy. <i>Z. Brehma</i> . 176	
Lisięta. <i>Z. Brehma</i> . . . 182	

Str.	Str.
Zmyślność i wesołość dzie-	
ciółów. <i>B. Dyakowski</i> . 183	
Walka węża z jaszczurką.	
<i>B. Dyakowski</i> 185	
Koronacja Jadwigi. <i>K. Szaj-</i> <i>nocha</i> 198	
Młodość Jagiellonów. <i>KL.</i> <i>Hoffmanowa</i> 214	
Urszulka Kochanowska. <i>E.</i> <i>Estkowski</i> 218	
Jarmark. <i>CN.</i> 225	
Wesele Jana Zamoyskiego . 231	
Wydra pana Paska 244	
Dworskie łowy. <i>KL. Hoffma-</i> <i>nowa</i> 247	
Wycieczka na Zawrat. <i>M.</i> <i>Zaleska</i> 250	
Buty. <i>J. Drzewiecki</i> . . . 266	
Mogiła Kościuszki 269	

2. Proza opisowa.

Opis właściwy i opis piękny.

Gniezno. <i>CN.</i> 11	
Kościółek wiejski. <i>CN.</i> . . 17	
Polowanie na wilki. <i>Wójcie-</i> <i>ki</i> 75	
Brzoza. <i>CN.</i> 98	
Leśniczówka. <i>H. Sienkiewicz</i> 107	
Powązki. <i>CN.</i> 115	
List z Gdańska 162	
Jezioro w lesie. <i>H. Sienkie-</i> <i>wicz</i> 175	
Obiad św. Huberta. <i>B. Dya-</i> <i>kowski</i> 179	
Białowieża. <i>H. Sienkiewicz</i> 195	
Szturm do Częstochowy. <i>H.</i> <i>Sienkiewicz</i> 240	
Orzeł 253	
Huta żelazna w nocy. <i>Z.</i> <i>Bukowiecka</i> 257	

3. Proza rozumująca.

Charakterystyki, pogadanki etycz- ne i przyrodnicze, porównania.

Historja ziemi. <i>A. Witkowski</i> . 9	
Jezus naucza na górze. <i>Ks.</i> <i>Serwatowski</i> 18	
Czem są rośliny dla człowie-	
ka. <i>M. Brzeziński</i> 28	
Krakowiacy. 35	
W pałacu liljowym. <i>Z. Ur-</i> <i>banowska</i> 88	
Na grobach. <i>CN.</i> 110	
Mój przyjaciel Garonne. <i>E.</i> <i>Amicis</i> 140	
Miłosierny Samarytanin. <i>Ks.</i> <i>Serwatowski</i> 224	
Góral i górnik. <i>CN.</i> . . . 263	
Sen. <i>M. Konopnicka</i> . . . 271	

4. Poezja epiczna.

Powiastrki, obrazki, opowiadania historyczne, podania, baśnie, le- gendy, anegdota i t. d.

a. Mową niewiązaną.

Bardzo dawno. <i>CN.</i> 2	
Przeszło tys. lat temu. <i>W. P.</i> 12	
Bartoszek. <i>M. Brzeziński</i> . 20	
Sąd krasnoludków. <i>M. Ko-</i> <i>nopnicka</i> 24	
Płynię Wisła, płynię! <i>CN.</i> . 31	
Podziemny zamek 38	
Paweł Cholewa 44	
Szklanka wody 47	
Wieczorynka u Ćwici. <i>CN.</i> . 47	
Dziennik Marysi. <i>CN.</i> . . . 51	
Zima u krasnoludków. <i>M.</i> <i>Konopnicka</i> 62	
Choinka. <i>Z. „Latarenki”</i> . . 66	

	Str.
Chałat. W. Gomulicki . . .	71
Ochrona. W. Kosiakiewicz. 81	
Taniec kwiatów. Z. Andersena	94
Podanie o założeniu Warszawy. Z. Bukowiecka . . .	114
Podanie o djabie Borucie . .	117
Pies złodziej	120
Szare kaczątko. J. Chrząszczewska	121
Biały bez. Z. Szymanowska 124	
Zwycięstwo nad sobą	127
Anusia	130
Koledzy. CN.	130
Szewczak. CN.	133
Andzia	136
Miłość prawdy. CN.	142
Kto silniejszy? CN.	143
Kominiarczyk. E. Amicis . 147	
Zielona panienka. M. Świderska	157
Jurata, królowa Bałtyku. J. Warnkówna	163
Staruszka. Z. Andersena . 165	
Sen Giedymina. CN.	169
Królestwo grzybów. J. Chrząszczewska	187
Pogrzeb szczura. M. Zaleska 191	
Ranni na polu pracy. E. Amicis	201
Mała żniwiarka. CN.	205
Na wodzie. W. Sieroszewski 208	
Figi	213
Najpracowitszy	216
Trybunał lubelski	222
Walenty Wąs	228
Inwalid i skrzypek	234
Nasza szkap. M. Konopnicka 235	
Skarbnik. Z. Bukowiecka . 260	
Historja o dobrym synu . . 274	

	Str.
b. Mową wiążaną.	
Opowiadania, obrazki, podania, legendy, śpiewy historyczne.	
W kraju króla Gwoździka.	
Deotyma	6
Lech. Z. Z.	10
Bolesław Chrobry. M. Ilnicka	40
Łzy nieużyteczne.	50
W zimowy wieczór. Z. Z. . . .	74
Legenda o skowronku. M. G. . .	87
Rubelek Tesi. E. O.	99
Kazimierz Wielki. J. Niemcewicz	112
Kalina. T. Lenartowicz	117
Pani Twardowska. A. M.	153
Jadwiga. M. Ilnicka	197
Stefan Czarniecki. M. I.	238
Kartka z raptularza. M. K. . . .	241
Króliki Macieja. A. M.	256
Pod Raszynem. J. Sawa	265
Pogrzeb księcia Józefa. J. Niemcewicz	267

5. Poezja liryczna i liryczno-opisowa.

Wezwanie. W. Pol	1
Modlitwa	16
Dzionek na wsi. T. Lenartowicz	19
Przepiórka	23
Jesień. T. Lenartowicz	24
Pierwszy snop. El.	27
Dworek. T. Lenartowicz	30
Jakto na Mazowszu. T. L. . . .	34
Marjacka wieża. E. W.	37
Polska. W. Pol.	43
Chłopiek. K. Brodziński	46
Matka. Z. Z.	55
Stara piosnka	58

	Str.
Chrystus i dzieci. M. K.	61
Zima. T. Lenartowicz	64
Kolęda	68
Niepiśmienny. L. Kondrat. . . .	82
Tatarzy. B. Bielawski	86
Flisaki	87
Słowik. K. Gliński	93
Nasze kwiaty. M. K.	97
Lny nam kwitną. M. K.	106
W polu. T. Lenartowicz	109
Wiosna. T. Lenartowicz	111
Cicha noc. R. Zmorski.	124
Skowronek i dzwonek. W. Pol	126
Niedziela. L. Kondratowicz 129	
Jałmużna myśli. M. K.	149
Litwa. W. Pol	167
Czyj jest las? W. Gomulicki 173	
Pieśń myśliwska. L. K.	178
Nasz las. J. Chrząszczewska 184	
Osina. Or-Ot.	190
Mnie wszystko tak cieszy. T. Lenartowicz.	196
Kochajmy się, bracia	203
Lato. T. Lenartowicz	204
Pieśń dożynkowa. M. K.	207
Powódź. Z. Z.	213
Tren. J. Kochanowski	233
Wesele. M. K.	233
Jak to na góralach. T. L. . . .	249

	Str.
Pozdrowienie. K. Tetmajer . 253	
Góral. M. Bałucki.	263

6. Poezja dydaktyczna.

B a j k i.

Dwa piugi. St. Jachowicz . . .	29
Chleb i szabla. I. Krasicki. . .	46
Myszka, kot i kogut. St. Tr. . .	53
Żółw i zając. Fr. Kniaźnin. . .	70
Wilczki. I. Krasicki.	79
Zając	80
Pies i pszczoły. Fr. Morawski 119	
Gil i słowik. A. Naruszewicz 132	
Talar i czerwony złoty. I. Krasicki	135
Furman i motyl. I. Krasicki 140	
Lampa i uczony. St. Jachowicz	142
Lew i mysz. Fr. Kniaźnin 146	
Paweł i Gaweł. A. Fredro . . .	161
Lis i kozieł. A. Mickiewicz 181	
Żołądz i dynia. Fr. Kniaźnin 194	
Lew i zwierzęta. I. Kr.	217
Wilk i baranek. Fr. Kn.	223
Wróbel. I. Krasicki.	228
Dwa żółwie. I. Krasicki	238
Orzeł i zóraw. Fredro.	255
Dąb umierający. St. Jachowicz	271